



JUDITH ARNOLD



Paleta barw

Tytuł oryginału: Birthright

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Aaron nie przepadał za Kościołem. Kiedy był mały, matka czasem zabierała go na mszę, ale już wtedy, jako dziecko, wiedział, że ci sami ludzie, którzy w niedzielę siedzą w ławkach, szlachetni i bogobojni, w pozostałe dni tygodnia patrzą na niego z mieszaniną pogardy i obrzydzenia. Najwyraźniej to, czego uczono ich w Kościele, niewiele miało wspólnego z miłosierdziem, dobrocią i wielkodusznością.

Trzymał się więc z dala od przybytków wiary, wychodząc z założenia, że jeżeli będzie chciał pogadać z Bogiem, równie dobrze może to uczynić we własnym domu.

Ale na dzisiejszym nabożeństwie bardzo zależało jego matce; poprosiła go, żeby jej towarzyszył.

Środkowa nawa pełna była ludzi, ławki też w większości były zajęte. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy Riverbend przybyli do kościoła, aby pożegnać Abrahama Steele'a.

- Zobacz, Aaron, tam są wolne miejsca - rzekła Evie Mazerik, wskazując przedostatnią ławkę.

- Bliżej też są.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Tu nam będzie dobrze.

Nie powinni byli przychodzić na to nabożeństwo, ale matka nalegała, sama zaś nie zdołałaby pokonać pieszo odległości dzielącej jej mieszkanie od kościoła. Zważywszy na to, że prawą nogę miała nie w pełni sprawną, samochodem również nie byłaby w stanie tu dotrzeć. Chcąc nie chcąc, Aaron zgodził się ją przywieźć.

Martwiła go jej noga. Po wylewie matka radziła sobie zupełnie dobrze, ale jeszcze nie całkiem odzyskała formę. Głównie dlatego, że nie przykładała się do zaleconych przez lekarza ćwiczeń. W dodatku nadal paliła jak smok. Aarona złościło, że on wprowadził tyle zmian w swoim życiu, by służyć jej pomocą, a ona żyła niemal tak samo jak przed wylewem. Owszem, zrezygnowała z prowadzenia samochodu i zamiast podawać do stołów w Sunnyside Cafe, obsługiwała kasę, lecz za nic w świecie nie chciała wyprowadzić się z mieszkania na pierwszym piętrze, które zajmowała od trzydziestu Daru lat, i zamieszkać na parterze. Codziennie drałowała po schodach, z góry na dół i z dołu na górę, powtarzając, że wcale jej się w głowie nie kręci i że poręcze bynajmniej nie są chwiejne; tu, psiakość, jest jej dom.

A jeśli chodzi o papierosy, nikt nie ma prawa jej nic rozkazywać; będzie palić, póki ma ochotę.

Aaron czuł dobywający się z matczynych włosów znajomy zapach dymu tytoniowego - mieszał się z intensywnym zapachem perfum, którymi się skropiła, a także z zapachem ogromnych wieńców, bukietów i wiązanek ułożonych przed kaplicą.

Matka nie tylko cuchnęła tytoniem, była również nieodpowiednio ubrana jak na pogrzeb. Miała na sobie bawełniany kostium w kolorze pistacji, który kupiła kilka lat temu z okazji Wielkanocy.

Z drugiej strony, co to szkodzi? Ludzie w Riverbend zawsze patrzyli z wyższością na Evie Mazerik i jej syna. Wiele razy wytykali ją palcem. Jeżeli zaczną komentować jej strój, cóż... nie przejmowała się takimi drobiazgami.

Na szczęście on był odpowiednio ubrany: w ciemnoszarą marynarkę, jasnoszare spodnie, białą koszulę, gładki wiśniowy krawat. Przynajmniej w ten sposób mógł uczcić pamięć Abrahama Steele'a. Słabo znał staruszka, ale grał w tej samej drużynie koszykówki co Jacob, syn Abrahama, i pamiętał, jak jego ojciec przychodził na każdy mecz - siadał na trybunach, głośno kibicował i cieszył się, ilekroć chłopcy z Riverbend zdobywali punkty. Przychodził na mecze nawet wówczas, kiedy Jacob zdał maturę i wyjechał na studia.

Matka Aarona ani razu nie kibicowała swojemu synowi.

Teraz przeciskała się między wiernymi, usiłując dotrzeć do pustych miejsc. Deptała ludziom po butach, co chwila kogoś przepaszając; Aaron szedł za nią, nie czyniąc nikomu krzywdy. Przytrzymał laskę, kiedy matka siadała na twardej białej ławce, po czym usiadł przy niej. Muzyka organowa wypełniła wnętrze. Hymn brzmiał znajomo - może gdyby Aaron częściej bywał na nabożeństwach, rozpoznałby go.

Ludzi wciąż przybywało. W drzwiach pojawiły się siostry Abrahama, bliźniaczki, które szły pod rękę, z nisko opuszczonymi głowami, a za nimi dreptała Kate McCann, młoda kobieta, która prowadziła należąca do sióstr księgarnię. W ciągu tych kilku tygodni, kiedy Aaron widział je po raz ostatni, bliźniaczki bardzo się postarzały. Musiały mieć po siedemdziesiąt parę lat, zawsze jednak wydawały się silne, energiczne i pełne życia.

- Śmierć brata to dla nich straszny cios - szepnęła matka, odprowadzając siostry wzrokiem. - Nie wiem, jak biedaczki to przeżyją. - Głos jej się załamał, a oczy lśniły od łez.

- Poradzą sobie, to dzielne staruszki - odparł Aaron.

Siostry Steele zawsze traktowały go uprzejmie, nawet wtedy, gdy jako nastolatek szwendał się po miasteczku, szukając kłopotów. Kiedy kręcił się w pobliżu księgarni, nie pytały, co tu robi, lecz jak się miewa. Prosiły też, by pozdrowił matkę, zupełnie jakby Evie Mazerik nie różniła się od innych mieszkańców Riverbend. Imponowały mu.

Tymczasem kolejni żałobnicy przekraczali drzwi kościoła - mężczyźni w ciemnych garniturach, kobiety w stonowanych garsonkach. W swoim jasnozielonym kostiumie Evie Mazerik wyraźnie odstawała od reszty.

Aaron zauważył Mitcha Sterlinga z synem Samem. Chodzili kiedyś do jednej klasy i grali w szkolnej drużynie koszykówki. Obecnie Mitch prowadził sklep z narzędziami i skład drewna. Kiedy dwa lata temu Aaron kupił mały, zniszczony dom nad rzeką, mnóstwo czasu spędził w sklepie Mitcha, nabywając rzeczy potrzebne do remontu. Odnowił chałupę, zbudował taras, ocieplił strych...

Poza tym, że byli w jednej klasie i grali w jednej drużynie, niewiele mieli ze sobą wspólnego. Mitch należał do paczki młodych ludzi, którzy sami siebie nazywali Szczurami Wodnymi. Aaron nie wiedział, skąd się wzięła nazwa. Wiedział tylko, że w skład Szczurów wchodziły najbardziej popularne dzieciaki w miasteczku.

Aaron się do nich zdecydowanie nie zaliczał.

Obserwował w milczeniu, jak Mitch idzie nawą, trzymając za rękę syna. Chłopiec miał około dziesięciu lat; tkwił w tym dziwnym przedziale czasu, kiedy nie jest się już szkrabem, a jeszcze nie jest się młodzieńcem. Mitch zapisał syna na zorganizowany przez Aarona letni obóz sportowy. Problem w tym, że chłopiec miał mocno upośledzony słuch, a Aaron nie

znał języka migowego. Nie bardzo sobie wyobrażał, jak zdoła się z Samem porozumieć.

- Kate to taka miła, spokojna osoba - oznajmiła szeptem Evie, nie spuszczać oczu z Kate McCann oraz Ruth i Rachel Steele, które zajmowały miejsca w pierwszym rzędzie. - Czasem wpada do Sunnyside na lunch. Ale jej córki to małe diablące. Urocze dziewczynki, ale roznosi je energia. Nie mam pojęcia, jak Kate daje sobie z nimi radę.

Niektóre samotne matki radzą sobie lepiej od innych, pomyślał Aaron. Jego własna starała się jak mogła, lecz niestety, kiepsko jej to szło.

- Wiesz, dlaczego Ruth i Rachel tak bardzo cierpią? Pomijając oczywiście śmierć Abrahama? - ciągnęła Evie. - Z powodu Jacoba. Że nie przyjechał na pogrzeb ojca. Swoją drogą, ciekawe, gdzie się podziewa?

Aaron wzruszył ramionami. Nie interesowały go więzy łączące najbogatszego człowieka w Riverbend i jego nieobecny syna.

Jego matkę jednak interesowały. Uważała, że jako kasjerka w Sunnyside Café ma prawo interesować się mieszkańcami miasteczka.

- Nawet jeśli się pokłócili, to nie powód, żeby nie pojawiać się na pogrzebie ojca.

Aaron nie odpowiedział. Miał nadzieję, że brak reakcji z jego strony zniechęci matkę do dalszych rozważań. Nienawidził plotek, zwłaszcza że przez większą część życia sam był na nie stale narażony.

Rozglądając się po tłumie, zauważył zajmującego miejsce Charliego Callahana. Charlie również chodził do tej samej klasy co on i Mitch i również należał do Szczurów Wodnych. Kiedy Aaron kupił domek nad rzeką, Charlie zaoferował mu pomoc przy remoncie. Od czasów szkoły

średniej minęło piętnaście lat i dziś nikt już nie pamiętał, że Aaron był wtedy autsajderem bez przynależności do jakiegokolwiek grupy czy paczki.

-Kraży plotka, że Jacob wyjechał z kraju - szepnęła mu na ucho matka. - Podobno dorobił się dużego majątku, ulokował pieniądze w jednym z banków na Bahamach i tam się przeprowadził. Nic go nie obchodzi, że jego ojciec umarł.

- Nie wierzę, mamó - odparł Aaron. - Jacob był porządnym chłopakiem.

- Tak? To dlaczego go tu nie ma? Opuścił miasteczko zaraz po maturze i już tu nie wrócił. Złamał ojcu serce. Ciotkom zresztą też. Po śmierci jego matki to one go wychowywały. A on nawet nie pofatygował się na pogrzeb ojca.

- Może nie mógł się wyrwać? A może...

- Co może? Nie żyje? Tak twierdzi Lucy. Nawet gotowa była się założyć, ale powiedziałam jej, że to zbyt makabryczne, aby zakładać się o coś takiego.

Zbyt makabryczne, żeby się zakładać, ale nie na tyle makabryczne, aby nie można było o tym porozmawiać, zauważył z ponurym uśmiechem Aaron.

Evie ścisnęła syna za rękę.

- Ty wróciłeś do domu, kiedy cię potrzebowałam. Jacob Steele nie wrócił, a mój syn wrócił. Wartość człowieka nie zależy od ilości posiadanych przez niego pieniędzy. Zależy od jego serca i uczynków.

Aaron wrócił tu niechętnie, bo lat spędzonych w Riverbend nie uważał za szczęśliwe. Gdyby wcześniej o tym pomyślał, sprowadziłby

matkę do Indianapolis, zamiast samemu się przenieść do miasta swojego dzieciństwa.

Ale nie pomyślał o tym. Złożył wypowiedzenie w pracy, zerwał z Cynthią, ponieważ nie chciała mu towarzyszyć („Przecież mówiłeś, że nie cierpisz tej zacofanej miejsciny, więc nie pojmuję, dlaczego koniecznie chcesz tam jechać”) i zamieszkał ponownie w Riverbend.

Do kościoła weszła pani burmistrz z mężem, a za nimi Frank Garvey. Chociaż postarzał się, chociaż przytył z dziesięć kilo i nie miał na sobie munduru, Aaron bez trudu go rozpoznał. Wiedział, że nigdy nie zapomni policjanta, który wsadził go za kratki. W owym czasie nienawidził Garveya; teraz jako człowiek dorosły zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie Garvey uratował mu życie. Garvey do spółki z trenerem Drummerem. Jeden wsadził go do pudła, drugi zapłacił kaucję i z pudła wyciągnął.

Za oficerem Garveyem pojawił się kolejny członek tutejszej społeczności, którego Aaron dobrze znał: doktor Julian Bennett, przystojny, wysoki mężczyzna o kasztanowych włosach, tylko gdzieś przyprószonych siwizną. Bennett był starszy od Evie Mazerik, ale sprawiał wrażenie dziesięć lat młodszego; twarz miał ledwo poznaczoną zmarszczkami, plecy proste, ruchy energiczne. Aaron dawno temu nauczył się patrzeć na doktora obojętnym wzrokiem, nie dając niczego po sobie poznać, ale zawsze czuł, jak wszystko się w nim skręca z furii.

Skręcało się także na widok córki doktora Bennetta. Weszła do kościoła za ojcem i Aaron poczuł znajome klucie. Powodowała je nie tylko

wściekłość, ale również żal, smutek, frustracja oraz bolesna świadomość, że niektórych rzeczy nie da się zmienić.

Nie widział Lily Bennett, odkąd piętnaście lat temu ukończyli szkołę. Wówczas była piękną nastolatką, teraz - piękną dojrzałą kobietą, szczupłą, zgrabną blondynką o prostych włosach opadających luźno na ramiona, elegancko ubraną w szary jedwabny kostium. Aaronowi zaparło dech, tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzał ją na szkolnym korytarzu.

- Zobacz, Lily przyszła - szepnęła matka. - Ależ z niej urocze stworzenie.

Nie chcąc myśleć o uroczym stworzeniu imieniem Lily, wbił wzrok w okno witrażowe nad ołtarzem. Zalewające je promienie słońca sprawiały, że czerwień, bursztyn i błękit nabrały jeszcze bardziej intensywnej barwy. Przyszło mu do głowy, że jeżeli będzie się w nie wpatrywał dostatecznie długo, może kolory go zahipnotyzują, pozwolą zapomnieć o Lily i jej ojcu.

- Teraz nazywa się Holden - dodała matka. - Lily Holden.

Co go to obchodzi?

- Popatrz, jakie nieszczęście. Dziewczyna zakochała się w milionerze, jakimś znanym prawniku z Bostonu, i parę lat po ślubie facet ginie w wypadku samochodowym. Biedaczka wciąż nie może pogodzić się z tragedią.

To też go nie obchodziło.

- Podobno śmierć męża okropnie nią wstrząsnęła. Nie mogła wytrzymać w Bostonie i w marcu postanowiła wrócić do Riverbend. Kupiła tę wielką chałupę na East Oak, wiesz, tę w stylu wiktoriańskim, z werandą wokół domu. Podejrzewam, że musiała niemało zapłacić, ale mąż

zostawił jej w spadku spory majątek. Niestety, pieniądze szczęścia nie dają. Biedaczka całymi dniami siedzi w domu, z nikim się nie spotyka. Smutne to...

Aaron przesunął spojrzenie z witrażowych okien nad ołtarzem na wąskie okienko mieszczące się na końcu rzędu, w którym siedział z matką. Za szybą rozpościerało się niewiarygodnie błękitne niebo. Była wprost wymarzona pogoda, aby wyciągnąć się na hamaku za domem, z piwem w jednej ręce i najnowszą powieścią Johna Grishama w drugiej. W takim dniu nie powinno się myśleć o niczym smutnym, o żadnych kłopotach, o letnim obozie sportowym dla dzieci, o tym, skąd wziąć na niego pieniądze i w jaki sposób porozumieć się z niedosłyszającym synem Mitcha. A tym bardziej o zdrowiu matki, o śmierci patriarchy Riverbend oraz o pięknej Lily Bennett, czy raczej Lily Holden, jak się teraz nazywała.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy przed wieloma laty, w dzień równie słoneczny i bezchmurny jak dzisiejszy, poniósł za to karę. Wpatrywanie się w Lily było tak samo niebezpieczne jak wpatrywanie się w słońce. Można było oślepnąć.

On nie oślepl, ale za karę musiał zostać dłużej w szkole. A było tak: opuścił szóstą lekcję i wyszedł na dwór na papierosa. Zaklinował drzwi, żeby się przypadkiem nie zatrzasnęły; kiedy skończył palić, zaczekał na dzwonek, a potem uchylił drzwi, zamierzając cichcem wejść i wtopić się w tłum uczniów. I wtedy ją dojrzał - Lily Bennett wyłaniającą się z pracowni malarskiej.

Była tak piękna, że zaparło mu dech. Stał w otwartych drzwiach, wpatrując się w nią jak urzeczony, dopóki nauczyciel rysunku nie chwycił go za kołnierz i nie odprowadził natychmiast do gabinetu dyrektora.

A Lily nawet go nie zauważyła.

Teraz również nie zwróciła na niego uwagi. Oderwał wzrok od okna i zobaczył, jak zajmuje z rodzicami miejsce w jednym z pierwszych rzędów. Wcale nie wyglądała jak pogrążona w rozpacz młoda wdowa. Wyglądała tak samo cudownie jak zawsze.

To Juliana Bennetta powinien nienawidzić, a nienawidził Lily - za to, że była taka śliczna, mądra i elegancka, za to, że promieniała pewnością siebie, za to, że na jej widok snuł jako młodzieniec szalone, lecz bezpłodne fantazje.

Bennettowie usiedli. Pomimo dzielącego ich tłumy widział głowę Lily, jej jasne włosy opadające na szaroniebieski żakiet.

- Jeśli szukasz pieniędzy na ten letni obóz dla dzieciaków, powinieneś pogadać z Lily - rzekła Evie. -Ma ich tyle, że nie starczy jej życia, aby je wydać.

O nic nie zamierzał Lily prosić.

- Wolę poprosić jej ojca - mruknął pod nosem. Pamiętał regularne wizyty, jakie doktor Bennett składał w ich mieszkaniu. Siadywał z Evie w kuchni, o czymś cicho z nią rozmawiał, potem szedł do pokoju, w którym Aaron oglądał telewizję albo czytał komiksy, i wyraźnie speszony zadawał mu kilka pytań. Na przykład: „Jak ci idzie w szkole?” Albo: „Masz jakieś hobby?” Lub: „Ależ ty szybko rośniesz! Te tenisówki przypadkiem nie są za małe?” Aaron odpowiadał „tak”, „nie” lub „dobrze”. Doktor Bennett wracał do kuchni, wręczał Evie kopertę z pieniędzmi, po czym zęgnął się i wychodził.

Oczywiście o pieniądzach Aaron miał nic nie wiedzieć. Miał sądzić, że doktor Bennett przychodzi z wizytą po to, aby zaoszczędzić Evie

konieczności przychodzenia z synem na okresowe badania lekarskie. Bawiąc się jednak w salonie, zawsze widział przez uchylone drzwi, jak matka przyjmuje kopertę.

Wielebna Lynn Kendall podeszła do pulpitu. Muzyka organowa ucichła.

- Dziękuję wam, moi mili, żeście przybyli tu dzisiaj, abyśmy razem mogli pożegnać świętej pamięci Abrahama Steele'a.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Aaron zerknął za siebie. Kościół był wypełniony po brzegi. Ponownie odwrócił głowę i ponownie zatrzymał spojrzenie na jedwabistych blond włosach, zupełnie jakby pomiędzy nim a Lily nie siedziało stłoczonych w rzędach co najmniej ze sto osób. Zacisnął usta, żeby nie zakląć pod nosem.

- Wszyscy w Riverbend znali zmarłego... - kontynuowała pastor Lynn.

Aaron oparł plecy o sztywną drewnianą ławkę i usiłował choć trochę wyprostować nogi. Stojące w rzędach ławki najwyraźniej nie były skonstruowane z myślą o ludziach mających ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Uderzywszy boleśnie goleniem o drewnianą krawędź, stłumił kolejne przekleństwo.

- Jak wiecie, nasze miasteczko założył prapradziad zmarłego, Gideon Steele. Od tamtej pory Steele'owie są sercem i duszą Riverbend. Wielu z was zapewne się orientuje, że Abraham zarządzał tutejszym bankiem. Dawał wam kredyty na budowę domów i prowadzenie firm. Uczył wasze dzieci, jak oszczędzać kieszonkowe i pomnażać pieniądze. Pomagał naszej społeczności, regularnie odwiedzając miejscowe sklepy. Nigdy nie

robił zakupów w jednym z tych supermarketów, które wzniesiono przy autostradzie. Jeżeli potrzebował gwoździ, nabywał je u Mitcha Sterlinga. Jeśli potrzebne mu były skarpety, szedł do Killiana. Jeżeli miał ochotę na filiżankę kawy, wstępował do Sunnyside Cafe.

Aaron zerknął ukosem na matkę. Łzy ciekły jej po policzkach, wargi drżały; zachowywała się tak, jakby Abraham Steele był jej serdecznym przyjacielem, a nie jednym z wielu klientów, którym podawała do stolika kawę.

- Poprosiłam parę osób, które znały Abrahama, aby zechciały powiedzieć o nim kilka słów. Jeżeli ktokolwiek z was również miałby ochotę, gorąco zapraszam. Chętnie posłuchamy waszych wspomnień. Zaczniemy od Ruth...

Pastor Lynn wskazała na jedną z sióstr bliźniaczek; ta wstała i podeszła do pulpitu. Z ponurą, lecz stanowczą miną poprawiła mikrofon, po czym odchrząknęła.

- Mój brat czasem był jak wrzód na tyłku... - zaczęła.

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem. Aaron ponownie spróbował wyprostować nogi i tym razem udało mu się nie nabić sobie siniaka. Ruth tymczasem opisywała swojego brata, kiedy był młodym chłopakiem, mówiła o jego wybrykach, uporze, arogancji, a także o wielkim sercu, które skrzętnie ukrywał pod maską zarozumiałstwa i obojętności. Nikt w Riverbend nie pracował równie ofiarnie jak Abraham, nikt bardziej niż on nie kochał tego miasteczka i nikt nie czuł się z nim mocniej związany. Ruth opowiedziała o cierpieniu brata, kiedy trzydzieści lat temu zmarła jego żona, i o tym, jaki dumny był ze swego syna, Jacoba, który osiągał znakomite wyniki zarówno w nauce, jak i w sporcie.

I który nie raczył przybyć na pogrzeb ojca. Tego oczywiście Ruth nie powiedziała, lecz Aaron podejrzewał, że wszyscy to pomyśleli.

Ruth Steele usiadła. Po chwili Rachel oparła o jej ramię swoją siwą głowę.

Następnie do pulpitu podeszła jedna z pracownic banku i ze wzruszeniem w głosie opowiedziała zebranym o tym, co dla niej zrobił Abraham Steele, kiedy okazało się, że jest w ciąży.

- Lekarze kazali mi leżeć do samego rozwiązania. Pan Steele nie tylko nie zwolnił mnie z pracy, ale kupił mojemu maleństwu kołyskę.

Miejsce przy mikrofonie zajął oficer Garvey, który opowiedział o tym, co zdarzyło się wiele lat temu, kiedy Abraham był burmistrzem. Otóż policja zwróciła się do rady miejskiej z prośbą o pieniądze na nowe mundury. Miasteczka nie było na to stać. Abraham z własnej kieszeni zapłacił za mundury, poprosił jednak Garveya, aby nikomu nie wspominał o jego szczodrości; nie chciał, aby ludzie myśleli, że zrobił to dla jakichkolwiek korzyści osobistych.

Kiedy Garvey wrócił na miejsce, z ławki podniosła się Lily. Poruszała się z wdziękiem tancerki, ramiona i plecy miała proste, a głowę uniesioną tak, jakby trzymała na niej książkę. Pochyliła się do mikrofonu; po chwili rozległ się czysty dźwięczny głos, którego Aaron mimo upływu piętnastu lat nie zapomniał.

- Kiedy miałam cztery lata, Abraham Steele podarował mi blaszane pudełko z akwarelami i otworzył przede mną cały nowy świat.

Powiedziawszy to, odwróciła się od pulpitu i ponownie usiadła między rodzicami.

Farby wodne? Aaron przypomniał sobie, że spośród wszystkich uczniów szkoły Riverbend High Lily faktycznie przejawiała największe zdolności artystyczne. Zawsze malowała plakaty zapowiadające szkolne przedstawienia i zabawy, zaprojektowała też okładkę pamiątkowej książki, którą maturzyści otrzymali na zakończenie nauki. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Lily, wychodziła z pracowni. Może więc te akwarele od Steele'a rzeczywiście miały znaczący wpływ na jej życie?

Jeszcze kilka osób zabrało głos, lecz Aaron ich nie słuchał. Ponownie wbił wzrok w okno, przez które widać było niebo mające ten sam intensywny odcień błękitu co oczy Lily.

Lily Bennett. Lily Holden. Młoda wdowa. Bogata młoda wdowa, którą mógłby poprosić o pieniądze na fundusz sportowy, gdyby potrafił zdobyć się na odwagę. Zarząd szkoły, rada miejska, klub rotariański - do wszystkich tych organizacji zwracał się o dotację. W zeszłym miesiącu odwiedził w tej sprawie Abrahama Steele'a. Siedzieli w jego gabinecie, dużym, elegancko urządzonej pokoju o wysokim suficie i ścianach obitych boazerią, rozmawiając o datkach i pożyczkach. Aaron opisał bankierowi, o co dokładnie mu chodzi: o letni obóz sportowy dla dzieci, których rodziców nie stać na wysłanie swoich pociech na wczasy czy kolonie. Dzieciaki nauczyłyby się paru rzeczy, wyjaśnił, poznałyby parę dyscyplin sportowych, a co ważniejsze, nie wałęsałyby się bez celu po mieście i z nudów nie pakowały w kłopoty.

- Tak jak tobie się to dawniej zdarzało, co, Aaron? - spytał bankier.

Zdziwiło Aarona, że Steele zna jego przeszłość, ale Riverbend było małym miasteczkiem, gdzie każdy o każdym wszystko wiedział.

- Ma pan rację - przyznał. - Dlatego dobrze wiem, co może dzieciaki zainteresować. Jakie dyscypliny sportowe. Pozwolono mi korzystać ze szkolnej sali gimnastycznej, z boiska, z kortów tenisowych, basenu. Ale ja mogę uczyć tylko koszykówki. Nie mam uprawnień pływackich, nie gram w tenisa...

Tenis był sportem dla bogatych. Pewnie dlatego nigdy nie miał w rękę rakiety.

- Jaką przewidujesz opłatę za udział w obozie?

- Trzydzieści dolarów tygodniowo od dziecka.

- Niewiele.

- Program przeznaczony jest dla rodzin bardzo mało zarabiających.

Jeżeli podniosę opłatę, ludzie się wycofają. Mam już sporą listę chętnych. Pieniądze za uczestnictwo starczą na wynajęcie sal, na sprzęt oraz ubezpieczenie.

- A twoja pensja? Aaron uśmiechnął się.

- Pracuję społecznie.

- Podoba mi się twój zapał, chłopcze - oznajmił niespodziewanie Steele. Człowiek, który zwykle bywał dość oschły, okazał się szlachetny i wielkoduszny, potwierdzając to, co parę minut temu mówiła o nim jego siostra. - I jestem pełen podziwu dla wszystkiego, co w życiu osiągnąłeś. Umówmy się tak: zostawisz projekt swojego programu oraz wstępny kosztorys, a ja się zastanowię, w jaki sposób będę ci mógł pomóc.

Niestety, starzec zmarł, zanim zdążył przekazać jakiegokolwiek pieniądze. Aaron musiał więc dalej chodzić po ludziach i instytucjach, zebrząc o dotacje.

Właściwie czemu miałyby nie poprosić o wsparcie Lily Bennett Holden? Tylko dlatego, że wzdychał do niej w szkole, a ona nie zwracała na niego uwagi? To zbyt błahy powód. Śmiało mogłaby przeznaczyć drobną część pieniędzy odziedziczonych po mężu milionerze na pomoc dla dzieci z Riverbend.

Tak, powinien złożyć wizytę pogrążonej w żałobie bogatej wdowie i spytać ją, czy nie zechciałaby wesprzeć funduszu sportowego dla dzieci z ubogich rodzin. Nigdy dotąd nie brakowało mu tupetu i odwagi. Lily przypuszczalnie nie domyślała się, co do niej czuł przed laty... A może tak? Może знаła prawdę? Może wiedziała, dlaczego wywołuje w nim tak mieszane uczucia?

- To prawda? - spytał Charlie Callahan, podchodząc do Lily, która stała w cieniu klonu na trawniku przed kościołem.

Zdjęła zakiet. Suche czerwcowe powietrze parzyło ją w ramiona, ale przynajmniej pod drzewem temperatura była niższa o kilka stopni, a rozłożyste gałęzie dawały zbawienny cień.

Wiedziała, że rodzicom dojście do samochodu zajmie wieki. Musieli oczywiście porozmawiać ze wszystkimi, którzy przybyli na nabożeństwo; najpierw zamienili parę słów z wielebną Lynn Kendall, potem złożyli kondolencje siostrze zmarłego, następnie ruszyli wolno przez tłum, pozdrawiając każdego po kolei.

Żałowała, że nie wzięła swojego samochodu. Wtedy byłaby niezależna, mogłaby wrócić do domu, kiedy by chciała. A ona, jak idiotka, zgodziła się jechać do kościoła z rodzicami i teraz musiała na nich czekać.

Miała nadzieję, że nikt nie zauważy, jak ukrywa się pod klonem. Ale jeśli ktoś już musiał ją wypatrzeć, cieszyła się, że wypadło akurat na

Charliego. Charlie należał do paczki, był jednym ze Szczurów, a poza tym uważała go niemal za brata. Kiedy otoczył ją ramieniem i pocałował w policzek, poczuła się bezpiecznie.

- Czy co prawda? - zdziwiła się.

- Że Steele dał ci twoje pierwsze akwarele?

- Tak. Leczył się u mojego ojca. Za każdym razem, kiedy przychodził na wizytę, przynosił mi prezent. Na ogół były to rzeczy, jakich nie chciałam, a to lalka, a to bransoletka z koralików. Ale z farbami trafił w dziesiątkę. Oszalałam na ich punkcie.

Charlie wyszczerzył zęby i skinął głową. Uwielbiała jego uśmiech. Boże, jak dobrze być z powrotem w domu.

- Miło cię znów widzieć, Lily - powiedział jej stary druh, wsuwając ręce do kieszeni. Przyglądał się jej z uwagą, ona jednak, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia, ponownie zaczęła szukać rodziców w tłumie ludzi zgromadzonych na schodach przed kościołem. - Nawet nie umiem sobie wyobrazić, co czułaś po śmierci męża. Wiem, że wciąż cierpisz. Ale pamiętaj, masz tu mnóstwo przyjaciół. Nie musisz się przed nami chować.

- Nie chowam się - odparła, starając się stłumić emocje.

- Wróciłaś... kiedy? Parę miesięcy temu, prawda? A widzę cię po raz pierwszy.

- Wiem...

Miała ochotę wyznać mu prawdę: że wstydzi się pokazywać przyjaciołom, nie chce, by widzieli ją w tak strasznym stanie. Zawsze była lubianą, popularną Lily, która bez trudu zdobywała to, czego pragnęła. Tym razem się jej nie udało. Dlatego unikała ludzi, którzy w nią wierzyli.

Wolała nie widzieć ich twarzy, kiedy przekonają się, że przegrała, że poniosła w życiu sromotną klęskę.

- Po prostu nie jestem w najlepszym stanie psychicznym - rzekła, zadowolona, że nie musi uciekać się do kłamstwa. Bo faktycznie nie była w najlepszym stanie psychicznym. Tylko że ów zły stan spowodowany był nie tyle śmiercią Tylera, co jej poczuciem zagubienia. - Nie podziękowałam ci za kartkę, którą mi przysłałeś.

- Nie ma o czym mówić. Kiedy usłyszałem o wypadku i pomyślałem, że jesteś tam sama jedna, bez rodziny i przyjaciół, musiałem do ciebie napisać.

- Nie byłam sama. W Bostonie mieszka cała rodzina Tylera.

Modliła się w duchu, aby głos jej nie zdradził. Teściowie zachowali się wobec niej potwornie. Zresztą przed śmiercią Tylera też udawali, że jej nie znają.

Nie chciała jednak o tym dziś rozmyślać. Dziś był dzień poświęcony pamięci Abrahama Steele'a. Trudniej jej było pogodzić się ze śmiercią Steele'a, prawnuka założyciela miasta, przyjaciela jej ojca, niż ze śmiercią Tylera.

- Szkoda jednak, że Jacob nie przyjechał na pogrzeb ojca...

- Nie było go tu od lat - rzekł Charlie.

- Podobno nikt nie wie, gdzie się podziewa. Zupełnie tego nie rozumiem. Może gdyby wiedział, że Abraham umrze...

- Każdy kiedyś umiera. Gdyby chciał pogodzić się z ojcem, mógł to zrobić dawno temu.

- Niby tak. Szkoda.

Jacob również należał do Szczurów i jako najstarszy z grupy uchodził za przywódcę paczki. Był szlachetnym, sprawiedliwym kolegą i oddanym, kochającym synem. Lily zrobiło się żal dawnego przyjaciela, że nie miał szansy naprawić stosunków z ojcem. Teraz było już za późno.

- Tom też się nie pojawił - rzekła z zadumą. Tom Baines, bratanek Abrahama, wszystkie ferie letnie spędzał w Riverbend, oczywiście w towarzystwie Jacoba i Szczurów Wodnych. Teraz podróżował po świecie jako znany dziennikarz. Prawdę mówiąc, Lily wcale nie oczekiwała, że przybędzie do miasteczka na nabożeństwo żałobne. Charlie westchnął.

- Fajnie byłoby go znów zobaczyć.

Nagle Lily zauważyła mężczyznę i kobietę schodzących wolno po schodach. Kobieta była szczupłą, ubrana w jaskrawozielony kostium; minę miała zdeterminowaną, włosy w niespotykanym w naturze kolorze czerwieni. Jedną ręką podpierała się na lasce, drugą trzymała pod ramię młodszego od siebie, wysokiego mężczyznę w ciemnoszarej marynarce i jasnoszarych spodniach. Mężczyzna był szatynem o nieco wystającej brodzie, długawej czuprynie, która wymagała fryzjera, i oczach... Nie, nie widziała ich, ale przypomniawszy sobie, że mieniły się wieloma odcieniami, niebieskim, zielonym, złotym i szarym, podobnie jak rzeka w burzowy poranek.

Aaron Mazerik. Od lat ani razu o nim nie pomyślała. Widząc go teraz, sama się sobie nie mogła nadziwić - o kimś takim powinno się myśleć nieustannie. Już w szkole średniej był piekielnie przystojny, nie lalusiowato, lecz niebezpiecznie przystojny. Zabójczo... W tamtych czasach wzbudzał w niej dreszcz strachu. Intrygował ją, a zarazem przerażał.

- Czy to nie Aaron Mazerik? - spytała, starając się nadać głosowi neutralne brzmienie.

Charlie obejrzał się.

- We własnej osobie.

Zdumiona potrząsnęła głową.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek wróci do Riverbend. Gdyby nie miał dość rozumu, żeby po maturze samemu opuścić miasteczko, myślę, że miejscowa policja by go stąd wypędziła.

- Przesadzasz, nie był aż takim rozrabiaką. Posłała przyjacielowi sceptyczne spojrzenie.

- No dobrze - przyznał po chwili Charlie. - Może miał jakieś zatargi z prawem. Ale to dawne dzieje.

- Co tu teraz robi? Kim jest ta kobieta?

- Jego matką. Jakies dwa lata temu przeszła wylew. Aaron przyjechał, żeby się nią opiekować.

Lily stłumiła śmiech. Aaron Mazerik, miejscowy łobuziak i rozrabiaka, sztubak, który lekceważył regulamin szkolny, który chodził na lekcje w obcisłych czarnych koszulkach, który większość czasu odsiadywał w świetlicy jakieś kary, który sprawiał wrażenie, jakby świetnie znał życie, jego mroczne tajemnice... ten sam Aaron przyjechał do domu, żeby zaopiekować się chorą matką?

Na jej twarzy musiało malować się niedowierzanie, bo Charlie dodał:

- To nie wszystko. Został też trenerem koszykówki w naszej dawnej szkole.

- Żartujesz!

- Trener Drummer przeszedł na emeryturę i Aaron przejął jego obowiązki. Dyrekcja postanowiła zatrudnić go na etacie psychologa pracującego z trudną młodzieżą. Bądź co bądź skończył studia, ma dyplom...

- Kto? Aaron Mazerik? - Wprost nie mogła uwierzyć, że chłopiec, który wzbudzał w niej strach i na którego widok dostawała gęsiej skórki, ma dyplom magistra. - Skąd o tym wiesz?

- Bo mi powiedział - odparł Charlie. - Kupił chatę staruszka Millera przy szosie wzdłuż wybrzeża. Całkiem ładnie ją odnowił. Trochę pomagałem mu przy remoncie.

- O rany. - Starła się nie gapić na Aarona, kiedy podtrzymywał matkę wsiadającą do starego pontiaca. - Sporo się tu zmieniło.

- Wcale nie tak wiele - zaproponował Charlie.

Powinna była odetchnąć z ulgą. Bynajmniej nie zależało jej na żadnych zmianach. Wróciła do Riverbend, ponieważ chciała odzyskać dawne życie. Odzyskać wiarę w siebie, we własne sądy. Chciała znów ufać swoim instynktom, wiedzieć, że jest kimś dobrym i szlachetnym, a nie osobą, której serce przepęlnia strach, gorycz i nienawiść. Chciała być tą samą niewinną optymistką, jaką była w szkole średniej, zanim wyruszyła na podbój świata.

Jeżeli Riverbend faktycznie niewiele się zmieniło, może ona, Lily, zdoła odnaleźć w nim dawną siebie, dziewczynę, którą była i którą znów pragnęła zostać.

Z drugiej strony, jeżeli Aaron Mazerik, największy hultaj w miasteczku, doradza trudnej młodzieży, trenuje drużynę koszykówki i

opiekuje się chorą matką, to znaczy, że Riverbend zmieniło się nie do poznania.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Dom był zdecydowanie za duży jak dla jednego lokatora, czy raczej lokatorki; dwupiętrowy, z poddaszem i ze szczytami, stał na ogromnej, przepięknie utrzymanej działce, na której rosły potężne stare drzewa. Werandę otaczały gęste rozłożyste krzaki. Ścieżka prowadząca do frontowych drzwi wyłożona była czerwoną cegłą i z obu stron porośnięta barwnymi kwiatami. Ogrodnik musi tu zarabiać krocie, pomyślał Aaron.

Właściwie nie dziwił się, że Lily Bennett mieszka w domu, który mógłby uchodzić za pałac. Zawsze postrzegał ją jako księżniczkę. Nawet wtedy, gdy miała kilkanaście lat, emanowała pewnością siebie; świadomość, że jest córką lekarza, osobą dobrze urodzoną, pochodzącą z rodziny będącej niemal na samym szczycie drabiny społecznej, napawała ją radością i dumą. Nie znaczyło to, że zadzierała nosa, bynajmniej, po prostu zachowywała się tak, jakby świat stał przed nią otworem,

Aaron nie zazdrościł jej odziedziczonego po mężu bogactwa. Jako człowiek dorosły wyzbył się uczucia zazdrości, które gnębiło go w dzieciństwie, kiedy dorastał w ciasnym mieszkanku na pierwszym piętrze, wiedząc, że inne dzieciaki mieszkają w ładnych domach z dużymi ogrodami. A niektóre domy były rzeczywiście wspaniałe. Na przykład willa doktora Ben-netta. Czasem Aaron wsiadał na swój stary rozklekotany rower i pedałowal przez całe miasto, żeby tylko na nią popatrzeć. A wtedy nawet jeszcze nie miał pojęcia o istnieniu Lily.

Dom doktora zawsze wydawał się Aaronowi imponujący, był jednak skromny w porównaniu z tym, który Lily Holden kupiła dla siebie. Może cierpiała po tragicznej śmierci męża, ale przynajmniej cierpiała w luksusie.

Aaron postanowił złożyć jej wizytę i przekonać ją, żeby zechciała wesprzeć program sportowy dla dzieci. Pieniędzy było dość, aby obóz mógł ruszyć z miejsca, lecz bardzo przydałyby się dodatkowe fundusze. Mógłby zatrudnić więcej osób do pomocy, no i miło byłoby, gdyby sam nie musiał pracować za darmo.

Wszedłszy po trzech schodkach na werandę, zbliżył się do solidnych dębowych drzwi o mosiężnych okuciach i małym okienku, przez które widać było znajdujący się wewnątrz hol: pomalowane na biało ściany, rzeźbiony słupek, odchodzącą od niego drewnianą poręcz schodów, nieduży stolik z wazonem pełnym świeżych kwiatów.

Nacisnął dzwonek.

Cisza.

Przyszło mu do głowy, że powinien był wcześniej zadzwonić. Ale z jakiegoś powodu uznał, że woli rozmawiać z Lily osobiście. Przez telefon byłaby głosem, iluzją. On zaś chciał rozmawiać z kobietą, z prawdziwą kobietą, w dodatku bogatą, a nie z dziewczyną, która dręczyła go w snach, gdy był nastolatkiem.

Nacisnął dzwonek po raz drugi. Nic.

Westchnął zrezygnowany. Już miał wrócić do samochodu, kiedy nagle zmienił zdanie i biegnącą wokół parteru werandą ruszył na tyły domu. Chyba Lily nie miałyby nic przeciwko temu, aby pod jej nieobecność rozejrzał się trochę po terenie? Dom był ogromny, wspaniały... Korciło go, żeby zobaczyć, jak wygląda ogród.

Idąc wzdłuż bocznej ściany, dotarł do rogu i nagle przystanął. Na werandzie za domem, przy stoliku do brydża, ujrzał Lily. Siedziała na składanym metalowym krzeselku, zamiast na jednym ze stojących obok wygodnych foteli wiklinowych, ubrana w stare dżinsy i obszerną bawełnianą bluzkę. Włosy miała zaczesane w luźny warkocz, który opadał na jej plecy.

Malowała. Na niedużych sztalugach dojrzał sztywny karton papieru, na którym widniało pół dzbanka i prawie cała gruszka. Metr dalej, na stołku, stały modele - prawdziwy dzbanek i prawdziwa gruszka. Stolik, przy którym Lily siedziała, zavalony był przyborami malarskimi: obok słoiczków z mętną wodą leżała paleta z farbami, pędzle, szmatka, chusteczki higieniczne.

Była tak pochłonięta pracą, że nie słyszała jego nadejścia. Włożyła pędzel do wody, zakręciła nim energicznie, po czym wytarła go szmatką. Aaron stał bez ruchu, przyglądając się jej w milczeniu. Ponownie zanurzyła pędzel w słoiku; po chwili zbliżyła czubek do pomarańczowej farby, następnie przysunawszy rękę do kartonu na sztalugach, wykonała kilka delikatnych pociągnięć.

Miała niewątpliwy talent, chociaż Aaron zupełnie nie rozumiał, na co komu obraz przedstawiający dzbanek i gruszkę. Dzbanek był pękaty, Lily zaś, posługując się cieniem i bielą, potrafiła nie tylko oddać jego trójwymiarowość, ale sprawić, że kartka zdawała się być niemal wypukła. Po każdym pociągnięciu pędzla przekrzywiała na bok głowę i patrzyła krytycznym wzrokiem na swoje dzieło.

Była równie piękna jak dawniej, a może jeszcze piękniejsza. I równie niedostępna.

Nie chciał, by się na niego zezłościła, kiedy zauważy, że ją obserwuje. Przecież szedł normalnie, nie skradał się, a to, że miał na nogach tenisówki i podłoga nie skrzypiała...

Odchrząknął. Lily podskoczyła na krześle i obróciła się w jego stronę. Pędzel wysunął się jej z ręki i upadł na stół, uderzając o jeden ze szklanych słoiczków.

Zaskoczona, otworzyła usta i wbiła w niego wzrok.

Prawą dłoń zacisnęła na oparciu krzesła. Nie potrafił wyczytać nic z jej oczu, poznać, czy jest zła, czy przerażona, czy za moment wezwie policję, czy może rzuci się pędem do domu i zabarykaduje drzwi.

- Przepraszam - powiedział, chcąc uniknąć obu ostatnich ewentualności. Wydawało mu się, że jego przeprosiny wprawiają ją w jeszcze większe zdumienie, więc dodał szybko: - Za to, że cię wystraszyłem.

Wzięła głęboki oddech i zarumieniła się. Czyżby była nieśmiała? Na samą myśl o tym niemal parsknął śmiechem. Ta elegancka, pewna siebie dziewczyna, która po ukończeniu szkoły zamierzała zawojować świat? Kto by to pomyślał!

- Dzwoniłem do drzwi - rzekł, nie doczekawszy się żadnej reakcji. - Ale pewnie nie słyszałaś...

- No tak, nie słyszałam. - Podniosła ze stołu ścierkę i wytarła ręce, po czym odsunęła krzesło i wstała.

- Nie wiem, czy mnie kojarzysz, ale...

Przerwała mu w pół słowa.

- Jesteś Aaron.

Teraz z kolei on się zdumiał. Nie przyszło mu do głowy, że Lily może znać jego imię. Ani razu w szkole ze sobą nie rozmawiali. On oczywiście wiedział, kim ona jest, ale ona nie miała powodu wiedzieć czegokolwiek o nim.

Czasy szkolne jednak dawno minęły. Teraz oboje byli piętnaście lat starsi i... Aaron zganiał się w duchu. Skup się, stary! Myśl o pieniądzach, po które przyszedłeś, a nie o tym, że nawet w luźnej bezkształtnej koszuli i postrzępionych dżinsach Lily Bennett Holden jest najpiękniejszą kobietą w Riverbend, a może i na całym świecie.

- Tak - powiedział. - Aaron Mazerik.

Wyciągnęła na powitanie dłoń i unosząc lekko głowę, bo był od niej z piętnaście centymetrów wyższy, popatrzyła mu w oczy. Rumieniec wciąż barwił na pąsowo jej policzki, a na ustach błąkał się nieśmiały uśmiech.

- Przeszkodziłem ci w malowaniu...

Zerknęła na sztalugi i wzruszyła ramionami.

- Nie szkodzi.

- Ładne to. - Wskazał brodą na akwarelkę.

- Dziękuję. - Zerknęła ponownie na sztalugi, jakby chcąc się upewnić, czy nie kłamie.

Kłamał, a przynajmniej mijał się trochę z prawdą. Owszem, obrazek był ładny, ale całkiem nie w jego stylu. Po prostu martwa natura nie robiła na nim wrażenia.

Zastanawiał się, jak dyskretnie zwiększyć odległość pomiędzy sobą a Lily. Przytłaczała go nie ona sama, lecz jej zapach. Zapach rozgrzanej skóry, zapach słońca, zapach lata.

Było to denerwujące, że po tylu latach Lily wciąż go podnieca. Dawniej go podniecała, bo był chłopcem, w którego ciele buzowały hormony, teraz zaś był dorosłym facetem, który nie powinien reagować tak żywiołowo na widok atrakcyjnej kobiety.

Odpychając od siebie zdrożne myśli, skupił się na sprawach finansowych. Bądź co bądź przybył tu z ważną misją i im szybciej poruszy kwestię pieniędzy, tym lepiej.

- Czy... moglibyśmy chwilę porozmawiać? - spytał.

- Może usiadziemy? - Wskazała ręką na fotele wiklinowe.

Skinął głową, po czym poczekał, aż pierwsza zajmie miejsce. Fotel był sztywny, a leżąca na nim poduszka cienka i twarda. Może to i lepiej, pomyślał; jeszcze by się za bardzo odprężył i zapomniał, po co przyszedł.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że mnie pamiętasz... - zaczął i ugryzł się w język. Nie tak powinna przebiegać rozmowa o pieniądzach.

Lily rozpromieniła się.

- Przecież chodziliśmy do tej samej szkoły. A Riverbend to nie Chicago.

- Większości dzieciaków sam nie znałem. Nawet z widzenia.

- Ale mnie znałeś?

- Ciebie wszyscy znali. Zawsze byłeś w centrum wydarzeń.

Potrząsnęła głową.

- Przesadzasz. Ale nie ma to teraz większego znaczenia. Chociaż przyznaję, że obracaliśmy się w innych kręgach.

- Ja się w żadnych nie obracałem - powiedział. Psiakość, źle się do tego zabiera! Gdyby wierzył, że wspominając dobre stare czasy zdoła wydusić z Lily parę groszy, wszystko byłoby w porządku. Ale z jakiegoś

powodu, nie mając ku temu przesłanek, był przekonany, że Lily należy do osób, które nie lubią owijania w bawełnę.

- Przygotowałem w szkole letni obóz sportowy dla dzieciaków - oznajmił. - Z początku miał być przeznaczony dla koszykarzy, żeby przez lato nie stracili formy, ale potem okazało się, że młodsi też są zainteresowani. Ponieważ wielu rodziców nie stać na to, aby wysłać dzieci na wczasy czy kolonie, pomyślałem sobie, że warto tu na miejscu zorganizować dla nich tanie zajęcia sportowe. Z naciskiem na grę w kosza i pływanie.

Lily pokręciła głową. Jeszcze nie poprosił o wsparcie, wiedział więc, że to nie oznacza odmowy.

- Charlie Callahan wspomniał, że trenujesz szkolną drużynę koszykówki. - Roześmiała się z niedowierzaniem.

Nie zdziwiła go jej reakcja. Gdyby dziesięć lat temu ktoś mu powiedział, że będzie pracował w szkole średniej w Riverbend jako trener i psycholog, popukałby się w czoło.

- Wally Drummer... Pamiętasz go? Starego trenera? Otóż kiedy przechodził na emeryturę, polecił mnie na swoje miejsce. Pewnie moje akta musiały zaginać, bo dali mi tę pracę.

- Dali, bo się nadawałeś.

- Dali, bo Wally im kazał.

- Trener Drummer znał się na ludziach...

Lily podciągnęła nogi, oplotła ramionami kolana i oparła na nich brodę. Wyglądała niesamowicie dziewczęco; bardziej przypominała podlotka niż dorosłą kobietę, która zdążyła wyjść za mąż i owdowieć. Tak, zdecydowanie łatwiej było mu ją sobie wyobrazić jako czteroletnią

dziewczynkę, która dostaje pierwsze w życiu farby wodne, niż jako pogrążoną w żalu po śmierci męża właścicielkę tej ogromnej posiadłości.

- Nie powinnam była się śmiać. - Minę miała speszoną. - Na pewno jesteś świetnym trenerem. O wiele lepszym od Drummera.

- Nie, jemu nikt nie dorówna - powiedział z głębokim przekonaniem.
- To właśnie z szacunku dla niego postanowiłem zorganizować letni obóz.

Lekki podmuch wiatru przemknął po werandzie. Lily zerknęła na stolik brydżowy, upewniając się, czy wszystko leży na swoim miejscu. Aaron, który powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem, przez moment wpatrywał się w akwarelę. Gruszki, pomyślał, powinno się jeść, a nie malować.

- Przyszedłeś, żeby porozmawiać ze mną o sporcie?

- W pewnym sensie tak. - Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Miał na sobie beżowe spodnie i zapinaną na guziki, świeżo wyprasowaną koszulę. Przed wyjściem z domu przebrał się; uznał, że w starym T-shircie, spranych dżinsowych szortach i rozklepanych sandałach nie wywrze najlepszego wrażenia. - Zajęcia, które organizuję... Chodzi o to, że potrzebuję wsparcia finansowego. Dostałem trochę pieniędzy z klubu rotariańskiego-go, trochę od zarządu szkoły i trochę od prywatnych sponsorów, ale to wszystko za mało. Rodzice płacą trzydzieści dolarów tygodniowo za dziecko. Rozmawiałem z Abrahamem Steele'em, który obiecał pomóc, ale zmarł, zanim zdążył cokolwiek przekazać... Lily przyjrzała mu się uważnie.

- I postanowiłeś zwrócić się do mnie?

- Tak. - Nie było sensu zaprzeczać ani udawać, że przyszedł z przyjacielską wizytą.

Przez dłuższą chwilę milczała.

- Dlaczego?

Miał ochotę odpowiedzieć: dlatego, że mąż zostawił ci fortunę.

Wypadało jednak zachować się bardziej taktownie.

- Staram się prosić o wsparcie wszystkich, których mogę. Chciałbym, żeby ten program dla dzieciaków był jak najlepszy i najciekawszy. Mając odpowiednie fundusze, mógłbym zorganizować coś naprawdę świetnego.

- A trzydzieści dolarów tygodniowo, które rodzice płacą, to za mało?

- Stanowczo za mało.

- Więc dlaczego nie podniesiesz ceny?

- Bo, jak mówiłem, obóz jest dla dzieci z ubogich rodzin.

- Skoro z ubogich, po co w ogóle żadasz jakichkolwiek opłat?

- Bo jak coś jest za darmo, nikt tego nie ceni - wyjaśnił. - Jednego dnia dzieciaki by przychodziły, drugiego by im się nie chciało. Co innego jak rodzice zapłacą, choćby nawet symboliczną stawkę. Wtedy inaczej się taką rzecz traktuje.

Lily skinęła ze zrozumieniem głową, po czym powiodła spojrzeniem po ogrodzie. Z prawej, na końcu podjazdu, stał garaż, którego boczną ścianę porastały żółte róże. Trawnik na tyłach domu był równie starannie przystrzyżony jak trawnik od frontu, tyle że gdzieś tam zieleń trawy urozmaicały rabaty kwiatów. Przy samej werandzie rosła jabłoń, oczywiście dawno już przekwitła. W powietrzu niósł się śpiew ptaków, wiatr szeleścił liśćmi drzew.

Aaron nie odzywał się. Widział, że Lily siedzi zamyślona i nie chciał jej ponaglać. Ponownie wbił wzrok w obrazek na sztalugach; ciekaw był,

dlatego postanowiła namalować dzbanek zamiast drzew, kwiatów, fragmentu ogrodu.

- Czy ktoś ci mówił, że jestem bogata? - spytała, przerywając wreszcie ciszę.

Kiedyś potrafił łącać bez zajknięcia. Chociaż wyszedł z wprawy, wierzył, że gdyby sytuacja tego wymagała, znów by potrafił. Ale nie chciał okłamywać Lily.

- Słyszałem o śmierci twojego męża - rzekł, prostując się na fotelu. - Bardzo ci współczuję...

Odwróciła oczy; popatrzyła na akwarelę, na prowadzące do kuchni drzwi z siatki, na świeżo pomalowaną białą balustradę okalającą werandę.

- Dzięki - mruknęła pod nosem.

Zdumiał go jej ton. Czyżby wątpiła w jego szczerość? Nikomu nie życzył śmierci, a już zwłaszcza mężowi Lily. Kiedy był młodym chłopakiem, niemal każdej nocy o niej marzył, ale wiedział, że te marzenia nigdy się nie spełnią. Dlatego nie cierpiał, kiedy Lily wyszła za mąż. I nie robiło mu różnicy, kogo poślubiła - bogacza czy nędzarza. Gdyby wyszła za biedaka, a ten by zginął, współczułby jej dokładnie tak samo.

Dlaczego więc popatrzyła na niego tak dziwnie? Jakby go nie widziała. Albo jakby ją obraził. Przecież tylko złożył jej kondolencje. To chyba normalne?

A może... Nie, nie chciał myśleć o zmarłym mężu Lily. Chciał jedynie, aby jej oczy znów się zaiskrzyły.

- No dobrze - oznajmił, pochylając się w jej stronę. - Masz rację. Słyszałem plotki, że co nieco po mężu odziedziczyłaś. To małe miasteczko. Ludzie niewiele mają tu do roboty, więc plotkują.

- O mnie też? - zapytała speszona.

Sądząc po jej minie, obawiała się plotek. Ale chyba zdawała sobie sprawę, że nikt nie mógłby o niej powiedzieć złego słowa?

- W każdym razie - ciągnął - postanowiłem ciebie również poprosić o wsparcie. Jest to naprawdę doskonały program, ale może w nim uczestniczyć tylko dziesięcioro dzieci tygodniowo. Mając trochę więcej pieniędzy, mógłbym zatrudnić kogoś do pomocy. A także wykwalifikowanego ratownika, żeby w czasie wolnym od koszykówki dzieciaki mogły pływać. Zaintrygowana, zmierzyła go wzrokiem.

- Masz tylko dziesięcioro dzieci?

- Dziesięcioro na tydzień. Z większą liczbą sam jeden bym sobie nie poradził. W sumie chętnych jest czterdzieści osób. Muszę nimi jakoś żonglować.

- Aaron Mazerik — powiedziała cicho. Lekki uśmiech igrał na jej ustach. - Kto by pomyślał? -Przez chwilę w milczeniu uderzała palcami o kolano, po czym wstając z fotela, spytała: - Ile potrzebujesz?

- Miło byłoby mieć sto tysięcy - odparł, błyskając zębami. - Ale tysiąc też mnie ucieszy. A nawet kilkaset dolarów. Na razie rozstawiłem puszki na datki w różnych miejscach. W Sunnyside Café, w sklepie z narzędziami, w drogerii. Ludzie wrzucają drobne, pięcio- i dziesięciocentówki. Widok banknotów bardzo by mnie podniecił.

Wybuchnęła śmiechem. Nie był to śmiech dźwięczny i beztroski, raczej cichy, niski i... chrapliwy, jakby dawno się nie śmiała i wyszła z wprawy.

- Na razie wykaż odrobinę samokontroli, a potem zobaczymy, dobrze? Nie mówię „tak” ani nie mówię „nie”. Po prostu chcę to sobie przemyśleć.

- Jasne.

Samokontroli? Na niewiele się zdawała. Podniecał go sam uśmiech Lily. To, jak się śmiała. To, jak na niego patrzyła.

Musiał wziąć się w garść. Nie mógł sobie pozwolić na żadne zdrożne myśli. Co innego podniecać się widokiem banknotów, a co innego widokiem Lily Bennett. Nie, ją musi traktować uprzejmie, ale na wyciągnięcie ręki.

Nie chcąc przedłużać swojej nie zapowiedzianej wizyty, podniósł się z fotela.

- Nie będę ci zajmował więcej czasu. Zresztą, muszę się jeszcze trochę przygotować, bo program rusza już jutro. Gdybyś miała jakieś pytania czy wątpliwości, znajdziesz mnie w sali gimnastycznej. Możesz zajrzeć albo zadzwonić.

- Dobrze.

Zamierzał się pożegnać i odejść, Lily jednak odwróciła głowę i przez moment wpatrywała się w sztalugi.

- Sprawiasz wrażenie człowieka prawdomównego. Nie był pewien, jak zareagować, toteż wzruszył ramionami.

- Powiedz mi, co sądzisz o moim obrazku.

Czuł się tak, jakby poddawała go próbie. Jeżeli oczekiwała pochlebstw... cóż, on się do tego nie nadawał. Jeżeli natomiast pragnęła usłyszeć prawdę...

- Wydaje mi się bardzo... bezpieczny.

- Bezpieczny? - Przechyliwszy na bok głowę, przyjrzała się ponownie akwareli. - Co przez to rozumiesz?

- Niewątpliwie masz talent, ale... Słuchaj, ja się na tym nie znam. Nie jestem krytykiem sztuki.

- Sama prosiłam cię o opinię. Nie znienawidzę cię za to, co powiesz. Może tak, a może nie, pomyślał.

- No dobrze. Więc sam obrazek jest ładny, precyzyjnie namalowany, ale nie ma w nim ekspresji. Dzbanek i gruszka to taki neutralny temat. Bezpieczny. Nudny. Nijaki.

Zmrużywszy oczy, wpatrywała się w swoje dzieło. Po chwili skrzywiła się niezadowolona, nie potrafił jednak powiedzieć, czy była niezadowolona z siebie, czy z powodu jego słów. Być może, krytykując jej pracę, przekreślił szansę na jakiegokolwiek pieniądze. Być może zaprzepaścił szansę na to, by połączyło ich coś więcej niż luźna znajomość. Chociaż nie. Taka możliwość w ogóle nie wchodziła w grę.

Lily wciąż milczała. Aaron, coraz bardziej skonsternowany, wyrzucał sobie swą prawdomówność. Z każdą sekundą nabierał też coraz większej pewności, że nie dostanie ani grosza na organizowany przez siebie obóz dla dzieci z Riverbend.

- To ja już pójdę - rzekł, cofając się wolno na koniec werandy. - Nie będę ci zajmował czasu.

Oderwała spojrzenie od akwareli. Oczy jej lśniły niczym gwiazdy na bezchmurnym nocnym niebie.

- Bezpieczny, powiadasz? Nijaki?

- Powinienem był trzymać język za zębami. - Nawet nie chodziło mu o pieniądze. Po prostu żałował, że sprawił jej przykrość. - W sprawach sztuki jestem noga.

- Bo ja wiem? Nie sędzę. - Tajemniczy uśmiech przebiegł po jej twarzy. - A jeśli chodzi o twoją prośbę, przemyślę ją sobie.

- Dzięki.

Skinąwszy głową, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę zaparkowanego przed domem samochodu. Im bardziej oddalał się od wiklinowych foteli, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że nie dostanie od Lily ani grosza. Był durniem, że prosił ją o pieniądze. I durniem, że skrytykował pracę na sztalugach. Jak na jeden dzień, wykazał się aż nazbyt dużą głupotą.

Aaron Mazerik wzbudzał w niej strach.

Tak było dawniej, tak było i dziś. Powtarzała sobie w duchu, że nie jest już tym samym buntownikiem o mocno nadszarpniętej opinii, ale niewiele to pomagało. Mimo że szkołę ukończyli piętnaście lat temu - ona w czołówce najlepszych uczniów, on o włos unikając poprawczaka - widok Aarona sprawiał, że przenikały ją dreszcze; pot rosił jej czoło, a lęk odbierał mowę. Aaron prawie się nie zmienił; wciąż był szczupły, wysoki, wciąż też emanował jakąś wewnętrzną siłą. Poza tym miał najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

Rozwagi za to nie miał za grosz: bez wahania skrytykował akwarełę namalowaną przez osobę, od której próbował wydobyć pieniądze na szlachetny cel. Może zachował się nieelegancko, ale przynajmniej był szczery. W dodatku miał rację. Obrazek faktycznie był mdły, nijaki.

Wzdychając cicho, pchnęła drzwi i weszła do kuchni. Chciało jej się pić. Rozejrzała się dookoła. Jakoś nie mogła sobie znaleźć miejsca. Czymś by się zajęła, coś porobiła.

Kuchnia była za duża. Właściwie to cały dom był za duży. Ale z umeblowaniem go nie miała większych problemów; dom, w którym mieszkała z Tylerem w Cohasset pod Bostonem, też był absurdalnie wielki. Kiedy go sprzedawała, wszystkie rzeczy kazała przesłać do Riverbend.

Powiodła wzrokiem po słonecznej kuchni. Parapet nad zlewem zdobiły doniczki z ziołami. Po obu stronach okna znajdowały się dębowe szafki, z przodu oszklone, w których stały talerze i szklanki. Wyjęła jedną i przeszła na drugi koniec kuchni, do lodówki. Napełniła szklankę zimną lemoniadą.

Nie przeszkadzał jej tak ogromny metraż. Zakochała się w tym domu, kiedy była jeszcze dzieckiem; prawie codziennie mijała go na rowerze, kiedy jechała spotkać się z przyjaciółmi nad rzeką. Nie wiedziała, kto go zbudował ani do kogo należy, wiedziała tylko, że sama chciałaby w nim zamieszkać. Okrągłe okna, pochyły dach, wieżyczka - to wszystko wydawało się jej takie wspaniałe i magiczne. Wyobrażała sobie, że na poddaszu żyją wróżki, a w piwnicy duch, oczywiście dobry, przyjaźnie nastawiony do ludzi. Kiedy po śmierci Tylera wróciła do Riverbend i zobaczyła, że dom jest na sprzedaż, kupiła go bez najmniejszego wahania.

Nie żałowała swojej impulsywnej decyzji, ale miała świadomość, że mając tylko jednego lokatora, dom pozostaje właściwie nie zamieszkanym. Było to jednak miejsce, w którym mogła się schować przed światem, wylizać z ran, starać się naprawić błędy, jakie popełniła w życiu. Lubiła

krażyć po przestronnych pokojach, siadać to tu, to tam, nastawiać muzykę na pełny regulator, o dowolnej porze dnia lub nocy oglądać telewizję.

Trzymając w ręku szklanekę z lemoniadą, ruszyła w stronę frontowych drzwi i uchyliła zasłonkę w oknie. Aarona nigdzie nie było widać; najwyraźniej już odjechał.

Ciekawe, czy w policyjnej kartotece wciąż figuruje jako karany? A może notatka o jego zatrzymaniu została usunięta, kiedy skończył dwadzieścia jeden lat? Potrząsnęła gniewnie głową. Nie powinno to jej obchodzić. Nigdy nie miała do czynienia z ludźmi będącymi na bakier z prawem.

W czasach szkolnych Aaron Mazerik, hulaka chodzący własnymi drogami, całkiem nieprzystosowany do życia w małej spokojnej mieścinie, różnił się od Lily i jej przyjaciół; patrzyli na niego zaintrygowani, choć woleli się z nim nie zadawać. Kiedy w drugiej klasie trafił do szkolnej drużyny koszykówki, wszystkim opadła szczeka. Mało to trener Drummer miał kłopotów? Co mu strzeliło do głowy, żeby brać do drużyny Aarona? Wiadomo było, że to diabelskie nasienie. Wymykał się z lekcji na papierosa, a nawet gorzej - łąził nocami po ulicach i podobno kradł. Co prawda, w te kradzieże Lily nie bardzo wierzyła. A może po prostu nie chciała wierzyć.

Słyszała, że był aresztowany - za włóczęgostwo. Słyszała, że włamywał się do samochodów, że palił trawkę i że zwędził nóż ze sklepu z narzędziami, chociaż nigdy żadnego noża przy nim nie znaleziono. Słyszała, że aresztował go Frank Garvey i że Aaron spędził noc w policyjnym areszcie. Jego matka nigdy nie wyszła za mąż; wychowywała

go samotnie. Mieszkali razem, Evie Mazerik i jej syn buntownik, łobuz, autsajder.

Odwiedziny Aarona i jego prośba o wsparcie finansowe trochę Lily zdeprymowały. Owszem, odziedziczyła po Tylerze całkiem sporo pieniędzy, ale z przyjemnością by je wszystkie oddała w zamian za odrobinę szczęścia i szansę pozbycia się wyrzutów sumienia, które nieustannie ją dręczyły. Zdawała sobie sprawę, że wracając do Riverbend, narazi się na plotki. Bo w Riverbend wszyscy o wszystkim plotkowali.

Nie chciała jednak, by wyciągano do niej rękę po datki, by postrzegano ją jako nieograniczone źródło pieniędzy. Wiedziała, że większość z nich i tak odda na cele dobroczynne, ale wolała sama podejmować takie decyzje.

Stała w drzwiach salonu, spoglądając na kanapy w pięknych haftowanych pokrowcach, na murowany kominek i zawieszony nad nim obraz olejny w grubej ramie. Przedstawiał pejzaż morski. Nic szczególnego. Wypatrzyła go kiedyś na letnim festiwalu sztuki i postanowiła kupić. Tyler był temu przeciwny, twierdził, że obraz jest banalny, sztampowy, ale zupełnie się tym nie przejęła. Dom był jej królestwem i urzędowała go po swojemu. Pejzaż zaś spodobał się jej dlatego, że przypominał widok oceanu, jaki miała ze swojego tarasu. A także dlatego, że fascynował ją uchwycony przez malarza ruch: białe wzburzone fale, złowrogie chmury kłębiące się na horyzoncie.

Co jak co, ale ten obraz na pewno nie był „bezpieczny”. W przeciwieństwie do jej grzecznej, nudnej akwareli.

Aaron miał rację, mówiąc, że jest nijaka. Może był hulaką i nicponiem, który zawrócił ze złej drogi, i może nie znał się na sztuce, lecz

kiedy spytała o jego zdanie, bez ogródek wyznał jej, co myśli o obrazku wspartym o sztalugi. Że przedstawia martwą naturę, całkowicie martwą, bez krztyny ekspresji. To, co namalowała, było ładne, uładzone, nijakie. Po prostu bezpieczne. Nudne. Nie odważyła się wyjść poza ramy, poza wyznaczone Unie.

Ale czy można się dziwić, że pragnęła odrobiny spokoju, że tęskniła za bezpiecznym życiem? Dorastała w poczuciu bezpieczeństwa, kochana przez rodziców, akceptowana i szanowana przez przyjaciół. W Riverbend nigdy nic jej nie groziło; wszystko toczyło się stałym rytmem, ludzie znali się i troszczyli o siebie nawzajem. Nawet przepływająca obok rzeka nie miała wirów; można było się w niej kąpać bez obaw, że człowieka zniesie prąd. Po osiemnastu latach życia w takiej oazie bezpieczeństwa Lily gotowa była zaszaleć, podjąć ryzyko.

I zrobiła to. Najpierw wyjechała do Nowej Anglii na studia, a potem poślubiła mężczyznę, który w niczym nie przypominał znajomych chłopców z Riverbend. Zaryzykowała, lecz to ryzyko nie opłaciło się. Poniosła sromotną porażkę. Bała się następnych i dlatego postanowiła do końca życia wystrzegać się pułapek i zagrożeń.

Przyjęła jednak u siebie Aarona, niegdyś łobuza i hultaja, i nic złego się jej nie stało. Nie była pewna, czy wypisze mu czek na letni program dla dzieci, ale to inna sprawa. Ważne było to, że podała mu rękę, że poprosiła go, by usiadł, że spytała, co sądzi o akwareli, którą malowała.

Może więc gotowa była wyjść ze swojej skorupy, zacząć normalnie żyć?

A może to Aaron, człowiek o hipnotycznym wzroku sprawił, że znów pragnęła zaszaleć?

ROZDZIAŁ TRZECI

Dopóki nie poznała Tylera, nie była przyzwyczajona do luksusu. Znała życie w normalnej, średnio zamożnej rodzinie mieszkającej w ładnym domku w ładnym, spokojnym miasteczku.

W brzuchu nigdy nie burczało jej z głodu. W sierpniu, przed rozpoczęciem roku szkolnego, wybierała się z mamą na zakupy; matka, nie narzekając na drożyznę ani na to, że córka tak szybko wyrasta ze starych rzeczy, kupowała jej nowy zestaw ubrań. Zawsze miała kilka par butów, nawet w okresie, gdy co trzy, cztery miesiące stopy powiększały się jej o jeden numer. Chodziła na lekcje muzyki, na lekcje baletu i lekcje rysunku. Zwykle raz w tygodniu, w niedzielę, całą rodziną jedli obiad w restauracji; nie była to jakaś znacząca pozycja w ich domowym budżecie.

Kiedy przyjęto ją na studia do małego prywatnego college'u w Massachusetts, rodzice nie powiedzieli, że niestety jest za drogi ani że powinna się ubiegać o stypendium. Nie tylko płacili za jej naukę, ale również za przeloty do domu, aby mogła ich odwiedzać w czasie świąt oraz ferii zimowych i wiosennych.

Mimo to prawdziwe znaczenie słowa „bogaty” poznała dopiero wtedy, kiedy spotkała Tylera. Wcześniej nawet sobie nie wyobrażała, że tyle pieniędzy może znajdować się w rękach jednej rodziny.

Patrzyła na Tylera jak na istotę obcego gatunku, jak na kogoś spoza tego świata. Na przykład na pierwszą randkę zabrał ją porsche do Bostonu, do ekskluzywnej restauracji, gdzie najtańsza przystawka kosztowała dziesięć dolarów, po kolacji odwiózł z powrotem do

akademika, pocałował na dobranoc i odjechał, obiecawszy, że wkrótce zadzwoni.

Była oszołomiona, kiedy istotnie zadzwonił.

Nie mogła się przyzwyczać do tego, że tak wiele na nią wydaje - co było o tyle ironiczne, że rodzice Tylera uważali ją za materialistkę, którą obchodzą wyłącznie pieniądze ich syna. Kiedy udali się do jubilera po pierścionek zaręczynowy, Lily wybrała taki z najmniejszym brylantem; Tyler odrzucił go i wybrał z największym. Nie interesowało jej bogactwo Tylera i to właśnie, jak utrzymywał, było jednym z powodów, dla których ją pokochał. Większość kobiet, z którymi się dotąd spotykał, bardziej pociągała zawartość jego portfela niż on sam. Do Lily jednak miał zaufanie. Uwielbiał ją za jej urodę, serce i inteligencję, a także za to, że pokochała jego, a nie jego pieniądze.

Przez kilka lat mieszkali w Bostonie, w dużym, przestronnym apartamencie w eleganckiej dzielnicy Back Bay. Kiedy pozycja Tylera w firmie adwokackiej ugruntowała się, na jego małżeństwie zaczęły pojawiać się pierwsze rysy. Tyler uznał, że zdołają je posklejać i wszystko naprawić, jeżeli kupią wspaniałą rezydencję pół godziny drogi od Bostonu, w Cohasset. Znalazł piękny dom z pięcioma sypialniami i oknami wychodzącymi na ocean. Lily ucieszyła się, pewna, że mąż dojrzał wreszcie do myśli o dzieciach. Okazało się, że nie. Po prostu wierzył, że przeprowadzka w nowe miejsce pomoże im rozwikłać problemy małżeńskie.

Tak się jednak nie stało. Problemy zaczęły narastać. Lily zasiadała w paru lokalnych komisjach, pomagała społecznie w pobliskim szpitalu, ale dręczyło ją poczucie niespełnienia. Marzyła o dziecku czy chociażby o

jakimś prawdziwym zajęciu. Z wykształcenia była nauczycielką rysunku, z powołania - matką. Żyjąc z Tylerem w Cohasset, nie miała szansy zaspokoić swych ambicji ani w sferze zawodowej, ani osobistej.

- Nie zgadzam się, żeby moja żona gdziekolwiek pracowała - oznajmił kiedyś Tyler. - Nie możesz odbierać pracy ludziom bardziej potrzebującym. Ludziom, którzy muszą zarabiać na życie.

Jeśli zaś chodzi o dzieci, dodał, to porozmawiają o tym, kiedy zostanie współnikiem w firmie.

Kiedy wreszcie został współnikiem w firmie, Lily odechciało się dziecka. Wiedziała, że za żadne skarby świata nie chce zająć z Tylerem w ciąży. Chyba że Tyler się zmieni. On jednak nawet o tym nie myślał.

Tak więc dni spędzała na zebraniach różnych zarządów i komisji, uczęszczała na spotkania w bibliotece, zanosila kwiaty pacjentom w szpitalu. Wieczory spędzała z Tylerem, jego rodzicami i ich bogatymi przyjaciółmi, chodząc na bale charytatywne, koncerty symfoniczne, benefisy. Nocami zaś płakała, płakała i modliła się w duchu, aby Tyler znów stał się tym człowiekiem, w którym zakochała się przed laty - mądrym, dowcipnym, szarmanckim, pełnym uroku młodzieńcem, który słuchał tego, co miała do powiedzenia, który zawsze pytał ją o zdanie, który lubił ją zaskakiwać zabawnymi prezentami, który miewał zwariowane pomysły i któremu zależało na niej tak samo, jak jej na nim.

Nikt w Riverbend nie znał prawdy. Nie zniosłaby tego, gdyby ktokolwiek dowiedział się, jaka jest nieszczęśliwa i jak posępnie prowadzi życie. Dzwoniąc do rodziców, zapewniała ich, że wszystko układa się znakomicie. W listach do przyjaciół w samych superlatywach opisywała swojego męża.

Wszyscy zawsze twierdzili, że jest w czepku urodzona. I wszyscy przewidywali, że taką dziewczynę jak ona, ładną, zdolną, z dobrego domu, czeka wspaniała przyszłość u boku bogatego, przystojnego mężczyzny, absolwenta prawa Uniwersytetu Harvarda - innymi słowy Tylera Holdena. Jak mogła się przyznać, że poniosła porażkę? Jak mogła zawieść ludzi, którzy tak bardzo w nią wierzyli?

Rodzice Tylera byli oburzeni sumą, którą ich syn zostawił Lily w testamencie. Od pierwszego dnia małżeństwa starała się być dobrą synową, ale Holdenowie nigdy jej nie zaakceptowali. Odnosili się do niej z wyższością, z pobłażaniem, i na każdym kroku dawali jej odczuć, że nie należy ani do rodziny, ani do ich sfery. Kiedy próbowała z nimi porozmawiać, poprosić ich, aby wpłynęli na zachowanie Tylera, oznajmili chłodno, że z pewnością przesadza. Chyba każdemu wolno wypić kieliszek martini przed kolacją? W cywilizowanym świecie jest to powszechnie przyjęte. Jeżeli Lily ma z tym problem, no cóż... jest to jej problem, a nie Tylera.

Mąż zareagował w identyczny sposób.

- Jeśli uważasz, że za dużo piję, to twój problem. Zamiast suszyć mi głowę, może powinnaś zadać sobie pytanie, dlaczego sięgam po alkohol. Może nie jestem szczęśliwy? Może nie dajesz mi tego, czego pragnę? Może w domu brakuje mi ciepłej, serdecznej atmosfery? Może żona nie kocha mnie tak, jak powinna?

Starała się. Naprawdę starała się go kochać. Ale kiedy wypijał czwarte, a potem piąte martini - nie okazjonalnie, ale regularnie co wieczór - nie mogła znieść jego widoku.

Po śmierci męża wzięła pieniądze, które przypadły jej w spadku, sprzedała dom w Cohasset i wróciła do Riverbend. Tu zaś natychmiast rozeszła się pogłoska, że Lily Holden z domu Bennett jest osobą bogatą, choć ile wynosi jej majątek, tego oczywiście nikt nie wiedział. W oczach ludzi, którzy znali ją od dzieciństwa, odziedziczone po mężu bogactwo stanowiło kolejny dowód na to, jak udane i szczęśliwe było jej życie. Przystojny mąż, cudowne małżeństwo, tragiczna śmierć...

Kim była po śmierci męża? Piękną wdową, jedną z najbogatszych kobiet, jakie kiedykolwiek mieszkały w Riverbend.

Żyjąc z Tylerem, nauczyła się jednego: że kiedy jest się bogatą, trzeba mieć się na baczności, ponieważ dziewięć osób na dziesięć bardziej interesują twoje pieniądze niż ty sama. To, że ktoś jest miły, usłużny, uczynny, zazwyczaj oznacza, że czegoś od ciebie chce. Tam, gdzie są pieniądze, bezinteresowność należy do rzadkości.

Z natury była osobą szczodłą, o miękkim sercu, zdawała sobie jednak sprawę, że teraz powinna zachowywać daleko idącą ostrożność. Że zanim podejmie jakąkolwiek decyzję, powinna wszystko starannie przemyśleć. I chodząc po domu, właśnie to robiła - zastanawiała się nad prośbą Aarona o wsparcie finansowe.

Program sportowy dla dzieci z ubogich rodzin. Szlachetny cel. Kusilo ją, żeby wpłacić pieniądze. Suma, jakiej Aaron potrzebował, była naprawdę niewielka. Ale nie zamierzała wypisywać czeku tylko dlatego, że stać ją było na spełnianie zachcianek. Co to, to nie. Postanowiła dowiedzieć się, na co konkretnie pójdą te pieniądze.

Od powrotu do Riverbend unikała wychodzenia z domu i wypraw do centrum miasteczka. Bała się zdawkowych rozmów z ludźmi, których

spotka. Nie chciała zastanawiać się, co widzi w ich oczach: współczucie czy zazdrość. W spojrzeniu Aarona nie dostrzegła ani jednego, ani drugiego i może dlatego skłonna była mu pomóc. Wprawdzie ktoś mógłby uznać to za mało wystarczający powód, ale innego na razie nie miała.

Najpierw jednak chciała zobaczyć, na czym taki obóz polega. Na własne oczy przekonać się, jakim dzieci dysponują sprzętem, czego im brakuje, na co zostaną użyte pieniądze. Przecież w gruncie rzeczy nie znała Aarona. Może marzył o tym, żeby ściągnąć do Riverbend najlepszych graczy z drużyny Indiana Pacers, aby nauczyli miejscowe dzieci grać w koszykówkę jak zawodowcy. Ona zaś chętnie by zafundowała dzieciom wakacje, ale niekoniecznie zależało jej na tym, żeby urzeczywistnić wizje szaleńca.

Poza wszystkim innym pragnęła się przekonać, czy Aaron jest człowiekiem godnym zaufania.

Toteż w poniedziałek około południa wsiadła do samochodu - kabrioletu bmw - i ruszyła w kierunku szkoły średniej.

Jakiś tydzień czy dwa temu podjęła decyzję, że sprzeda ten samochód i kupi inny. Staremu nie miała nic do zarzucenia prócz drogiej marki. Wyboru auta dokonał dla niej Tyler, twierdząc, że bmw nigdy nie traci na wartości. Lily nie znała się na tym, po prostu podobał jej się pomysł kabrioletu; zresztą w Bostonie mnóstwo ludzi jeździło beemkami.

W Riverbend natomiast drogi sportowy samochód wydawał się jej zbędnym i kłopotliwym luksusem. Zagranicznych wozów było tu jak na lekarstwo. W dodatku nie miała pojęcia, gdzie się takie auto daje na przegląd ani kto je od niej kupi; podejrzewała, że na miejscu nie znajdzie

się nikt chętny i będzie musiała umieścić ogłoszenie w jednej z gazet w Indianapolis.

Na razie nie zamierzała o tym myśleć; w ciepły czerwcowy dzień jazda kabrioletem była przyjemnością. Promienie słońca pieściły ją po twarzy, wiatr targał włosami. Zadzierając do góry głowę, widziała nad sobą błękit nieba i zieleń drzew.

Przeszkadzały jej zaciekawione spojrzenia, jakimi mieszkańcy Riverbend omiatali samochód. Może gdyby postawiła dach, mniej by się rzucał w oczy. Ale powinna była to zrobić, zanim wyruszyła do centrum, bo teraz było już za późno. Wszyscy zdążyli ją zauważyć.

Dobrze, że chociaż włożyła okulary przeciwsłoneczne. Mogła udawać, że nie widzi, jaką sensację wzbudza samochód i nie musiała machać do ludzi, których rozpoznawała na ulicy lub chodniku. Zresztą była w żałobie. Chyba nikt nie oczekiwał, że zacznie wszystkich wesoło pozdrawiać.

Nagle, kilkadziesiąt metrów przed sobą, spostrzegła swoją matkę, która akurat wychodziła z apteki. Eleanor

Bennett, ubrana w białą bluzkę i dżinsową spódnicę, wyglądała pięknie i młodo. Była tak samo szczupła jak w dniu, kiedy poznała ojca Lily, i wciąż miała gładką brzoskwiniową cerę. Stale tłumaczyła córce, jak ważne jest, by trzymać głowę prosto i nie garbić się. „Ludzie zupełnie inaczej traktują osobę pewną siebie, kroczącą dumnie przez życie, a inaczej szarą, zahukaną myszkę”.

Lily żałowała, że matka nie udzieliła jej więcej cennych rad w życiu, ale cóż, przypuszczalnie i tak by się nimi nie kierowała. Nie matka bowiem, lecz ojciec miał na nią istotny wpływ. Julian Bennett był jak

Ziemia, a Eleanor jak Księżyc, który krąży wokół niego. Matka zawsze należała do cichych, uległych kobiet, które poświęcają się dla innych; robią wszystko, aby mąż i dzieci byli zadowoleni, a same usuwają się w cień i cieszą ich szczęściem. W wieku trzydziestu trzech lat Lily miała wrażenie, że tak naprawdę to niewiele wie o swojej matce.

Eleanor Bennett opuściła aptekę, ściskając w ręku niedużą torebkę ze sprawunkami. Minę miała spiętą, jakby trapiły ją jakieś kłopoty. Lily podjechała bliżej.

- Mamo! - zawołała, kiedy znalazła się na jej wysokości. - Może cię podwieźć?

Kobieta odwróciła się i rozpromieniła na widok córki.

- Lily! Jak to miło, że wyszłaś z domu. Ależ dziś jest piękny dzień...

Podeszła do samochodu, rozpościerając szeroko ramiona, jakby chciała ogarnąć nimi córkę, pogodę, świat.

- Rzeczywiście piękny - przyznała Lily. Zaparkowała przy krawężniku, po czym przysunęła rękę do głowy, usiłując rozplatać potargane przez wiatr włosy.

- Co cię sprowadza do miasteczka? - spytała matka.

Lily nie miała pojęcia, jak by matka zareagowała, gdyby usłyszała prawdę. Zapewne nawet nie kojarzyła Aarona Mazerika, a jeśli jakimś cudem go zapamiętała, to raczej jako młodzieńca wpadającego stale w tarapaty, przed którym należy chronić dzieci. Zwłaszcza córki.

W każdym razie nie zamierzała wdawać się w długą, burzliwą dyskusję o tym, czy powinna wesprzeć finansowo program sportowy, o którym Aaron jej wczoraj opowiedział, czy też nie.

- Nic takiego - odparła. - A ty, mamusiu? Dokąd się wybierasz?
Może byśmy zjadły razem lunch?

Starsza pani wydała się najpierw zaskoczona, a potem ucieszona propozycją córki.

- Chętnie, kochanie. Ale tu nie można parkować. Stań tam dalej - wskazała ręką kilka pustych miejsc tuż za rogiem - a potem zajrzemy do Sunnyside Cafe.

Lily ogarnęły wątpliwości. Owszem, chciała porozmawiać z matką, dowiedzieć się, co ją trapi i dlaczego z tak posępną miną opuszczała aptekę, ale nie chciała rozmawiać w Sunnyside Cafe, najchętniej odwiedzanym lokalu w miasteczku.

Wszyscy tam wpadali na lunch: lekarze, prawnicy, kierowcy ciężarówek, sklepikarze, urzędnicy, farmerzy spoza miasta. Sunnyside było siedliskiem plotek. Kiedy tylko bywalcy ujrzą, jak matka z córką siadają razem przy stoliku, języki pójdą w ruch. Bogata wdowa nareszcie wyszła z ukrycia! Jeździ po mieście szpanerskim autem! Samotnica porzuciła samotnię. Gotowa jest włączyć się z powrotem w wir życia.

Wcale nie była gotowa. Bynajmniej nie z powodu żałoby po stracie męża, ale dlatego, że wyjechała z Riverbend jako młoda niewinna dziewczyna pełna wiary w przyszłość, a wróciła jako dorosła kobieta, zgorzkniała, boleśnie doświadczona przez los, przytłoczona straszliwym poczuciem winy. Nie, zdecydowanie nie była gotowa porzucić swojego bezpiecznego azylu i stawić światu czoło.

Miała ochotę odwrócić się i uciec, ale było już za późno. Matka, przywdziawszy na twarz radosną, uśmiechniętą maskę, czekała na rogu.

Nie pozostawało nic innego, jak wdziąć podobną i robić dobrą minę do złej gry.

Weszły do gwarnej restauracji, Lily w ciemnych okularach na nosie. Gdyby je zdjęła, oślepiłyby ją jaskrawożółte ściany. A od zgiełku rozmów i brzęku talerzy rozbolełaby ją głowa, gdyby wcześniej nie rozboleła jej ze zdenerwowania.

- Tam jest miejsce - powiedziała Eleanor, wskazując jedyny pusty stolik w całym lokalu.

Ruszyła przodem; przeciskając się między innymi stolikami, pomachała do kogoś znajomego. Lily szła za nią ze spuszczonego nisko wzrokiem - nie chciała, by ludzie ją rozpoznawali, pozdrawiali. Chciała jedynie w spokoju pobyc przez godzinę z matką.

Doszedłszy do stolika, usiadły naprzeciwko siebie i Lily z ociąganiem zdjęła okulary. Bała się, że jeśli się będzie za nimi ukrywać, ludzie pomyślą, iż wywyższa się i zadiera nosa. Schowała je do torebki i dyskretnie rozejrzała po sali.

Kobieta na stołku przy kasie nieopodal drzwi wydała się jej znajoma z wyglądu. Włosy miała w dziwnym kasztanoworudym odcieniu i niesamowitą twarz o sterczących kościach policzkowych i wąskiej brodzie. Uśmiechając się od ucha do ucha, rozmawiała z potężnie zbudowanym facetem w kombinezonie roboczym i czapce z daszkiem.

Nagle skojarzyła ją sobie: po nabożeństwie za zmarłego Abrahama Steele'a kobieta wyszła z kościoła wsparta na ramieniu Aarona. Była to Evie Mazerik, matka Aarona.

Nigdy jej wcześniej nie spotkała, ale faktycznie, ktoś kiedyś mówił, że matka Aarona pracuje w Sunnyside Café. Jako uczennica szkoły

średniej Lily nie miała zwyczaju ani powodu jadać w Sunnyside śniadań czy obiadów. Czasem wieczorem wpadała tu z przyjaciółmi na ciastko lub loda, ale wtedy przy kasie siedział mężczyzna.

Oczywiście, na temat matki Aarona krążyło wówczas wiele plotek. Nie sposób było ich nie słyszeć. Evie Mazerik nigdy nie wyszła za mąż. Aaron był dzieckiem z nieprawego łoża. Trzydzieści trzy lata temu kobiety rzadziej niż obecnie rodziły dzieci nieślubne, a kobietom w Riverbend właściwie to się nie zdarzało. Oczywiście, kilkadziesiąt lat temu dziewczyny też zachodziły w niechciane ciąży, ale wtedy wyjeżdżały po cichu z miasteczka i rodziły gdzie indziej. Najczęściej posyłano pechową grzesznicę do krewnych mieszkających w innym stanie, a niemowlę oddawano do adopcji.

Ale Evie Mazerik - Lily pamiętała, jak wymawiano szeptem to imię, a szeptem zawsze towarzyszyła uniesiona brew lub znaczące skinienie głowy - nie wstydziła się swojej ciąży. Nie wyjechała z miasteczka, nie przeniosła się do Indianapolis, gdzie nieślubne dziecko wywołałoby mniejszą sensację, i nikomu dziecka nie oddała. Nie, Evie została w Riverbend. Była to odważna decyzja, ale cenę za odwagę matki zapłacił jej syn. A przecież cóż on zawinił, że matka nie wyszła za mąż? Wytykano go palcem, nazywano bękartem, dzieckiem ulicy, on zaś robił wszystko co mógł, aby etykieta „dziecko ulicy” faktycznie do niego pasowała.

Teraz zaś... teraz dorósł, zmeźniał, zmądrzał. Kiedy wczoraj zjawiał się u niej w domu, kiedy uścisnął jej dłoń, kiedy opowiedział o założonym przez siebie funduszu sportowym i letnim obozie dla dzieci, a potem skrytykował akwarelę, którą kończyła malować, po prostu wytrącił ją z

równowagi. A może raczej zwałił z nóg. Długo nie mogła dojść do siebie. Był zbyt szczerzy. Zbyt ujmujący. Zbyt seksowny.

Zdumiała się. Zbyt seksowny? W ogóle nie była zainteresowana seksem. Wciąż cierpiała po śmierci Tylera. Zresztą krótki, intensywny romans nie wchodził w grę. Nie w Riverbend, gdzie każdy o każdym wszystko wiedział i gdzie utrzymanie czegokolwiek w tajemnicy graniczyło z cudem.

Poza wszystkim innym Aaron nie był w jej typie. Aaron Mazerik, szkolny łobuziak, dziecko ulicy, chłopak, o którym sądzono, że prędzej czy później wyląduje za kratkami. Nie, ona zawsze wolała eleganckich, kulturalnych mężczyzn.

- Miałaś wspaniały pomysł z tym lunchem - oznajmiła Eleanor, wrywając córkę z zadumy.

Lily popatrzyła na matkę. Oczy miała błyszczące, spojrzenie ożywione; zatroskanie, które wcześniej rysowało się na jej twarzy, znikło bez śladu. Ale coś więcej w wyglądzie starszej kobiety się zmieniło.

Włosy. Były krótsze, jakby bardziej puszyste...

- Byłaś u fryzjera? - spytała, podziwiając fryzurę matki.

- Tak, dziś rano. Kazałam przyciąć końce. Podobam ci się?

- Bardzo.

Nie chodziło tylko o długość. Również o kolor.

Włosy matki były jaśniejsze. Dawniej ciemnoblonde, poprzetykane siwizną, teraz miały złocisty odcień.

- Rozjaśniłaś włosy?

Eleanor roześmiała się speszona.

- Uważasz, że jestem próżną staruszką?

- Bynajmniej. Wyglądasz świetnie. Tata będzie zachwycony.

- Tak myślisz? - spytała z nadzieją w głosie matka.

Lily była pewna, że ojcu spodoba się nowa fryzura żony, ale nawet gdyby mu się nie spodobała, nic strasznego by się nie stało. Eleanor brakowało roku do sześćdziesiątych urodzin. Chyba miała prawo czesać się tak, jak chciała, nie przejmując się opinią męża.

Do stolika podeszła kelnerka i wręczyła im laminowane karty dań.

- Dzień dobry, pani Bennett - zwróciła się do starszej kobiety.

- Witaj, Tino. Co u ciebie słysząc?

- Wszystko w porządku, dziękuję. A pani to zapewne Lily?

Kelnerka wyglądała najwyżej na dwadzieścia dwa, trzy lata, była chuda, miała śmieszny zadarty nosek i burzę brązowych loków spiętych srebrnymi klamerkami.

Lily skinęła w odpowiedzi głową; nie zdziwiła się, że osoba, której nie zna, wie, kim ona jest.

- Tak, jestem Lily Bennett - odparła z wymuszonym uśmiechem i zaczęła studiować kartę.

Nie była głodna, ale skoro to ona zaproponowała matce lunch, czuła się w obowiązku zamówić coś do jedzenia. Poprosiła o kanapkę z tuńczykiem, Eleanor zaś o sałatkę ze szpinaku z sosem winegret w osobnym naczyniu.

Po odejściu kelnerki Lily wbiła wzrok w matkę.

- W osobnym naczyniu? - spytała, nie kryjąc zaskoczenia.

- Staram się ograniczyć ilość tłuszczu w pożywieniu - wyjaśniła matka. - Baczę na kalorie, na cholesterol...

Lily przypomniła sobie torebkę z zakupami, z którą matka wyszła z apteki, a która teraz leżała obok niej na ławie.

- Masz kłopoty ze zdrowiem?

- Nie, skądże. - Eleanor machnęła lekceważąco ręką. - Ale nie zaszkodzi przestrzegać rozsądnej diety.

- Tatuś kazał ci uważać na cholesterol?

- Nie, kochanie. Nie trzeba być lekarzem, żeby wiedzieć, że warto się zdrowo odżywiać. Twój ojciec nie musi mi mówić, że nadmiar tłuszczu nikomu na zdrowie nie wyszedł.

Nagle Lily usłyszała coś w głosie matki, może niepewność, może strach, w każdym razie coś, czego zapewne nikt inny nie słyszał, ani mąż, ani przyjaciółki. Podczas spotkań w klubie AA dowiedziała się, że u ludzi stykających się na co dzień z alkoholikami wytwarza się szczególna wrażliwość. Potrafią wyczuć najdrobniejsze zmiany nastroju u osób bliskich, często zanim te zmiany się jeszcze pojawią - trochę tak jak reumatycy, którzy potrafią wyczuć zbliżającą się burzę, gdy nieba jeszcze nie zasnuwają chmury. Ta szczególna wrażliwość pozwala im dostrzegać niewidoczne dla otoczenia sygnały, pewne napięcie w powietrzu, a co za tym idzie, być lepiej przygotowanym na to, co wkrótce nastąpi.

Z Eleanor Bennett działo się coś niedobrego - burza wisiała w powietrzu, i to przypuszczalnie od dłuższego czasu. Lily zrobiło się wstyd. Była tak pochłonięta własnymi sprawami, uzalaniem się nad sobą, pretensjami do samej siebie, że lęki i zmartwienia innych jakoś umknęły jej uwadze.

- Mamo, czy dobrze się czujesz? - spytała zatroskana.

Wpatrywała się intensywnie w twarz matki, jakby usiłując wyczytać z niej odpowiedź. Podejrzewała, że matka próbuje zataić prawdę.

- Ależ oczywiście, że tak - oznajmiła z lekkim oburzeniem Eleanor Bennett. - Czuję się doskonale.

- Byłaś najpierw w aptece, a teraz zamówiłaś sałatkę bez sosu...

Starsza kobieta roześmiała się - zdaniem Lily, nieszczerze.

- Taka mi bardziej smakuje - rzekła. - A co do apteki... Na miłość boską, to osobie zdrowej nie wolno tam wchodzić?

- Wolno, mamó, wolno. - Lily roześmiała się równie sztucznie jak matka. - Co sobie kupiłaś? Pyszne czekoladki, które zjesz w nagrodę za to, że oszczędziłaś kalorie na sosie?

- Nie wpadłam na tak świetny pomysł. Kupiłam krem. - Wyjęła z torby ogromny ceramiczny pojemnik i pokazała go córce. - Nawilżający. Gloria Hoff bardzo go polecała. Mówiła, że jest niesamowicie skuteczny.

„Wygląda widoczne na twarzy zmarszczki” - głosił złocisty napis na pojemniku. „Sprawi, że będziesz wyglądać o wiele młodziej”.

- Krem przeciwzmarszczkowy?

- Właściwie to nawilżający. Gloria twierdzi, że po paru dniach stosowania skóra staje się jedwabista w dotyku.

Eleanor schowała pojemnik do torby.

Nowa fryzura. Krem przeciwzmarszczkowy. Sałatka bez sosu. Lily przyszło do głowy, że matka najwyraźniej nie zamierza siedzieć z założonymi rękami i biernie czekać na swoje sześćdziesiąte urodziny.

Zanim zdołała zadać kolejne pytanie, poczuła, jak ktoś delikatnie stuka ją w ramię. Obejrzawszy się, zobaczyła siedzącą przy sąsiednim stoliku Grace Pennington, która szczerzyła do niej w uśmiechu zęby.

- Lily! - zawołała, podchodząc bliżej, żeby uściskać przyjaciółkę. - Nie wierzę własnym oczom! Boże, jak cudnie cię widzieć! Powiedz, jak się miewasz?

Nie czekając na zaproszenie, usiadła obok i jeszcze raz uściskała Lily.

Lily odwzajemniła uścisk. Grace należała do paczki, była jednym ze Szczurów Wodnych. Miała na Lily spory wpływ. Jednakże w przeciwieństwie do niej, nigdy nie przejmowała się zdaniem innych ludzi. Ciągłe się o to spierały. Grace twierdziła, że Lily powinna się cieszyć, że wszyscy mają o niej tak wysokie mniemanie, Lily natomiast przekonywała ją, że łatwiej przejść przez życie, kiedy nikt od ciebie niczego nie oczekuje.

Nie żeby Grace zawiodła czyjkolwiek oczekiwania. Los jej sprzyjał. Wyszła za męża za miejscowego chłopaka, też Szczura, Eda Penningtona; była szczęśliwą żoną, matką trojga dzieci.

- Od dawna korciło mnie, żeby do ciebie zadzwonić - ciągnęła - ale bałam ci się narzucać. Myślałam, że wolisz być sama. Słuchaj, wszyscy chcą się z tobą spotkać, pogadać... Dzień dobry, pani Bennett - powiedziała trochę poniewczasie, po czym znów uściskała Lily. - Za każdym razem, kiedy ją widzę, twoja mama wygląda coraz młodziej i śliczniej.

- Może za każdym razem, kiedy mnie widzisz, masz coraz gorszy wzrok - zażartowała Eleanor Bennett. - Jak się miewasz, Grace?

- Dobrze. Nawet doskonale. Dzieciaki pojechały na tydzień do teściów, więc Ed i ja czujemy się niemal tak, jakbyśmy przeżywali drugi

miesiąc miodowy. -Nagle ugryzła się w język i spojrzała speszona na Lily.

- Oj, przepraszam...

- Nie szkodzi. Dobrze, że możecie chwilę pobyć razem, tylko we dwoje.

Ona z Tylerem mnóstwo czasu spędzała we dwoje, ale nigdy nie czuła się, jakby to był miesiąc miodowy.

- Pójdę już. - Grace wstała od stolika i ponownie zacisnęła rękę na ramieniu Lily. - Nie chcę wam przeszkadzać... Lily, kochanie, nie obrazisz się na mnie, jak do ciebie zadzwonię?

- Ależ co ty pleciesz? - Lily obdarzyła przyjaciółkę serdecznym uśmiechem.

- Czy można jej nie lubić? - spytała Eleanor, odprowadzając Grace wzrokiem.

Grace skierowała się do lady. Czekala tam na nią jakaś młoda kobieta, która wydała się Lily dziwnie znajoma. Czyżby kolejna koleżanka szkolna?

Powrót w rodzinne strony u wszystkich wywołuje mieszane uczucia. Lily nie należała do wyjątków. Cieszyła się, że tak wiele się w Riverbend zmieniło, a zarazem prawie wszystko było takie samo jak dawniej.

Kiedy pojawiła się kelnerka z zamówioną kanapką i sałatką, Lily wreszcie oderwała spojrzenie od lady. Zdała sobie sprawę, że od paru sekund już nie wpatruje się w Grace, lecz w matkę Aarona. Evie Mazerik miała, podobnie jak jej syn, wyrazistą twarz o nieregularnych rysach, oczy piwne, usta lekko przekrzywione, nawet wtedy, gdy rozciągała je w uśmiechu - przypuszczalnie była to pozostałość po wylewie.

Kto by pomyślał, że Aaron wróci do domu, by zaopiekować się chorą matką?

- Powiedz, co cię sprowadza dziś do miasteczka? - spytała Eleanor, ponownie wyrywając ją z zadumy.

Nie zamierzała mówić matce o programie sportowym dla dzieci. Gdyby zdradziła, że chce przekazać na ten cel fundusze, matka natychmiast nabrałaby podejrzeń. Oczywiście, nie kwestionowałyby prawa córki do dysponowania własnymi pieniędzmi i wspierania szlachetnych akcji, ale miałyby zastrzeżenia do osoby Aarona, który w młodości był zatrzymywany przez policję, a zatem nie wydawał się człowiekiem zbyt odpowiedzialnym. Lily uznała więc, że nie ma sensu wszczynać dyskusji, dopóki sama nie podejmie konkretnej decyzji.

- Pogoda - skłamała. - Idealny dzień na przejażdżkę kabrioletem.

- Czas najwyższy, żebyś zaczęła znów bywać wśród ludzi.

Eleanor zanurzyła widelec w plastikowym kubeczku z sosem winegret, po czym otarła go o liście szpinaku.

Chcąc odwrócić uwagę od siebie, Lily zmieniła temat.

- Wiesz, mamó, Grace ma rację. Naprawdę świetnie wyglądasz. Nie rozumiem, po co marnujesz pieniądze na jakieś kremy przeciwzmarszczkowe.

- Nie marnuję. Dobry krem odżywia skórę. Kiedy zobaczyłam, jak pięknie Gloria wyglądała na ślubie swojej siostrzenicy, postanowiłam skorzystać z jej rad.

Tu nastąpił szczegółowy opis ślubu i wesela, zaproszonych gości, ich strojów. Lily słuchała z uwagą, jedząc kanapkę. Matka wydawała się szczęśliwa i ożywiona. Cieszyła się, mogąc podzielić się z córką

wrażeniami, bo przecież niecodziennie chadzała na śluby. Cieszyła się też, że relacja ze ślubu nie wpędza Lily w stan przygnębienia. Podobnie jak siostrzenica Glorii, Lily również była kiedyś rozpromienioną panną młodą, pełną optymizmu i wiary w przyszłość. Z rozrzewnieniem wspominała dzień, w którym przysięgali sobie z Tylerem wierność; jej szczęścia nawet nie zakłócili krewni Tylera, licznie przybyli na ceremonię zaślubin, która miała miejsce w skromnym kościółku w Riverbend. Po prostu Lily nie zwracała na nich uwagi. W jednej kwestii się uparła - żeby ślub odbył się w jej mieście rodzinnym - i mimo nacisków Holdenów, którzy nalegali na Boston, postawiła na swoim. Kiedy wróciła z Tylerem z podróży poślubnej, Holdenowie wydali na ich cześć bankiet w eleganckim bostońskim hotelu. Oczywiście, lepiej się czuła na skromnym przyjęciu weselnym w Riverbend, gdzie była otoczona przyjaciółmi, niż na wielkim i wystawnym raucie, który zorganizowali jej teściowie.

Dochodziła druga po południu, kiedy opuściła z matką lokal. Po szczegółowej relacji ze ślubu matka opowiedziała jej o swojej pracy w klubie ogrodniczym, o przygotowaniach do parady z okazji Dnia Niepodległości, a także o staraniach czynionych przez Towarzystwo Historyczne, aby odbudować piękny stary most znajdujący się kilka kilometrów na zachód od miasteczka, zamiast go rozbierać i stawiać w tym miejscu nowy, ohydny i bez charakteru.

Zdaniem Lily, matka w ogóle nie powinna zamartwiać się takimi bzdurami jak zmarszczki czy starość; zbyt wiele innych rzeczy absorbowало jej uwagę. Zresztą wiadomo nie od dziś, że najlepszym sposobem na zachowanie młodości jest aktywność, zarówno fizyczna, jak i intelektualna, a nie bająsko drogie kremy odmładzające.

Rozstały się na chodniku przed restauracją. Lily wsiadła do samochodu i spojrzawszy na zegarek, skrzywiła się. Podejrzewała, że nie zastanie już Aarona. Postanowiła jednak sprawdzić. Nie wiedziała, do której może trwać prowadzony przez niego obóz.

Włożyła okulary przeciwsłoneczne, przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła ulicą Hickory w kierunku szkoły. Wiele sklepów pamiętała z czasów dzieciństwa; prawie wcale się nie zmieniły. Drzewa były wyższe, na chodniku stały nowe, eleganckie ławki, ale na przykład sklep zoologiczny był taki jak dawniej. Salon fryzjerski i dom towarowy Killiana również.

Właśnie do fryzjerki na Hickory wpadała na przycięcie grzywki, a wszystkie ubrania do szkoły kupowała z mamą u Killiana. Nie było tam wytwornych strojów, jakie można znaleźć w ekskluzywnych butikach przy Newton w Bostonie, ale na co komu w Riverbend sukienka za tysiąc dwieście dolarów? W szafie

Lily wisiało kilka w tej cenie, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, kiedy i gdzie miałyby którąś z nich włożyć.

Ani razu nie była w swojej dawnej szkole, odkąd piętnaście lat temu opuściła ją jako maturzystka. Podobnie jak salon fryzjerski, szkoła też się nie zmieniła. Podjazd był identyczny, na maszcie przy wejściu powiewała flaga, okna w budynku nadal wyglądały jak kratownica. Lily minęła boisko do piłki nożnej i skręciła na niewidoczny od frontu placyk. Drzwi do sali gimnastycznej były otwarte, a jedno z miejsc parkingowych zajmował stary pontiac. Świetnie. Aaron jeszcze nie pojechał do domu.

Zaparkowała obok pontiaca i zgasiła silnik. Z sali gimnastycznej dobiegł ją charakterystyczny tupot nóg, przenikliwy odgłos gwizdka oraz

rytmiczne uderzenia piłki o drewnianą podłogę. Były to tak znajome dźwięki, że odruchowo uśmiechnęła się pod nosem. Wszyscy w Riverbend zawsze grali w koszykówkę; na każdym placu i podwórku rozlegało się, niczym bicie serca, owo miarowe puk-puk-puk kozłowanej piłki.

Wysiadła z samochodu i ruszyła po czarnym asfalcie w stronę otwartych drzwi. Grupa dzieciaków, ośmio- a może dziesięciolatków, ganiała po sali gimnastycznej. Miały na sobie tenisówki, szorty i białe koszulki z czerwonym napisem na piersi: „Diabełki z Riverbend”. Część dzieci, żeby odróżnić się od kolegów z przeciwnej drużyny, na białe koszulki wciągnęła czerwone podkoszulki.

Aaron górował nad swoimi podopiecznymi niczym dąb wśród krzewów. On również miał na sobie białą koszulkę z czerwonym napisem, która lepiała mu się do pleców, szorty, tenisówki; z szyi zwisał mu gwizdek. Co chwila wyrastał przed pędzącym w stronę kosza małym zawodnikiem, zagradzał mu drogę, odbierał piłkę.

- Podaj piłkę do kolegi! - zawołał do chłopaczka, który kozłował ją zawzięcie, jakby miał zamiar samodzielnie rozegrać cały mecz. Kiedy ten nie posłuchał, Aaron przechwycił ją. - To jest gra zespołowa, Jimmy. No, spróbuj jeszcze raz.

Rzucił Jimmy'emu piłkę, a sam ponownie ustawił się, żeby go blokować. Dzieciaki piszczały z radości. Biegały, potykały się, popychały, wrzeszczały:

- Tu! Do mnie! Mnie nikt nie kryje!

Jakaś dziewczynka rzuciła piłkę w stronę kosza; oczywiście, Aaron ją przechwycił.

- Pamiętajcie - zwrócił się do wszystkich. - Nie marnujcie rzutów. Jak ktoś stoi na waszej drodze, oddajcie piłkę koledze.

W sali panował upał i duchota, mimo że przez otwarte drzwi wpadał do środka przewiew. Dzieciaki były zarumienione, spocone, ich trener również. Lily przyglądała mu się w milczeniu. Miał długie, umięśnione nogi. Przeniosła wzrok wyżej na jego klatkę piersiową, widoczną pod przylegającą do niej moką koszulką, i jeszcze wyżej na lśniącą od potu twarz oraz rozczochrane włosy.

- No, Stacy! Podaj piłkę! - zawołał. Dziewczynka posłusznie rzuciła ją do kolegi, a Aaron posłał jej w nagrodę szeroki uśmiech.

- Brawo! Właśnie tak trzeba. Jeszcze raz wam, kochani, powtarzam: koszykówka to gra zespołowa. - Zagwizdał i przejął piłkę. - No dobra. Przerwa na picie.

Podprowadził rozochoczoną grupkę małych koszykarzy do ławek dla widzów, gdzie stało kilka dużych dzbanów. Następnie rozdał dzieciom plastikowe kubki i poprosił, by kolejno do niego podchodziły.

- Pijcie wolno, małymi łykami. Potem przyjdźcie po dolewkę. Co wam rano mówiłem?

- Że trzeba pić dużo płynów - odparł jeden z chłopców.

- Zgadza się. Pamiętajcie, przy wysiłku fizycznym zawsze musicie dużo pić. To chyba najważniejsza rzecz, jaką mogę wam przekazać. -

Umilkł, a po chwili spytał: - Ile musicie pić?

- Dużo! - odpowiedział mu chórek. Aaron uśmiechnął się szeroko. Lily też.

Stojąc w drzwiach, przez nikogo nie zauważona, ubrana w jasnoniebieską bluzkę, jasnoniebieski bezrękawnik i sandały na

sznurkowych podeszwach, czuła się jak intruz. Nie potrafiła jednak odwrócić się i odejść. Nie potrafiła oderwać oczu od Aarona, który uśmiechał się łobuzersko do swoich potarganych, zarumienionych z wysiłku podopiecznych. Podczas gdy dzieciaki małymi łydkami piły wodę z kubków, podniósł do ust półlitrową butelkę. Wypił haust, po czym podciągnął koszulkę, by wytrzeć nią twarz. Lily ujrzała lśniący od potu, płaski brzuch. Boże, co za ciało!

I ta myśl ją przeraziła. Przyciskając rękę do gardła, cofnęła się o krok, zdumiona swym podnieceniem, tym, że rzut oka na męski tors może wywołać w niej tak silną reakcję. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła coś podobnego. Odkąd wyszła za Tylera, nie spojrzała na innego mężczyznę. Tyler zaś zbyt często przychodził do łóżka pijany, a seks z pijanym Tylerem... brr, to było wstrętne, obrzydliwe.

W Aaronie nie było nic obrzydliwego. Nic a nic.

Opuściwszy koszulkę, ponownie sięgnął po butelkę wody - i wtedy spostrzegł Lily. Uśmiechnął się, ale nie był to ten sam szelmowski uśmiech, jakim obdarzał grające w kosza dzieci. Nie, do niej, Lily, uśmiechnął się ciepło, przyjaźnie. Odwzajemniła jego uśmiech i nagle poczuła się onieśmielona. Czy Aaron wiedział, że od paru minut jest obserwowany? Czy zdawał sobie sprawę, jaką reakcję wywołał w niej widok jego obnażonego brzucha? Czy policzki wciąż miała zaczerwienione?

- Małymi łydkami - przypomniał dzieciom, po czym ruszył truchtem w stronę drzwi.

Miała ochotę odwrócić się i uciec. Bała się - bała się tego, że jeśli Aaron podejdzie za blisko, ona nie zdoła opanować pokusy - podciągnie

jego koszulkę i przejedzie dłonią po skórze. Chyba zwariowała! Boże, co jej odbiło? Owszem, Aaron jest piekielnie przystojny, ale nic ich nie łączy. Nie mają z sobą absolutnie nic wspólnego.

Stanął przed nią, z rękami na biodrach, wciąż zasapany po ćwiczeniach z dziećmi. Popatrzyła mu w oczy, które mieniły się niczym szmaragdy osadzone w srebrze i złocie. Po jej plecach przebiegł dreszcz. Znow to samo, strach zmieszany z silnym podnieceniem.

Dawno czegoś takiego nie czuła.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Tłumaczył sobie, że stoi w otwartych drzwiach sali gimnastycznej, szczerząc zęby od ucha do ucha dlatego, iż obecność Lily na terenie szkoły oznacza jedno: gotowa jest wesprzeć fundusz. Tłumaczył sobie, że ciarki, które chodzą mu po krzyżu, nie mają nic wspólnego z jej wyglądem, z rysami jej twarzy, z kolorem oczu odzwierciedlających kolor bluzki, z włosami barwy słońca. Tłumaczył sobie, że serce bije mu tak mocno dlatego, że od pół godziny prawie non stop biega.

Po chwili oddech mu się uspokoił, a oczy przyzwyczyły do ostrego blasku słońca; dopiero wtedy zobaczył, że postać w drzwiach jest kobietą z krwi i kości, a nie piękną zjawą z jego snów. Pieniądze, pomyślał.

Pieniądze to jedyna rzecz, jakiej mogę oczekiwać od Lily Bennett Holden.

- Od dawna tu stoisz? - spytał.

- Ze dwie, trzy minuty. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?

Jej uśmiech, nieśmiały, lecz jakże ujmujący, świadczył o tym, że wcale nie jest osobą tak pewną siebie, za jaką ją wszyscy zawsze uważali.

- Skądże. - Zerknął przez ramię na dzieci, które wierciły się niespokojnie. Jeszcze chwila, pomyślał, a zaczną w siebie rzucać kubkami z wodą. - Muszę wracać do pracy. - Wskazał ręką w stronę ławy dla widzów. - Jeśli masz ochotę usiąść i popatrzeć, to zapraszam. Zajęcia potrwają jeszcze godzinę.

- Świetnie. - Lily podeszła do wskazanego miejsca, usiadła i obciągnęła sukienkę na kolanach.

Aaron wrócił na drugi koniec sali, gdzie czekało na niego rozochocone towarzystwo. Przez całą drogę powtarzał sobie, że ma nie myśleć o tym, że Lily go obserwuje - i być może ocenia.

- Odpoczęliście?

- Tak! - odpowiedział mu chórek.

- Dobra. Teraz każde z was dostanie po piłce... - Ze sznurkowego worka zaczął wyjmować piłki do koszykówki i rozdawać je dzieciom. Wziął również jedną dla siebie, po czym cisnął worek w kąt. - Odsuńcie się trochę, żeby sobie nie przeszkadzać... - Odczekał, aż wykonają polecenie. - Doskonale. Będziemy ćwiczyć kozłowanie. Gotowi? Podnosimy prawą rękę... Nie, Jimmy, powiedziałem prawą, a ty podniosłeś lewą.

Chłopiec szybko naprawił błąd.

- W porządku. Więc kozłujemy piłkę prawą ręką, a jednocześnie głośno i wyraźnie śpiewamy „Happy Birthday”.

Dzieciaki wybuchnęły śmiechem.

- A komu śpiewamy? - spytała rzeczowo dziewczynka o imieniu Jessica.

- Mnie. Waszemu trenerowi. No, do roboty...

- Ma pan dziś urodziny?

- Nie mam. Śpiewacie mi dlatego, że ja tu rządzę, jasne? Jasne!

Zaczynamy!

Kozłował i śpiewał, cały czas uważnie przyglądając się małym sportowcom. Zadanie, które im zlecił, w pierwszej chwili wydawało się proste i śmieszne, ale okazało się dość trudne, wymagające koordynacji i wytężonej uwagi.

Dzieci, zmagając się z piłką, ciągle przerywały śpiewanie i zaczynały piosenkę od nowa. Po pierwszej zwrotce każdy śpiewał oddzielnie, w innym tempie. Po ostatniej - wszyscy ryczeli ze śmiechu, wszyscy oprócz Andy'ego, który poleciał za piłką na drugi koniec sali gimnastycznej.

Kiedy chłopiec wrócił do kolegów na środku boiska, Aaron miał dla nich nowe zadanie.

- Skupcie się, bo czeka was jeszcze trudniejsza praca. Znow koźlujemy, ale tym razem uderzamy piłkę raz prawą, a raz lewą ręką. - Zademonstrował, o co mu chodzi. - Są jakieś pytania?

- A „Happy Birthday“?

- Wciąż śpiewamy. Gotowi? Do dzieła!

Tym razem piłka uciekła nie tylko Andy'emu, ale również Stacy, w dodatku wszyscy fałszowali i chichotali już przy pierwszej zwrotce.

Aaronowi to nie przeszkadzało. Bądź co bądź były to zajęcia sportowe, a nie lekcja śpiewu. Kiedy dzieci uspokoiły się, wyjaśnił im, jaki cel przyświeca temu ćwiczeniu.

- Chodzi o to, żebyście umieli koźlować piłkę, nie zastanawiając się nad tym, co robicie. Żebyście biegnąc z piłką, mogli myśleć o innych rzeczach. Jakich? Na przykład, czy drużyna jest wystarczająca skupiona? Czy zdołam dojść do kosza i wykonać rzut? Który kolega może przyjąć ode mnie piłkę? Czy trener Mazerik pochwali mnie, że tak pięknie odśpiewałem mu życzenia?

Dzieciaki znow wybuchnęły wesołym śmiechem.

- Musicie dojść do takiego stanu - kontynuował Aaron - że w ogóle nie będziecie myśleć o piłce, którą odbijacie. Wykonamy teraz jeszcze bardziej skomplikowane ćwiczenie. Ustawcie się za mną w szeregu... o

tak, dobrze, i róbcie to co ja. Będziemy jednocześnie iść, kozłować i śpiewać. Uwaga... zaczynamy.

- Iść czy biec? - spytał Jimmy.

- Przecież wam ledwo wychodzi robienie dwóch rzeczy naraz, kiedy stoicie. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybym wam jeszcze kazał biec? Nie, po prostu idziemy wolno przed siebie...

Kiedy dzieci posłusznie ustawiły się jedno za drugim, Aaron poprowadził węża wokół sali gimnastycznej. Co kilka kroków obracał się, sprawdzając, jak sobie radzą jego podopieczni. Większość szła ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w piłkę, wpadali na siebie, potykali się, popychali. No i niemiłosiernie fałszowali.

Nie miało to najmniejszego znaczenia. Aaron nie przejmował się ani tym, że fałszują, ani tym, że po wężu nie ma śladu, bo co chwila ktoś gubił piłkę i zanim z nią wracał, to znów ją gubił. Ważne było to, że dzieciaki są szczęśliwe, że świetnie się bawią i zdobywają nową umiejętność.

Na zakończenie urządził diabełkom bieg sztafetowy - częściowo po to, by poćwiczyć refleks, zrywność i szybkość, a częściowo, by diabełki zmęczyć. Mali sportowcy stali przy ławie, uzupełniając zapasy płynów w organizmie, kiedy po Stacy przyjechała matka.

W ciągu następnych kilku minut przewinał się przez salę tłum dorosłych, przede wszystkim matek, ale po jednego z chłopców przybył wuj, a po innego starsza siostra. Aaron z każdym witał się serdecznie, odpowiadał na pytania, po czym odprowadzał wzrokiem do drzwi. Dopiero gdy został sam, pozwolił sobie spojrzeć na Lily.

Wcześniej nie musiał na nią patrzeć, by czuć jej obecność. Świadomie nie prowadził dzieci w róg sali, gdzie siedziała na ławie, mimo

to bez przerwy o niej myślał. Była jak powietrze, niewidoczna, lecz obecna. Czuł ją całym sobą, wszystkimi zmysłami.

Skoro powodowała w nim tak silną reakcję, zastanawiał się, czy słusznie postąpił, prosząc ją o wsparcie.

Może należałoby się wycofać, podziękować za zainteresowanie, powiedzieć, że już niczego nie potrzebuje? Ale, psiakość, to nieprawda! Potrzebował pieniędzy - nie dla siebie, ale dla Andy'ego i Stacy, dla Jimmy'ego i Jessiki, a także dla trzydziestu innych dzieciaków, które rozpoczną zajęcia za tydzień albo dwa. Nie mógł przyjąć ich wcześniej, bo miał za mało ludzi do pomocy, a sam jeden nie poradziłby sobie z tak liczną grupą. To dla dzieci chciał zdobyć pieniądze, dla dzieci, które latem całymi dniami się nudziły. A nuda, jak wiedział z doświadczenia, bywa groźna. To z nudów starsze dzieci wałęsają się po alejkach, zbierając z ziemi pety, z nudów kradną matkom pieniądze na papierosy lub marihuanę, a młodsze siedzą jak zahipnotyzowane przed telewizorami, oglądając filmy, w których pełno jest przemocy.

Wiedział, że musi wziąć się w garść, zapomnieć o sobie i mieszanych uczuciach, jakie nim targały, ilekroć patrzył na Lily. Jeżeli przyszła z pieniędzmi, gotowa wesprzeć jego fundusz, powinien skakać z radości, a nie szukać dziury w całym.

Przecierając koszulką ociekający z twarzy pot, ruszył na koniec sali gimnastycznej, tam, gdzie siedziała.

Kiedy podszedł bliżej, wstała, uśmiechając się nieporadnie.

- Ręczników też nam brakuje - powiedział, opuszczając koszulkę. - Jeśli wspomóżesz nas, kupię ze dwa tuziny.

Uśmiech zdrzął jej na wargach, jakby nie była pewna, czy Aaron mówi prawdę, czy żartuje. Właściwie on także nie był pewien. W ciągu roku szkolnego szkoła korzystała z usług pralni, która nie tylko prała, ale również wypożyczała ręczniki. Teraz, w okresie wakacyjnym, szkoły nie stać było na taką usługę. Gdyby wiedział, że już pierwszego dnia będzie tyle biegał i oblewał się potem, przyniósłby z domu własny ręcznik oraz opaskę na czoło.

Wskazał ręką drzwi prowadzące do pomieszczeń biurowych. Gabinet, w którym urzędował, był maciupeński. Ledwo mieściło się w nim biurko i szafa na akta. Nie wiadomo, jakim cudem udało mu się wcisnąć w róg niedużą lodówkę. Teraz wyjął z niej dwie butelki mrożonej herbaty. Jedną podał Lily, ona jednak potrząsnęła głową. Nie chciało jej się pić.

Nic dziwnego. Nie spędziła kilku godzin, ganiając tam i z powrotem po dusznej sali gimnastycznej. Twarz jej nie lśniła od potu, sukienka nie lepiała się do pleców.

Aaron skinieniem głowy wskazał fotel przeznaczony dla gości, sam zaś obszedł biurko i usiadł na swoim starym skrzypiącym krześle obrotowym. Pociągnął następny łyk herbaty, po czym zakręcił butelkę i rozparł się wygodnie, czekając, by Lily zaczęła rozmowę.

Sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo wiedziała, co ma teraz powiedzieć. Napotkała jego wzrok, ale zaraz potem omiotła spojrzeniem gabinet, szafę na akta, komputer stojący na małym stoliku obok biurka oraz wiszące na ścianie zdjęcia przedstawiające kolejne roczniki koszykarzy. Aaron - w roli trenera - figurował na ostatnim; w roli zawodnika - na trzech fotografiach w górnym rzędzie. Spoglądając na pierwsze, wiszące najdłużej, Aaron z trudem rozpoznawał sam siebie.

Chodził wtedy do drugiej klasy i od czasu do czasu popadał w konflikt z prawem. Niby rysy miał te same co teraz, i podobną budowę ciała, ale oczy... Boże, ile z nich wyzierało gniewu. Wprost nie do wiary, że w tak młodym człowieku, właściwie dziecku, może na rosnąć tyle złości i pretensji do świata.

Lily przez chwilę wodziła wzrokiem po zdjęciach, wreszcie odwróciła się twarzą do biurka.

- Miałaś rację - powiedziała, przerywając ciszę. - Moja akwarela rzeczywiście jest zbyt mdła. Zbyt bezpieczna.

Zdumiały go jej słowa. Sądził, że przyszła porozmawiać o obozie. Ale co tam! Jeżeli najpierw chce pogadać o sztuce, a dopiero potem wypisać czek, nie zamierza się sprzeciwiać.

Tyle że na sztuce w ogóle się nie znał. Gdyby mu kazano, potrafiłby spośród kilkudziesięciu różnych obrazów wskazać „Mona Lizę” i jeszcze ten słynny obraz Granta Wooda przedstawiający chudego farmera z żoną i widłami. Ale to wszystko. Na tym kończyły się jego wiadomości z dziedziny malarstwa.

Lily patrzyła mu prosto w twarz, niemal z wyzwaniem w oczach. Musiał jakoś zareagować.

- Nie zamierzałem cię urazić - rzekł. - Powiedziałem tak, bo...

- Nie, nie, miałaś rację. Wszyscy zawsze mówią, że moje obrazki są „ładne i szlachetne”. A ja wcale nie chcę, żeby takie były.

- Wolisz, żeby były ohydne? Żeby wzbudzały wstręt? Roześmiała się.

- Może. Problem w tym, że nie umiem tak malować.

- To dobrze - powiedział odruchowo, po czym szczerząc zęby, wzruszył ramionami.

Odniósł wrażenie, że rozmawiają o dwóch różnych rzeczach. Niestety, nie bardzo wiedział, o czym Lily mówi. Nie był też do końca pewien, o czym sam mówi.

- Pewnie ładnie i szlachetnie bym postąpiła, gdybym wręczyła ci czek i dofinansowała wakacje w mieście dla dzieci.

- Owszem, to by było bardzo ładne i szlachetne z twojej strony - przyznał.

Ponownie wybuchnęła śmiechem. Po chwili śmiech ucichł, ale uśmiech wciąż błąkał się po jej wargach. Aaron przyglądał się Lily z uwagą. Porażała go swą urodą. Zdał sobie sprawę, że zawsze będzie piękna, bez względu na to, co się stanie. Nawet gdyby - nie daj Boże - przytrafił się jej jakiś koszmarny wypadek, nawet gdyby blizny pokryły jej twarz, ona nadal będzie piękna. Jej piękno bowiem nie było sprawą regularnych rysów, zgrabnego nosa czy dużych oczu, nie, ono pochodziło z wewnątrz. Z pokładów ciepła, dobroci, wrażliwości. Nic nie było w stanie go zniszczyć, ani tragiczna śmierć męża, ani... Mniejsza o to. Po prostu Lily Bennett Holden była skazana na bycie piękną i dobrą.

Z drugiej strony, Aaron wiedział z doświadczenia, że każdy może się zmienić. On sam zmienił się nie do poznania w ciągu ostatnich piętnastu lat. Skoro paskudny typ może przeistoczyć się w porządnego człowieka, porządny człowiek może przeistoczyć się w zimnego drania.

- Masz opracowany jakiś kosztorys? - spytała.

- Nawet kilka. - Wyciągnął z biurka szufladę, wyjął z niej skoroszyt i podał go jej. - Jeden jest realistyczny, przygotowany w oparciu o istniejące

fundusze, drugi idealistyczny, przygotowany w oparciu o marzenia, i ze trzy pośrednie.

Otworzyła skoroszyt i zaczęła czytać.

- Domyślam się, że to jest ten realistyczny? - spytała, przebiegając wzrokiem po cyfrach.

- Tak.

- A gdzie twoja pensja?

- Jaka pensja? Podniosła głowę.

- Nic nie dostajesz za prowadzenie zajęć z dziećmi? Wzruszył ramionami.

- Stać cię na niezarabianie?

- Latem i tak nie zarabiam. Pracuję w szkole -przypomniał jej. - W ciągu roku szkoła płaci nauczycielom tyle, żeby im starczyło na letnie miesiące. Przynajmniej tak jest w teorii.

Zmarszczywszy czoło, ponownie skupiła się na lekturze. A on, ponieważ nie miał nic innego do roboty, obserwował ją spod oka. Jakie to niesprawiedliwe, myślał; matka natura powinna była tak skonstruować świat, aby podobali się sobie ludzie, którzy mogą przeżyć romans, pobrać się bez przeszkód, mieć dzieci...

W tym przypadku całkiem nawaliła.

Kiedy tak siedzieli naprzeciw siebie, Aaronem miotały te same emocje co przed laty, gdy ujrzał Lily po raz pierwszy. Pamiętał, że wybałuszył oczy i patrzył na tę zjawiskowo piękną dziewczynę, nie przejmując się tym, że zostanie przyłapany na paleniu papierosów i ukarany.

Przez cztery lata szkoły średniej żył w stanie niemal śmiertelnego zauroczenia. Nawet wtedy, gdy dowiedział się, że Lily jest córką doktora Bennetta, to i tak na jej widok ogarniała go żądza. Mimo że niewiele mieli wspólnych zajęć, ciągle ją widywał: a to na korytarzu, a to na porannym apelu, a to w szkolnym bufecie.

Na ogół starał się unikać bufetu. Było to miejsce, w którym przesiadywali popularni uczniowie, ci, co należeli do jakiejś paczki czy kliku. On nie należał do żadnej i czuł się tam obco.

Kiedy trener Drummer wziął go pod swoje skrzydła, pozwolił mu jadać drugie śniadania w pokoiku na zapleczu sali gimnastycznej, tym samym, w którym siedział teraz z Lily. Matka zwykle dawała mu do szkoły przyniesione z pracy resztki jedzenia. Przypuszczalnie trener rozumiał, że chłopiec wstydzi się otwierać przy kolegach pojemnik, w którym leży pół omletu, kawałek mięsa i ogórek konserwowy.

Ale tych parę razy, kiedy Aaron zajrzał do bufetu po coś do picia, zawsze szukał wzrokiem Lily. I zawsze ją znajdował; albo przy stoliku z innymi dziewczynami, wśród których nie było ani jednej brzyduli, albo przy stoliku ze Szczurami Wodnymi. Śmiali się, szeptali między sobą, tręcali łokciami, mieli serwetki i obrzucali się papierowymi kulkami. W tym zgiełku i tłumie Lily była jak latarnia na środku morza - nie mógł oderwać od niej oczu. Stał przy automacie z napojami, ściskając w palcach monetę, i marzył - marzył, a zarazem nienawidził się za te marzenia.

Dziś już nie czuł nienawiści. Później nauczył się, że nienawiść, pretensje i wyrzuty sumienia na niewiele się zdają. A jednak, pomyślał, życie byłoby znacznie prostsze, gdyby widok Lily nie wzbudzał w nim

takich emocji, gdyby serce nie chciało wyskoczyć mu z piersi, a krew nie wrzała tak mocno.

Dopił do końca mrożoną herbatę, po czym obrócił się na krześle, zastanawiając się nerwowo, czym - poza uporczywym wpatrywaniem się w Lily - mógłby się zająć. Po chwili chwycił leżący na biurku notes i zaczął zapisywać pomysły na jutrzejsze ćwiczenia z dziećmi. Przerwał dopiero wtedy, gdy usłyszał ciche odchrząknięcie. Podniósłszy głowę, obrócił się przodem do swojego gościa.

- Widzę, że chciałbyś również umieścić w programie naukę pływania...

- Tak. To byłoby wspaniałe urozmaicenie. Zwłaszcza teraz, latem. Mamy w szkole basen, ale czynny jest tylko wieczorami, kiedy korzystają z niego dorośli. Resztę czasu stoi zamknięty. Szkoda, bo dzieciaki chętnie by popływały.

- Ale żeby mogły popływać, musiałbyś zatrudnić instruktora?

- Absolutnie.

Wskazała ręką na plik kartek, które trzymała przed sobą.

- Z twoich obliczeń wynika, że kosztowałyby to co najmniej sto pięćdziesiąt dolarów...

- Tak. Zazwyczaj instruktorami są młodzi chłopcy, uczniowie starszych klas, czasem studenci, ale naprawdę mają doskonałe kwalifikacje. Jeśli chodzi o koszykówkę, mogę poprosić o pomoc chłopaków z drużyny, na pewno mi nie odmówią, ale na boisku nikt się nie utopi, a w basenie...

- Rozumiem. - Ponownie zerknęła na pierwszą stronę kosztorysu, po czym zamknęła skoroszyt. Nie patrząc na Aarona, wyjęła z torebki książeczkę czekową. - Na kogo wypisać czek?

- Na mnie. Z dopiskiem „Fundusz sportowy dla dzieci z Riverbend” - odparł zdumiony i uszczęśliwiony, że poszło tak łatwo i bez bólu.

Abraham Steele też mógł od ręki wypisać czek, chciał jednak na spokojnie sobie wszystko przemyśleć. I zanim podjął decyzję, zmarł. Lily zaś podjęła decyzję z dnia na dzień. Może lepiej od Abrahama wiedziała, czego chce od życia i na co warto przeznaczyć pieniądze? A może wcale nie o to chodzi. Może Abraham zamierzał przekazać pieniądze banku, nie swoje, podczas gdy Lily nie musiała się oglądać, na żadnych dyrektorów, członków zarządu czy inwestorów.

Wypisała czek i podała go Aaronowi. Ten spojrzał na sumę, raz, drugi, i zbaraniał. Dziesięć tysięcy dolarów! Przełknął ślinę, po czym po raz trzeci wbił oczy w widniejące na czeku cyfry. Nie zmieniły się.

- Czy... czy przypadkiem nie za dużo zer ci się wpisało? - spytał cicho.

- Nie - odparła.

Skierował wzrok na jej twarz. Na ustach Lily błąkał się ten sam co przedtem nieśmiały, zagadkowy uśmiech, ale w jej oczach nie było śladu wahania czy niepewności.

- To jest czek na dziesięć tysięcy dolarów.

- Wiem.

- Aż tyle chcesz mi podarować?

- Chcę, żebyś zatrudnił dobrego instruktora pływania. Oraz kogoś do pomocy, żeby więcej dzieci mogło uczestniczyć w zajęciach. Resztę

pieniędzy możesz wpłacić do banku na wysoko oprocentowane konto. Przydadzą ci się w przyszłym roku.

Otworzył usta, jakby chciał zadać kolejne pytanie, po czym je zamknął. Lily zaskoczyła go. Nie spodziewał się takiej szczodrobliwości. Kiedy wczoraj opuszczał jej dom, był pewien, że przekreślił swoją szansę na otrzymanie jakiegokolwiek wsparcia. Zamiast pochwalić akwarelę, niepotrzebnie ją skrytykował. Powiedział, że jest mdła, nijaka. Bezpieczna. A Lily? Czyżby potraktowała go jak genialnego znawcę sztuki? Czy dlatego wypisała mu czek na dziesięć tysięcy dolarów?

- Powiedz mi, Aaron, kto kieruje tym programem? Czy istnieje jakaś rada organizacyjna? Bo jeśli tak, to chciałabym zostać jej członkiem.

- Nie ma żadnej rady organizacyjnej, ale za dziesięć tysięcy dolarów mogę ją zaraz stworzyć. A ciebie mianować prezesem.

- Bo wiesz... chodzi o to... po prostu wolałabym, żeby pieniądze zostały mądrze wydane.

- Nie ufasz mi? - Uśmiechnął się, żeby jego słowa nie zabrzmiały jak wyrzut.

- Prawie cię nie znam - powiedziała cicho. - Kojarzę cię ze szkoły, ale... - Urwała, jakby nie chciała sprawić mu przykrości.

- Zmieniłem się. Nie jestem już tym samym łobuzem, którego pamiętasz.

- Kiedy chodziliśmy do szkoły, słyszałam plotkę, że trafiłeś do więzienia...

Mówiąc o ponurej przeszłości Aarona, wpatrywała się w ciemny ekran komputera stojącego na biurku.

- To nie była plotka, Lily. Pewnie nadal figuruję w policyjnej kartotece.

Zaskoczona jego szczerością, zmierzyła go uważnie wzrokiem. On zaś nastawił się psychicznie na to, że za moment poprosi go o zwrot czeku.

- Zatrzymywano mnie za różne wykroczenia -ciągnął. - Za włóczęgostwo. Za to, że jako nieletni piłem alkohol. Za posiadanie narkotyków. Za chroniczne wagarowanie. Podejrzewano też o kradzież paru rzeczy ze sklepu...

- Jakich narkotyków? - przerwała mu, marszcząc czoło.

- Trawy; Skinęła głową.

- Frank Garvey dał mi kilka ostrzeżeń. Zignorowałem je. Kilka razy zaprowadził mnie przed oblicze sędziego. Ten skrzyczał mnie i kazał obiecać, że się poprawię. Wreszcie któregoś dnia Garvey zamknął mnie na noc za kratkami. Uznał, że może wystraszę się więzienia i następnym razem najpierw pomyślę, zanim zrobię coś głupiego.

- Za co cię zamknął? Za trawę?

- Nie. Za to, że się zataczałem. Że miałem piętnaście lat i byłem zamroczony piwem.

- A skąd wytrzasnąłeś piwo? - zdziwiła się. Rozbawiła go jej naiwność. Ona w wieku piętnastu lat pewnie nawet nie trzymała w ręku puszki z piwem, on zaś opróżniał co najmniej pięć na tydzień.

- Z lodówki - odparł.

- Wzięłeś piwo z lodówki? A co na to twoja matka? Nie zaprotestowała?

- Nie. - Westchnął głęboko.

Zazwyczaj pijał piwo wieczorem, kiedy matka bawiła poza domem. Czasem on też gdzieś wieczorami wychodził, szwendał się po mieście. Matka jakoś nigdy tego nie zauważała, tak jak nie zauważała brakujących puszek piwa w lodówce. W przeciwieństwie do Lily, Aaron nie miał kochających, troskliwych rodziców, którzy pilnie baczyli, czy z ich synem nie dzieje się nic złego.

- Wybacz mi to moje wścibstwo. - Zarumieniła się. - Po prostu...

- Przed chwilą wręczyłaś mi czek na bardzo wysoką sumę. Jeżeli się rozmyśliłaś albo masz wątpliwości...

- Nie, Aaron. Żadnych. Uważam, że to, co robisz, jest wspaniałe. - Schowała książeczkę czekową z powrotem do torebki. - Podoba mi się jednak pomysł jakiejś rady, która sprawowałaby nadzór nad finansami...

Nie miał nic przeciwko temu.

- Świetnie. Ustanów radę, zarząd, cokolwiek - powiedział.

Dopóki nie wtrącała się w zajęcia sportowe i nie mówiła mu, co ma robić, reszta była mu absolutnie obojętna. Lily zamknęła torebkę i wstała. Aaron również poderwał się na nogi.

- Będziemy w kontakcie - rzekła, wyciągając do niego dłoń.

Uścisnął jej rękę i uśmiechnął się, ale nagle rozległ się w jego głowie sygnał ostrzegawczy. Będziemy w kontakcie? W jakiej sprawie?

Posiedzeń zarządu? Boże uchroni! On, Aaron, prowadził zwykłe zajęcia sportowe dla dzieci z biedniejszych rodzin. Nie chciał żadnych oficjalnych spotkań z członkami rady, podczas których miałby się tłumaczyć ze wszystkich swoich decyzji i poczynań. Ledwo mógł wytrzymać całą tę biurokrację i robotę papierkową, którą musiał wykonywać jako szkolny psycholog, ale to jeszcze rozumiał - w grę wchodziło zdrowie psychiczne i

dobre samopoczucie uczniów. Natomiast letni obóz chyba mógłby się obejść bez posiedzeń, narad i tym podobnych rzeczy?

Poza tym, gdyby odbywały się regularne spotkania rady, ciągle musiałby się widywać z Lily. Oczywiście mógłby, gdyby była taka potrzeba, ale wolałby, żeby potrzeby nie było. Na widok Lily przebiegały go dreszcze. Była zbyt atrakcyjna. Sam jej widok wystarczał, aby znów czuł się jak chłopak, któremu hormony odebrały rozum.

Zamyślił się. Dziesięć tysięcy dolarów to dużo pieniędzy. Nic dziwnego, że ofiarodawczynie tak wysokiej kwoty chciałyby mieć prawo głosu, prawo kontrolowania wydatków i prawo weta. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większe miał wątpliwości, czy dobrze zrobił, prosząc ją o wsparcie.

Z drugiej strony, właśnie dzięki temu wsparciu, zdoła wynająć instruktora pływania i drugiego trenera koszykówki, a tym samym więcej dzieci będzie mogło skorzystać z programu.

- Dziękuję - powiedział, niemal w ostatniej chwili przypominając sobie o dobrych manierach. - I ręczę, że pieniądze będą mądrze wydane.

- Mam nadzieję.

Odwróciła się i skierowała do drzwi. Zapewne powinien był ją odprowadzić do samochodu, ale - oszołomiony niespodziewanie hojnym datkiem - pomyślał o tym już poniewczasie.

Dziesięć tysięcy! Nawet nie marzył o takiej sumie. Mógł nie tylko zatrudnić ludzi do pomocy i zorganizować zajęcia na basenie, ale również kupić ręczniki, sprzęt, a gdyby coś zostało, to i sobie wypłacić pensję.

W głębi duszy trawił go jednak niepokój. Cały czas, kiedy rozmawiał z Lily, a także później, po jej wyjściu, miał niejasne przeczucie, że ten

czek może okazać się najbardziej kosztownym i kłopotliwym prezentem, jaki w życiu otrzymał.

Co jej odbiło? Czyżby zwariowała?

Tak. Zwariowała. Nie zdziwiłaby się, gdyby zawiązano ją w kaftan bezpieczeństwa i zamknięto u czubków.

Opadła na nagrzaną w słońcu, skórzany fotel i złapała się za głowę. Boże, co ona najlepszego zrobiła?

Wręczyła Aaronowi czek na dziesięć tysięcy, a jakby tego było mało, to jeszcze uparła się, że chce mieć coś do powiedzenia na temat sposobu wydawania tych pieniędzy.

Pieniądzy nie żałowała, miała ich pod dostatkiem. Raczej ta druga kwestia nie dawała jej spokoju. Czy naprawdę chciałaby zasiadać w jakiejś radzie i regularnie, raz na tydzień, widywać się z Aaronem? Tak jak i dawniej, wzbudzał w niej strach. Nie dlatego, że była niewinną młodą dziewczyną, nieświadomą energii seksualnej, która w nim pulsuje, ale dlatego, że była dorosłą, doświadczoną kobietą, która doskonale wiedziała, czym erupcja takiej energii może grozić.

Już jako nastolatka, kiedy w milczeniu mijala Aarona na korytarzu, wyczuwała w nim dziwną siłę. Ani razu nie zamieniła z nim słowa, ale często plotkowała o nim z przyjaciółkami.

- Widziałyście go wczoraj na boisku? Wyglądał jak dzika, nieokrzesa bestia, kiedy biegł w stronę kosza.

Albo:

- Słyszałam, że został zatrzymany przez policję. Że spędził noc w więzieniu! Wyobrażacie sobie?

Albo:

- Zauważyłyście, jakie ma oczy? Seksowne, zmysłowe. Jeśli w nie spojrzysz, na pewno cię zahipnotyzują!

W szkole Aaron nie chodził z żadną dziewczyną, Lily jednak sądziła, że był to jego świadomy wybór.

Że koleżanki z klasy były dla niego zbyt... naiwne. Że szkoda mu było tracić na nie czas. Że wolał dojrzałe kobiety.

Teraz i ona była dojrzałą, doświadczoną kobietą, lecz mimo to czuła się speszona i zagubiona, ilekroć patrzyła mu w oczy. Miała wrażenie, że potrafią przeniknąć człowieka na wylot. Że kryje się w nich potężna siła i tajemnica.

Niestety, nie sposób było z nich nic wyczytać.

Idiotka! Boże, dlaczego zachowała się tak głupio? Dlaczego uległa prośbie takiego mężczyzny jak Aaron i podarowała mu pieniądze? Bo zauroczył ją swoim spojrzeniem? Bo skrytykował jej akwarelę?

Nie, nie dlatego, że skrytykował. Dlatego że powiedział, co naprawdę myśli. Dlatego że - w przeciwieństwie do wszystkich innych - nie obszedł się z nią jak z jajkiem. Potraktował ją normalnie, a nie jak biedną wdowę, na którą trzeba chuchać i dmuchać. Spytała go o opinię, a on odpowiedział. Prosto z mostu. Obrazek jest mdły, tchnie nudą. To oznacza, że ona też jest mdła, a jej życie tchnie nudą.

Ofiarowała mu pieniądze, bo chciała zrobić coś ryzykownego, coś, co pozostawałoby w sprzeczności z jej spokojną, nudną egzystencją. Nie chciała dalej żyć jak dotąd. Chciała wyrwać się ze swojego świata, zaszaleć, spróbować czegoś nowego.

Oj, tak, z całą pewnością brakuje jej piątej klepki! Jest chora, szurnięta, niepoczytalna! Powinno się ją zamknąć w obitej wołokiem celi i szpikować codziennie lekami, dopóki nie odzyska rozumu.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła wolno, najpierw wstecz, potem przed siebie. Okrążając boisko do piłki nożnej, siedziała uśmiechnięta od ucha do ucha. Może znikowała, może powinna trafić do czubków, ale wreszcie coś interesującego dzieje się w jej życiu. Po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy ciekawa była, co przyniesie jutrzejszy dzień.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy dotarła na miejsce, przed domem Grace i Eda Penningtonów stało już kilka samochodów. Przez wiele dni zastanawiała się, czy wybrać się na skromne przyjęcie w ogrodzie, na które ją zaprosili, a od rana zastanawiała się, co na siebie włożyć. W jej szafie wisiały dwa rodzaje strojów: ubrania do malowania i cała reszta. Na całą resztę składały się kupione w bostońskich butikach horrendalnie drogie sukienki i kostiumiki, w których śmiało mogła iść na oficjalną galę, lecz nie na grilla odbywającego się w ogrodzie przyjęciół.

W końcu zdecydowała się na długą prostą sukienkę z białej bawełny, bez rękawów, i biały dżersejowy sweterek, liczyła się bowiem z tym, że po zachodzie słońca może zrobić się chłodno. Włosy zaczesła do tyłu i spięła szylkretową klamrą, usta pociągnęła jasnorożową szminką i stanęła przed lustrem, tym razem zastanawiając się, czy aby na pewno gotowa jest opuścić swój spokojny, bezpieczny świat i znów wejść między ludzi.

Tak, była gotowa. Była gotowa zamknąć ten ponury rozdział swojego życia i zacząć wszystko od nowa. Była gotowa zostawić za sobą smutki, przestać na zmianę roztkliwiać się nad sobą i czynić sobie wyrzuty. Gotowa była na odrobinę ryzyka, szaleństwa i niebezpieczeństwa.

Oczywiście na przyjęciu w ogrodzie u Penningtonów nic jej nie groziło. Grace i Ed byli jej starymi przyjaciółmi, należeli do paczki Szczurów, a resztę gości też znała od dziecka. Wszyscy ją lubili, życzyli jej dobrze. Wiedziała, że nie zaczną wytykać jej palcem ani surowo

oceniać, przynajmniej tak długo, póki nie odkryją jej najgłębszych tajemnic.

Westchnęła głęboko i wysiadła z auta. Zbierając się na odwagę - i złoścąc na siebie, że potrzebuje odwagi, aby przejść na tyły domu i dołączyć do gości zgromadzonych w ogrodzie - wolnym krokiem ruszyła przez trawnik.

Słyszała dobiegające zza domu głosy i głośny śmiech. Czuła cikliwy zapach trawy, natomiast ostre źdźbła łaskotały ją w palce u nóg, wystające spod pasków letnich sandałów.

Doszedłszy do końca wąskiej ścieżki, na szerokim tarasie za domem ujrzała kilkanaście osób. Ludzie siedzieli, śmiali się, rozmawiali, trzymając puszki piwa lub plastikowe szklanki wypełnione lekko spienionym, pomarańczowym płynem, którego cały dzban stał obok na stole. Poza dzbanem na stole dostrzegła również tace ze świeżo pokrojonymi warzywami, miseczki z sosami do maczania warzyw, miski z chrupkami -ot, całkiem typowe przekąski.

Rozejrzała się szybko dookoła, sprawdzając, czy zna wszystkich obecnych. Wśród zaproszonych gości był Mitch Sterling w jasnych spodniach i koszuli z krótkim rękawem. Erin Wilson, ubrana w szorty i bluzkę ciążową w podłużne paski, rozmawiała z Susie Rousseau; obie siedziały koło Lily na lekcjach matematyki i biologii. Zauważyła również Charliego Callahana; wyjmował piwo z przenośnej chłodziarki. Przed paroma laty Charlie rozwiódł się z Beth, siostrą Eda Penningtona. Beth, podobnie jak Charlie, należała do paczki. Od najmłodszych lat oboje darzyli się sympatią - dopóki się nie pobrali. Wtedy zaczęły się

nieporozumienia. Ich ślub był dla wszystkich dużą niespodzianką, lecz rozwód - jeszcze większą.

Najwyraźniej jednak nie zaważył na przyjaźni Charliego z rodziną byłej żony. Z drugiej strony, może więzi łączące członków dawnej paczki były tak silne, że nawet rozwód nie mógł ich nadwerężyć.

Lily żałowała, że na przyjęciu nie ma Beth, która podobno przeprowadziła się do jakiegoś większego miasta. No cóż, może z Beth byłoby jej raźniej, ale cieszyła się, że przynajmniej zna wszystkich. I wszyscy ją znali. Susie spostrzegła ją pierwsza i rozkładając szeroko ramiona, podbiegła, żeby się przywitać.

- Lily! Jak miło cię widzieć!

Dosłownie po paru sekundach otoczył ją tłum dawnych przyjaciół; uśmiechali się do niej, ściskali ją, całowali, zasypywali serdecznościami.

Poczuła się kochana; od lat nikt nie okazywał jej tyle życzliwości. Ale tak długo żyła w klatce, że nie była pewna, czy potrafi odwzajemnić sympatię. Zrozumiała, że jeśli dziś wytrzyma, jeśli po dziesięciu minutach nie ucieknie z przyjęcia, będzie to oznaczało, że ponownie jest gotowa stawić czoło światu.

Zasypywali ją pytaniami; chcieli wiedzieć, jak się miewa, ale nie dawali jej szansy odpowiedzieć. Ktoś wcisnął jej do ręki szklanekę pianistego pomarańczowego napoju, ktoś inny ujął ją pod łokieć i poprowadził w stronę wygodnych foteli. Lily usiadła na środkowym, Erin na tym z lewej, Grace zajęła ten po prawej, po czym obie, niemal jedna przez drugą, zaczęły opowiadać Lily o przebiegu ciąży Erin.

Lily była zachwycona. Znacznie bardziej woląла słuchać o zmianach, jakie zaszły w życiu jej przyjaciół, niż mówić im o tym, co się działo u

niej. Bo co mogłaby powiedzieć? Że po dwóch i pół miesiącach upartego siedzenia w domu przy East Oak wreszcie postanowiła opuścić swą samotnię? Że zdecydowała się na ten krok pod wpływem Aarona, któremu chciała udowodnić, że nie boi się ryzyka? Że w poniedziałek przez godzinę obserwowała gromadkę dzieci ganiających po szkolnej sali gimnastycznej? Że wypisała duży czek na cel dobroczynny, jakby była jakąś starą bogatą matroną? Że po rozmowie z Aaronem ogarnęły ją wątpliwości, czy nadal ma malować mdłe, nijakie akwarele?

Dzisiejszego ranka, zanim zaczęła się zastanawiać, w co się ubrać na popołudniowe przyjęcie, weszła do sklepu, nad którym wisiał ozdobny szyld z napisem „Hobby”. Ujrzała w nim bogaty wybór włóczek, wełny, nici, kordonków, słowem, rzeczy potrzebnych do robienia na drutach, do szycia, hartowania, szydełkowania, lecz nie znalazła tego, czego szukała. Wróciła więc do domu i korzystając z usług Internetu, zamówiła kilka blejtramów, obciążniętych płótnem i zagruntowanych, oraz duży zestaw farb akrylowych. W kartonie w piwnicy miała całą kolekcję starych pędzli; liczyła na to, że po solidnym umyciu i wymoczeniu będą nadawały się do użytku. Zamówione materiały powinna otrzymać na początku przyszłego tygodnia. Wówczas przekona się, czy ma dość odwagi, aby porzucić farby wodne.

Nie bardzo wiedziała, czy powinna być wdzięczna Aaronowi, czy wściekła na niego za to, że jedną uwagą na temat jej malarstwa wprowadził taki zamęt w jej życiu. No ale zamówienie na akryle złożyła i nie zamierzała się wycofywać.

- Muszę wyjąć nasze zakąski z piekarnika - oznajmiła Grace, wstając z fotela. Właśnie skończyła tłumaczyć Erin, jak ważna dla kobiet w ciąży

jest wysokobiałkowa dieta. - I pogonić Eda, żeby rozpałił grill. Bo jeśli tak dalej pójdzie i wszyscy na pusty żołądek będą pili ten zdradliwy soczek pomarańczowy, obawiam się, że wkrótce zostaniemy tu same.

Słaniające się na nogach, bełkoczące towarzystwo - to była ostatnia rzecz, na jaką Lily miała ochotę.

Napój w dzbanie na stole był pyszny, ale faktycznie zdradliwy. Składał się z soku pomarańczowego i jakiegoś mocnego alkoholu o niewyczuwalnym smaku; chyba wódki. Lily od lat nie brała do ust żadnych trunków, nieustannie pijany mąż skutecznie ją do tego zniechęcił. Dopiero po śmierci Tylera od czasu do czasu zaczęła sobie pozwalać na kieliszek wina do posiłku.

Odstawiła nie dopitą plastikową szklanę. Soczek nagle przestał jej smakować.

- Pomogę ci, Grace - rzekła, podrywając się raptownie na nogi.

- Nie trzeba - odparła przyjaciółka.

Lily jednak nie chciała tkwić bezczynnie. Siedząc na fotelu, czuła się jak gość honorowy. Albo jak eksponat w muzeum. Miała wrażenie, że za bardzo rzuca się w oczy. Że chociaż nikt o niej nie plotkuje, to jednak wszyscy ją obserwują, zastanawiają się, jak naprawdę się miewa, jak długo zostanie, czy doszła już do siebie po stracie męża, czy przypomina dawną Lily tylko fizycznie, a może również psychicznie.

Minęła drzwi z siatki i weszła za Grace do kuchni, w której stało już kilka osób, rozmawiając i pogryzając prele.

- Co mogę zrobić? - spytała, zwracając się do gospodyni.

Grace wyglądała tak, jakby miała zamiar potrząsnąć głową i podziękować za pomoc, ale po chwili zreflektowała się.

- Widzisz ten duży szklany półmisek? - spytała, wciągając rękawice żaroodporne. - Za dwie minuty mają na nim stać grzyby faszerowane.

Otworzyła drzwiczki piekarnika i wyjęła ze środka brytfannę. Po kuchni rozszedł się aromatyczny, ziołowy aromat.

- Są gorące, więc przypadkiem nie dotknij ich ręką - dodała, stawiając brytfannę na dwóch wyłączonych palnikach.

Lily chyba jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie cieszyła się, że ma jakieś zajęcie. Z głośników w salonie niósł się niski, ciepły głos Lyle'a Lovetta, a z tarasu za domem docierały ożywione rozmowy gości. Po drugiej stronie blatu, przy którym Lily pracowała, Mitch Sterling i mąż Erin, Joe, omawiali postępy, jakie w minionym roku poczyniła szkolna drużyna koszykarska.

- Naprawdę uważasz, że grają lepiej od nas? - spytał Mitch.

- Zdecydowanie. Albo dzisiejsze dzieciaki mają większy talent, albo trener lepiej sobie z nimi radzi.

- Nie chodzi o dzieciaki. Żaden z tych młokosów nie może się równać z Jacobem Steele'em. Hm, moim zdaniem istnieje jedno proste wytłumaczenie, dlaczego wygrywali każdy kolejny mecz w tym sezonie. - W oczach Mitcha płonęły wesołe iskierki. - Trafiali na słabszych przeciwników!

Korciło ją, by stanąć w obronie Aarona, powiedzieć, że sukcesy drużyny to jego zasługa, że jest świetnym trenerem, ale oczywiście nie miała żadnych podstaw, by tak twierdzić. Obserwowała go na boisku raptem przez godzinę, w dodatku wcale w tym czasie nie trenował zawodników, tylko uczył dzieci kozłowania piłki. Tamtego dnia, po wyjściu z sali gimnastycznej, pomyślała sobie, że chętnie jeszcze tam

kiedyś zajrzy - bądź co bądź suma, jaką wypisała na czeku, dawała jej do tego prawo - ale potem wystraszyła się, że to zainteresowanie obozem dla dzieci może przerodzić się w jakąś obsesję.

A raczej że organizator obozu dla dzieci może się stać jej obsesją. Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby zadzwoniła do niego i spytała, czy nie wybrałby się z nią na dzisiejsze przyjęcie w ogrodzie. Przepuszczalnie uprzejmie by odmówił. Nie, najpierw by wybuchnął gromkim śmiechem, a dopiero potem odmówił. Nawet by się nie zdziwiła. Jej przyjaciele nie byli jego przyjaciółmi. Jak on to powiedział? Obracaliśmy się w innych kręgach?

To prawda. Był samotnikiem. Ona natomiast żyła wśród ludzi, wśród przyjaciół. Tworzyli zgraną paczkę; zawsze wszędzie razem chodzili, wszystko razem robili: pływali w rzece, siedzieli na brzegu, żartowali, flirtowali, spierali się zarówno o ważne sprawy, takie jak sens życia, jak i o błahe, na przykład, czy wolno zaskakiwać uczniów klasówką z trygonometrii. Ponieważ nie miała rodzeństwa, traktowała Szczurów Wodnych jak braci i siostry. Wolą włączyć się z nimi, niż siedzieć sama w domu.

W trakcie dziesięciu lat małżeństwa przyzwyczała się do samotności. Przekonała się, że nie może liczyć na towarzystwo Tylera. Raz bywał cudownym mężem i świetnym kompanem, troskliwym, zabawnym, czarującym. Kiedy indziej bywał zgryźliwym, nieokrzesanym gburem. Po pewnym czasie straciła do niego zaufanie. Małżeństwo z człowiekiem, do którego nie ma się zaufania - oto co rozumiała pod pojęciem samotności.

Stojąc w kuchni Penningtonów, zaledwie na odległość ręki od Grace, Mitcha i Joego, wciąż czuła się samotna. Od przyjaciół dzielił ją mur, niewidoczny, lecz prawdziwy. Zdawała sobie sprawę, z czego jest zbudowany: z wyrzutów sumienia, z poczucia odpowiedzialności, z czarnej skazy na duszy.

- Gotowe. - Przełożyła na półmisek ostatnie dwa faszerowane grzybki i rozciągnęła usta w uśmiechu. - Mam to zanieść na taras?

- Jeszcze nie! - zaprotestował Mitch, po czym chwycił jeden z grzybków.

- Są gorące! - zawołała Grace. - Uważaj, żebyś sobie nie poparzył podniebienia.

Ostrożnie wyciągnęła z piekarnika kolejną brytfannę, na której leżały małe paszteciki.

- Jestem duży chłopiec, wytrzymam ból. - Mitch oblizał się ze smakiem. - Pyszne, Grace! Wyjdiesz za mnie za męża?

- Niestety, Mitch, spóźniłeś się kilka lat. - Nagle

Grace przypomniała sobie o pytaniu Lily. - Tak, kochanie, bądź tak miła i wynieś półmisek na taras.

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem Lily wyszła na zewnątrz.

Wszyscy sprawiali wrażenie takich szczęśliwych, radosnych, odprężonych. Jakby nie mieli żadnych trosk na świecie. Mur, który dzielił ją od przyjaciół, gruby, przezroczysty niczym tafla szkła, pozwalał jej widzieć obecnych na tarasie ludzi, ale nie pozwalał się do nich zbliżyć.

Ciekawa była, czy właśnie tak Aaron czuł się w szkole średniej. Czy obserwował zaprzyjaźnione grupki, paczki, kliki, i wiedział, że nigdy do żadnej z nich nie będzie należał?

Lily zawsze zakładała, że Aaron specjalnie trzyma się na uboczu, że świadomie unika towarzystwa takich ludzi jak ona i jej kumple. Grał w szkolnej drużynie koszykówki, lecz w przeciwieństwie do innych zawodników nie otaczał go wianuszek dziewczyn. Uczęszczał na lekcje, lecz nie bratał się z kolegami z klasy. Odstawał od nich. Nie pasował. Wydawał się starszy, bardziej doświadczony, mądrzejszy. Jego mądrość nie brała się jednak z książek, lecz z życia. Wiedział, że nie warto niczego robić na siłę, podlizywać się, przymilać, próbować zakraść w czyjeś łaski. Po prostu nie należał do świata, do którego należała Lily. Chadzał własnymi drogami.

- Opowiedz mi o swoim domu - poprosiła Susie, wyrywając ją z zadumy. - Z zewnątrz wygląda wspaniale. Urządziłaś już wszystkie pokoje?

Lily postawiła półmisek na stole i jako osoba dobrze wychowana udzieliła Susie szczegółowej odpowiedzi. Opisała salon, wyjaśniła, że kilka pokoi spełnia na raz funkcję składzików, ponarzekła na kuchnię, że jest zbyt duża, a zatem mało przytulna, i sporo się trzeba po niej nabiegać. Opowiedziała o swoim ulubionym pokoju, narożnej sypialni, w której - ze względu na ilość światła wpadającego przez okna - urządziła sobie małą pracownię malarską.

Susie zaciekały podłogi.

- Wszędzie dębowe? O rany! - zawołała. Interesowały ją też okna.

- Uwielbiam zarówno takie olbrzymie, jak i małe, okrągłe, w kształcie rozety.

Tak, Lily też je uwielbiała. Między innymi dlatego zawsze podobał się jej dom przy East Oak.

Ale nie była w nastroju do rozmowy o oknach i podłodze. Otoczona ludźmi, odczuwała przeraźliwą pustkę. Zupełnie jakby przecięła cumę, która łączyła ją z lądem, i teraz dryfowała samotnie po wzburzonej wodzie, z dala od brzegu. Marzyła o tym, by wymknąć się niepostrzeżenie, ale wiedziała, że nie bardzo jej wypada. Jeszcze trochę musi się pomęczyć, poudzielać towarzysko.

Toteż, uśmiechając się serdecznie, wypytywała przyjaciół o pracę, o dzieci, i była im wdzięczna za to, że są tacy wrażliwi, kulturalni i sami nie zarzucają jej pytaniami. Zjadła pół hamburgera i pięć faszerowanych grzybków, wypila sok owocowy i o wpół do dziewiątej, kiedy słońce wisiało nisko nad ziemią, oświetlając świat ciepłym, złocistym blaskiem, przeprosiła gospodarzy, że musi już iść. Nie chciała okłamywać przyjaciół, dlaczego wychodzi o tak wczesnej porze. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała dlaczego. Chociaż nie, wiedziała. Po prostu konieczność ciągłego uśmiechania się i prowadzenia miłej rozmowy coraz bardziej pozbawiała ją energii, a nabawiała bólu głowy.

Na szczęście przyjaciele nie pytali o powód tak wczesnego powrotu do domu.

- Nie przejmuj się nami, kochanie - szepnęła Grace, odprowadzając Lily do samochodu. - Wiem, że nie jest ci łatwo.

Byli przekonani, że wciąż cierpi po śmierci Tylera. Bardzo dobrze, pomyślała. Niech wierzą, w co chcą.

Wsiadła do bmw, pomachała do Grace i odjechała sprzed domu Penningtonów. Na najbliższym skrzyżowaniu przyhamowała i wypuściła z płuc powietrze. Z kilku powodów miała do siebie pretensję. Jednym z nich było oszukiwanie bliskich, ukrywanie przed nimi prawdy.

Miała ochotę się rozplakać, ale łzy nic by nie dały. Wiedziała, że to, co się stało, się nie odstanie. Przeszłości nie można cofnąć ani zmienić. Należało ją zaakceptować i myśleć o tym, co nas czeka, a nie o tym, co nie powróci.

Wcisnęła nogą pedał gazu i samochód lekko przyspieszył. Zastanawiała się, co robić, dokąd się udać. Zdawała sobie sprawę, że jeśli pojedzie do domu, to resztę wieczoru będzie krążyć po pustych, nie urządzonych pokojach, dumając nad istotą życia.

Jechała prosto przed siebie, coraz bardziej oddalając się od własnej ulicy. Wkrótce opuściła dzielnicę, w której stał dom przyjaciół, i znalazła się na obrzeżach miasteczka. Minęła niedużą farmę, porośnięte chwastami pole, kępę drzew, które w zachodzącym słońcu rzucały na szosę kilkudziesięciometrowe cienie. Słońce skryło się już za horyzontem, kiedy dojechała nad szosę biegnącą wzdłuż rzeki. Robiło się coraz ciemniej, ale jej to nie przeszkadzało. Dobrze знаła tę okolicę. Całe dzieciństwo spędziła z przyjaciółmi nad rzeką: tu było ich ulubione miejsce spotkań. Dlatego zyskali przydomek Szczurów Wodnych.

Szosa nabrzeżna wiała się tak samo jak rzeka. Lily prowadziła wolno, rozglądając się uważnie, aż wreszcie, mniej więcej po dwóch kilometrach, ujrzała zjazd. Skrzyła. Przejechała kawałek po wybojach i zatrzymała samochód. Rosnące wokół drzewa o rozłożystych gałęziach skutecznie zasłaniały resztkę światła, jaka jeszcze pozostała na niebie.

Niewiele się tu zmieniło. Drzewa były wyższe i starsze, ale ona również. Podszycie gęstsze, utrudniające chodzenie, ale nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz szła po gładkim, czystym terenie bez dziur, bez szpar, bez kolein, bez pułapek, o które ciągle się potykała.

Wysiadła i patrząc pod nogi, powoli ruszyła na brzeg.

Rzeka była taka jak dawniej. Szeroka, lśniąca niczym srebrzysta wstęga, płynęła spokojnie obok przybrzeżnych głazów, trzciny i karłowatych krzewów.

Po chwili ujrzała znajomy konar i odetchnęła z ulgą; ucieszyła się, że wciąż tkwi zawieszony horyzontalnie nad powierzchnią wody. Jakże to dziwne, pomyślała, że miejsce, w którym miała wypadek, nappełniało ją takim uczuciem błogości i spokoju. Może dlatego, że wypadek - dzięki szybkiej pomocy przyjaciół - okazał się niegroźny w skutkach.

Latem, kiedy szkoła się kończyła, wszyscy wyciągali rowery, pedałowali nad rzekę, zawieszali ręczniki na gałęziach, po czym wdrapywali się na konar i skakali z niego do wody. Konar spełniał funkcję trampoliny. Jako pierwszy wypróbował ją Jacob; był najstarszy, największy i czuł się w obowiązku przetestować zarówno drzewo, jak i wodę, zanim ktokolwiek zaryzykuje skok. Wdrapał się na pochyłą gałąź, przeszedł po niej na czworakach, tak by znaleźć się jak najdalej od brzegu, po czym zwiesił się w dół i wreszcie spuścił do wody. Na moment zniknął pod powierzchnią, potem wynurzył się, oznajmiając triumfalnie:

- W porządku! Jest głęboko.

No i zaczęło się. Każdy musiał spróbować. Tego lata, gdy tylko na niebie świeciło słońce, pędzili nad rzekę i skakali do wody. Chłopcy oczywiście się popisywali, wykonując najróżniejsze akrobacje: a to skoki na brzuch, a to z obrotem, a to na głowę. Dziewczęta nie były aż tak odważne, a może po prostu miały więcej rozumu.

Lily do dziś pamiętała ten dreszczyk emocji, który ją przenikał, kiedy odbijała się od gałęzi i wpadała do wody. Nie była to strasznie

niebezpieczna zabawa, ale bezpieczna też nie była. Pamiętała zapach mokrych liści, wilgotnej ziemi, a potem głośny plusk: woda rozpryskiwała się, ciało opadało, pęcherzyki powietrza szły do góry. Po chwili skoczek odbijał się od dna i wracał na powierzchnię, myśląc tylko o jednym: żeby czym prędzej wydostać się na brzeg, wdrapać z powrotem na konar i powtórzyć skok.

Któregoś sierpniowego dnia Lily przesuwiała się po gałęzi, żeby być dalej od brzegu, kiedy nagle zachwiała się. O ile chłopcy lubili popisywać się wymyślnymi skokami, o tyle dziewczynki lubiły popisywać się wdziękiem, harmonią ruchów, zmysłem równowagi. Idąc po konarze, niczego się nie trzymały. Wyglądały jak gimnastyczki na równoważni.

Tego poranka konar był mokry i śliski. Przez całą noc padał deszcz. Lily wdrapała się na drzewo, ale nim zrobiła parę kroków, pośliznęła się. Nie zdążyła odsunąć się od brzegu. W ostatniej chwili przekręciła ciało, tak by wylądować w wodzie, a nie na skałach. Udało się, jedynie lewą nogą uderzyła o przybrzeżny głaz.

Teraz, po wielu latach od tego incydentu, stała nieopodal pochyłego konara i w szybko zapadającym mroku rozglądała się po brzegu, ciekawa, czy głaz też rozpozna. Pamiętała, że był wielki, twardy, z granitu. Pamiętała też straszliwy ból, który ją przeszył, i pragnienie, aby wsadzić nogę do zimnej wody i jej stamtąd nie wyjmować. Miała wrażenie, że cała stopa jej pulsuje. Kiedy Beth i Ed Penningtonowie wyciągnęli ją z rzeki, zobaczyła, że podbicie przybrało kolor fioletozowy i zaczynało puchnąć.

Mitch z Jacobem natychmiast wskoczyli na rowery i ile sił w nogach popedałowali do miasteczka po pomoc. Oczywiście udali się prosto do gabinetu doktora Bennetta, chociaż Lily twierdziła, że nic jej nie jest.

Chciała wstać i udowodnić przyjaciółom, że nie zrobiła sobie żadnej krzywdy, lecz Beth ostro zaprotestowała.

- Nic z tego! Gdzieś czytałam, że jak się ma złamaną nogę, nie wolno nią poruszać.

- Ale ja nic nie złamałam! - sprzeciwiła się, choć patrząc na coraz bardziej intensywną barwę i coraz większy rozmiar stopy, podejrzewała, że nie nabiła sobie zwykłego siniaka.

Beth podsunęła jej ręcznik pod piętę, po czym zawiązała jego końce, tak aby nie mogła ruszać nogą. Charlie opowiadał dowcipy, żeby odwrócić jej uwagę od bólu. Grace, która jak zawsze przyjeżdżała nad rzekę zaopatrzona w różne przysmaki, zaofiarowała jej ciastko. Lily odmówiła. Na samą myśl o jedzeniu miała ochotę wymiotować, co dobitnie świadczyło o tym, że jednak coś jej dolega.

Kilka minut później rozległ się pisk opon i na brzegu pojawił się doktor Bennett.

Rzucił okiem na spuchniętą nogę, owinął ją mocniej ręcznikiem, po czym, chwyciwszy córkę w ramiona, zaniósł ją do samochodu i zawrócił do miasteczka. Dopiero po drodze spytał, co się stało.

- Pośliznęłam się i upadłam - odparła, zadowolona, że nie musi uciekać się do kłamstwa. - Niechcący uderzyłam nogą o głaz.

Okazało się, że złamała stopę w dwóch miejscach. Niby nic strasznego, życiu i urodzie to nie zagrażało, ale musiała mieć założony gips, a to oznaczało, że do końca wakacji nie mogła pływać ani jeździć na rowerze. Zawsze jednak znalazł się chętny, który brał ją na ramię, kiedy Szczury wybierały się gdzieś całą paczką. Najlepsze było to, że musiała przerwać lekcje baletu. Zajęcia te sprawiały jej przyjemność aż do

ostatniego roku, kiedy to nauczycielka kazała ćwiczyć taniec na czubkach palców. Lily nienawidziła tego. Wszystko ją bolało: kostki, palce, łydki. Nie rozumiała, na co to komu potrzebne, zwłaszcza jej, skoro i tak nie zamierza zostać baletnicą.

Teraz, kiedy miała złamaną nogę, mogła z czystym sumieniem zrezygnować z dalszej nauki tańca. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pomyślała sobie, że to mądra sentencja, którą warto zapamiętać na przyszłość.

Dwadzieścia trzy lata po tym, kiedy zwała się z konara do wody, szła wolno wzdłuż brzegu, szukając głazu, który uwolnił ją od konieczności pobierania znużonej nauki tańca. W pierwszej chwili go nie rozpoznała; był niewidoczny, pokryty mchem i opadłymi z drzew liśćmi. Przystanęła. Nie, na pewno się nie pomyliła. To ten. Miał identyczny kształt i tak samo jak dawniej sterczał nad wodą.

Pogładziła ręką miękkie, włochate porosty i uśmiechnęła się pod nosem. Gdyby dwadzieścia trzy lata temu równie gruby dywan mchu porastał granitową powierzchnię, może nie złamałaby nogi. Może skończyłoby się na stłuczeniu. O ile jednak głaz różnił się od tego, który pamiętała, wszystko wokół pozostało nie zmienione. Powietrze pachniało tak samo, rzeka tak samo szemrała, a od czasu do czasu rozlegał się cichy plusk, kiedy jakieś stworzonko, prawdopodobnie żaba, wskakiwało do wody. Lily usiadła na miękkim pluszowym obiciu i wodziła wzrokiem po rzece. Sama, pośród przyrody, czuła się znacznie lepiej niż na przyjęciu u Penningtonów, gdzie otaczał ją tłum zaprzyjaźnionych osób.

W oddali, między gałęziami drzew, zobaczyła palące się światełko. Nie kojarzyła, aby ktokolwiek mieszkał tak blisko rzeki. Wtedy, przed

laty, nad rzeką stały jedynie prymitywne chaty, bardziej przypominające szałaszy niż prawdziwe domy, oraz budki, w których wędkarze trzymali swój sprzęt.

Zaraz, zaraz... Zdaje się, że niedaleko stąd mieszkał stary Miller. W skromnej, drewnianej chacie. Raz jeden wybrali się tam paczką na przeszpiegi. Starzec Miller wybiegł z domu i jak nie ryknął: „Won mi stąd, szczeniaki głupie! Bo wrócę po strzelbę i powystrzelam was jak kaczki!” Rzucili się z wrzaskiem do ucieczki; wskoczyli do rzeki i młóćąc ramionami wodę, płynęli tak, jakby ich gonił sam diabeł. Dopiero przy pochyłym konarze wyszli na brzeg; rechocząc, sprzeczekali się o to, czy Miller naprawdę by ich powystrzelał, czy były to tylko czece pogrózki. Podejrzewali, że raczej pogrózki, że stary, zrzędlivy grzyb miał satysfakcję, strasząc ludzi, a w gruncie rzeczy nikomu nie zamierzał wyrządzić krzywdy.

Wiedziała, że teraz w chacie starego Millera mieszka Aaron Mazerik. A zatem to światełko mrugające pośród drzew, niczym gwiazda na niebie, niczym boja na wodzie, oznacza, że Aaron jest w domu.

Zważywszy na upał, który trochę zelżał pod wieczór, ale tylko trochę, można się było spodziewać więcej muszek i komarów. Na wszelki wypadek Aaron zapalił dwie świece o zapachu, za którym owady nie przepadały, a siebie wysmarował jakimś kremem. Komary omijały go z daleka.

Wiedział, że któregoś pięknego dnia będzie musiał zainstalować sobie klimatyzację z prawdziwego zdarzenia. Charlie Callahan polecił mu elektryka, z którego usług sam korzystał. Zamontowanie urządzenia

pod oknem nie powinno być zbyt trudne i korki nie powinny wysiąść. Zwłaszcza że nie używałby jednocześnie klimatyzacji i kuchenki. Jeżeli bez klimatyzacji nie dawało się wytrzymać, znaczyło to, że jest za gorąco, aby przyrządzać ciepły posiłek.

Wieczorami na tarasie za domem było w sam raz. Ciepło, ale nie upalnie. Zwykle gdy słońce kryło się za drzewami, znad rzeki nadciągał wiaterek, który przeganiał zastale, duszne powietrze. Kufel zimnego piwa też pomagał na ochłodę.

Aaron leżał na hamaku, bosy, ubrany w ucięte nad kolanami džinsy i rozpiętą na piersi koszulę. Wypiwszy parę łyków piwa, odstawił kufel na stolik i pogрузzył się w lekturze powieści kryminalnej. Miał za sobą długi, męczący tydzień, toteż o niczym bardziej nie marzył niż o tym, by w ciszy i spokoju poczytać dobrą książkę.

No nie, marzył jeszcze o niej. O Lily. Była stale obecna w jego myślach. Może dlatego, kiedy całkiem niespodziewanie pojawiła się przy schodach na taras, był pewien, że ma zwiady.

- Zobaczyłam światło - rzekła.

Usiadł; hamak się zakołysał. W mlecznym blasku lampki umocowanej nad kuchennymi drzwiami Lily, jasnowłosa, o bladej twarzy, w długiej białej sukience i zarzuconym na ramiona cienkim białym sweterku, wyglądała jak przepiękna zjawka. Za nią majaczył czarny las.

Dlaczego tu przyszła? Żeby go dręczyć? Torturować? Nie, przecież nie wiedziała, że sam jej widok stanowi dla niego mękę. Żeby kusić tym, czego mieć nie mógł?

- Jakim cudem? - zdumiał się.

W ciągu dnia dom był ledwo widoczny od strony szosy. Po zachodzie słońca w ogóle nie było go widać. Taras zaś znajdował się od strony rzeki, nie szosy, więc światelko mogły dojrzeć co najwyżej ryby.

- Spacerowałam brzegiem rzeki - wyjaśniła. - I nagle między gałęziami coś zamigotało.

Spacer brzegiem rzeki? Po nocy? W wieczorowej sukni? Albo była nie w pełni władz umysłowych, albo stało się coś ważnego. Jakoś nie podejrzewał, żeby miała świra.

- Może usiądziesz? - zaproponował. - Zapraszam... Odłożył książkę na stolik obok kufla z piwem i wstał z hamaka. Lily weszła po czterech schodkach na taras i uśmiechnęła się. Po plecach przebiegł mu dreszcz.

- Napij się piwa?

Powiodła po nim wzrokiem. Wiedział, że w pomiętej, rozchełstanej koszuli i szortach nie wygląda zbyt elegancko, uznał jednak, że skoro wytrzymała z nim, kiedy był zlany potem, zdyszany, w stroju gimnastycznym, wytrzyma i teraz. Było za ciepło, by siedzieć w domu w długich spodniach. Wprawdzie mógł zapiąć koszulę, ale... Gdyby zrobił to teraz, przy niej, pomyślałaby, że krępuje go jej obecność, a wtedy sama poczułaby się skrepowana... Nie, lepiej zostawić wszystko, jak jest.

- Wolałabym szklanę wody - odparła.

Tak, musiało się coś stać. Nie sprawiała wrażenia wystraszonej czy zaniepokojonej, ale uśmiech miała smutny, spojrzenie zamyślane. Nie wiedzieć czemu, sama, w nocy, spacerowała brzegiem rzeki, co potencjalnie wiąże się z ryzykiem.

- Usiądź. - Wskazał plastikowe fotele, które zajmowały przeciwną stronę tarasu. Nie były tak wytworne jak wiklinowe meble, które miała u

siebie za domem, ale na pewno znacznie wygodniej się w nich siedziało. -
A ja zaraz wrócę.

Wszedł do kuchni, z zawieszanej nad zlewem szpuli oderwał papierowy ręcznik i przetrął nim twarz. Miał nadzieję, że nie cuchnie na odległość środkiem przeciw komarom.

Doprowadziwszy się jako tako do porządku, napełnił szklanek wodą, dodał kilka kostek lodu i zawahał się. Jeśli komary zaczną za bardzo ciąć, czy powinien zaprosić Lily do salonu? Chata, w której mieszkał, była naprawdę malutka; składała się z kuchni, salonu, niedużej sypialni i łazienki. Jak dla niego miejsca było dość; byłoby dość dla dwóch osób również, gdyby tą drugą osobą nie była Lily.

Jej uroda zapierała dech. A może wcale nie? Może tylko on jeden na całym świecie patrzył w nią jak w obrazek? Może widział w niej coś, czego inni nie dostrzegali? Częstkę siebie?

Tak czy owak, nie mógł jej zaprosić do środka. Jeżeli komary zaczną atakować, trudno, niech się te małe wstrętne krwiopijcę opiją do nieprzytomności.

Wyniósł szklanek na zewnątrz i wręczył Lily z uśmiechem.

- Dzięki. - Pociągnęła łyk.

Usiadł na brzegu hamaka, z nogami wspartymi o deski podłogi. Sam własnoręcznie, z niewielką pomocą Charliego Callahana, zbudował ten taras i był z niego ogromnie dumny, bardziej niż z wszystkich innych usprawnień, jakie musiał wprowadzić, zanim tu zamieszkał. Ocieplenie strychu, wymiana starych nieszczelnych okien na nowe, zainstalowanie energooszczędnej kuchenki - to wszystko były konieczne zmiany, jeśli chciał mieszkać tu przez okrągły rok. Ale taras za domem... to nie była

żadna konieczność. Napracował się, lecz nie żałował. Spędzał tu więcej czasu niż w którymkolwiek z pokoi. W ciągu dnia widział migoczącą między drzewami wstęgę wody, w nocy słyszał jej szum.

- Więc co? Spacerowałaś nad rzeką - powiedział, przerywając ciszę. - Lubisz w długiej sukni i w eleganckich sandałkach odbywać nocą długie, piesze spacerunki?

Świeca zamigotała; w jej ciepłym żółtym blasku policzki Lily miały odcień złota.

- Byłam na przyjęciu - rzekła, spoglądając na sukienkę, do której poprzyczepiały się gałązki i suche liście. - Nagle zrobiło mi się, sama nie wiem... smutno. Czułam, że muszę wyjść. - Skierowała na niego oczy, a jego ogarnęło bolesne pragnienie, aby wziąć ją w ramiona, pocieszyć. - Przyjechałam nad rzekę, bo właśnie tutaj, nad wodą, spędzałam kiedyś mnóstwo czasu. Nie byłam tu, odkąd... - zawiesiła głos.

- Odkąd wróciłaś do Riverbend po śmierci męża... Widział, że coś leży jej na sercu, i uznał, że nie ma sensu kluczyć, dukać, mówić półsłówkami, uciekać się do aluzji. Najlepiej dojść do sedna najprostszą drogą.

- Tak, odkąd wróciłam po śmierci męża - potwierdziła, nie spuszczać z niego wzroku.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Powinien był wykazać więcej taktu, on zaś myślał głównie o sobie - chciał zrazić Lily, zniechęcić ją, zwiększyć pomiędzy nimi dystans. Wszystko z powodu uczuć, jakie w nim wzbudzała. Ona jednak okazała się silna, twarda. Zastosował frontalny atak, a ona nawet się nie zachwiała.

- Faktycznie, przesiadywaliście tu całymi dniami. Szczury Wodne...

Skinęła głową.

- Nie pamiętam, skąd się wziął przydomek, ale idealnie pasował. To było nasze ulubione miejsce, niedaleko chaty starego Millera. Ilekroć nas widział, zawsze na nas wrzeszczał, wygrażał nam... - Uśmiechnęła się do wspomnień.

Aaron wzruszył ramionami. Nie znał starego Millera. Nigdy z nim nie rozmawiał. Obecnie facet przebywał w prywatnej klinice w Terre Haute w pobliżu domu swojej córki. To ona zaangażowała pośrednika, który zajął się sprzedażą chaty nad rzeką. Aaron kupił ją za psie pieniądze i uważał, że zrobił świetny interes. Chata była wprawdzie walącą się rudera, za to miejsca nie zamieniłby na żadne inne.

- Ale masz rację - podjęła po chwili. - Głupio zrobiłam, wybierając się w tym stroju nad rzekę.

Strzepnęła kolejną gałązkę, która uczepiła się dołu sukienki, po czym zbliżyła szklanekę do ust.

Miała piękne usta, równie piękne jak oczy. Może jej mąż umarł młodo, ale przynajmniej kilka lat całował ją namiętnie, i tego mu Aaron zazdrościł.

- Pewnie ci go brak? To znaczy, męża - dodał, kiedy popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

Uśmiech na jej twarzy zgasł, a on poczuł się jak ostatni drań. Dlaczego nie trzymał języka za zębami? Po co znów wspomniał o mężu? Brnął jednak dalej:

- Powiedziałaś, że na przyjęciu nagle zrobiło ci się smutno. Pewnie wszędzie chodziliście razem i teraz samej jest ci ciężko...

Łzy napłynęły jej do oczu i drżącą ręką odstawiła szklanę na stół. Aaron zaklął siarczyście. Jak mógł być tak nietaktowny, tak niedelikatny? Czy musiał biedaczce wbijać nóż w serce?

Gdy ciszę przerwał bolesny szloch, Aaron poderwał się na nogi. Niedawno kupił pudełko chusteczek higienicznych. Chyba postawił je w łazience. Pchnął drzwi, chwycił pudełko i wybiegł z powrotem na dwór. Całe szczęście, że sobie o nich przypomniał, Lily bowiem zanosila się takim płaczem, jakby jej mąż zginął zaledwie wczoraj, a ona nie mogła pogodzić się z jego bezsensowną śmiercią.

- Przepraszam - szepnął speszony. Potrząsnęła głową, po czym wytarła oczy, pociągnęła nosem i znów wytarła oczy.

- Nie, to ja przepraszam.

- Nie powinienem był wspominać...

- Ależ nie, możesz mówić o Tylerze. To mi nie przeszkadza. - Przyłożyła chusteczkę do wilgotnego policzka; z jej gardła dobył się kolejny szloch. - Wcale za nim nie tęsknię - przyznała.

Powiedziała to tak cicho, tak drżącym głosem, że Aaron nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Ale potem popatrzył w jej smutne, lśniące oczy i ujrzał prawdę, która przebijała przez łzy. Lily nie kłamała, mówiąc, że nie tęskni za mężem.

Nie miał pojęcia, jak zareagować. Roześmiać się? Ucieszyć? Zawołać: w takim razie świetnie, że umarł! Uczcijmy to szampanem?!

Jak na jeden wieczór narobił dość kłopotów, więc na wszelki wypadek wolał już nic więcej nie mówić. Usiadł na brzegu hamaka i pochyliwszy się do przodu, oparł łokcie na kolanach. W milczeniu obserwował, jak Lily doprowadza się do porządku. Wyciągnęła z pudełka

czystą chusteczkę, starannie wytarła twarz, wypła łyk wody, po czym postawiła szklankę na stoliku, obok pudełka z chustkami. Zerknęła na Aarona, potem odwróciła wzrok, a po chwili znów na niego popatrzyła.

- Nigdy nikomu tego nie zdradziłam - oznajmiła szeptem.

- W takim razie zatrzymam ten sekret dla siebie. Uśmiechnął się ciepło, mając nadzieję, że to ją trochę odpręży.

- Był alkoholikiem. Powinnam za nim tęsknić, a nie tęsknię.

Wszyscy myślą, że rozpaczam z powodu śmierci wspaniałego męża i końca cudownego małżeństwa, a nasze małżeństwo... - Westchnęła głęboko i aż się wzdrygnęła na myśl o przeszłości.— Boże, gdyby ludzie wiedzieli, jaka to była farsa! Jaka byłam oszustką!

- Oszustką? - Zmarszczył czoło, po czym odgarnął z oczu włosy. - Tylko dlatego, że twoje małżeństwo nie było idealne, nie znaczy, że jesteś oszustką.

- Robiłam dobrą minę do złej gry. Wszyscy myśleli, że jestem szczęśliwą małżonką. Tego po mnie oczekiwali. A ja ich nie wyprowadzałam z błędu. Mam opinię osoby, która zawsze osiąga to, na czym jej zależy. A to nieprawda. Wysłałam za mąż za niewłaściwego człowieka. Cierpiałam.

- Dlaczego nie odeszłaś od męża?

- Bo wtedy wszyscy poznaliby prawdę. - Znów westchnęła. - Jakie to głupie. Ludzie wyrabiają sobie o nas jakąś opinię, stawiają nas na świeczniku, a my staramy się ich nie zawieść.

- Może cię stawiano na świeczniku. Mnie wytykano palcem - oznajmił lekkim tonem.

- Przesadzasz! - oburzyła się.

- Wcale nie. Mnie i moją matkę. Ciągłe o nas szeptano. Patrzcie, to ta puszczańska kelnerka i jej bękart. Oczekiwano po mnie najgorszych rzeczy.

- Przesadzasz - powtórzyła, lecz tym razem z mniejszą pewnością siebie.

- A ja pokazałem ludziom, że się mylą. Że nie przystaję do wizerunku, jaki sobie stworzyli. Ty też możesz...

- Tak, ale jest różnica. Po tobie oczekiwano porażek, a odniosłeś sukces, po mnie odwrotnie, oczekiwano sukcesów, a spadły na mnie same niepowodzenia. Mam zdjąć maskę? Pokazać, jaki ze mnie pechowiec i nieudacznik?

- Żaden nieudacznik. Po prostu człowiek, któremu coś w życiu nie wyszło. Każdemu to się zdarza.

Przypomniał sobie, że był taki sam jak inni: widział w Lily księżniczkę, anioła, osobę czystą, nieskalaną, skazaną na sukces. Nigdy w życiu by nie przypuszczał, że wyjdzie za mąż za alkoholika i będzie bardzo nieszczęśliwa.

- Powiedz, Aaron, dlaczego tak łatwo mi się z tobą rozmawia? - spytała, sięgając ponownie po szklanekę. Przejechała palcem po jej oszronionej powierzchni.

Pytanie było raczej z gatunku retorycznych, ale znał na nie odpowiedź.

- Może dlatego, że nie znaliśmy się wtedy, gdy wszyscy oczekiwali po tobie samych sukcesów.

- A może... - Zmrużyła oczy. - Może dlatego, że oboje wyłamaliśmy się z szablonu. Albo dlatego, że oboje jesteśmy autsajderami.

Parsknął śmiechem.

- Co jak co, ale ty na pewno nie jesteś żadnym autsajderem.
- Ale tak się czuję. Gdyby tylko ludzie znali o mnie prawdę...
- Jaką prawdę? Że miałaś męża pijaka? Wielkie mi rzeczy!

Pokręciła głową.

- Nie jestem już tą miłą, sympatyczną osobą, za jaką mnie wszyscy mają. Zmieniłam się.

Pomyślał sobie, że zbyt surowo siebie dziś ocenia, ale nie chciał się z nią spierać. Uznał, że któregoś dnia, kiedy Lily będzie w lepszym nastroju, wyprowadzi ją z błędu. Bo przecież wciąż była księżniczką, dobrą, piękną, szlachetną. Z drugiej strony podejrzewał, że kiedy Lily będzie w lepszym nastroju, nie przyjdzie do niego z wizytą, a już na pewno nie zacznie mu się zwierzać.

- Przepraszam za to moje niespodziewane najście

- oznajmiła ni stąd, ni zowąd. Odstawiwszy szklanekę na stół, wstała z krzesła. - Nie zdziwię się, jeśli uznasz mnie za niepożądanego gościa...

- Bynajmniej. - Dźwignął się z hamaka, po czym zabił komara, który przysiadł mu na ramieniu. - Jedynymi niepożądanymi gośćmi są te małe, kąśliwe potwory. - Strzepnął owada na ziemię. - Ty natomiast jesteś...

- Dobrodziejką - wtrąciła z lekko ironicznym uśmiechem. -

Ofiarowałam pieniądze na twój program dla dzieci, więc czujesz się w obowiązku być dla mnie miły.

- Mylisz się, Lily. Nigdy nikomu się nie podlizuję i nigdy nie robię tego, na co nie mam ochoty.

Uśmiech na jej twarzy stracił ironiczny odcień.

- Wierzę, Aaron. Sądziysz... sądziysz, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi? - spytała z nadzieją w głosie.

Z trudem przełknął ślinę. Przyjaciółmi? Naprawdę marzył o czymś więcej, ale wiedział, że to marzenie nigdy się nie spełni. Natomiast przyjaźniąc się z Lily, czułby ciągle niedosyt. Nie było jednak wyjścia.

- Jasne - odparł, świadom, że jest jej to winien, zwłaszcza po swoim wcześniejszym nietakcie. - Nic nie sprawiłoby mi większej radości.

- Pójdę już - rzekła. - Przyjaciele nie powinni nadużywać swojej gościny.

- Bez przesady - zaprotestował, chociaż zdawał sobie sprawę, że tak będzie lepiej. Przyjaźń bowiem oznaczała związek emocjonalny, a biorąc pod uwagę osobę Lily, bał się tego jak ognia. Na szczęście zignorowała jego słowa.

- Jest późno, a ja padam ze zmęczenia.

- Jak się tu dostałaś? - spytał. - Doszłaś pieszo?

Gdyby przyjechała samochodem, usłyszałby warkot silnika. W lasku nad rzeką Aaron żył w otoczeniu przyrody, w świecie pełnym naturalnych dźwięków: cykania świerszczy, szumu cicho płynącej wody, trzasku suchej gałązki nadepniętej przez wiewiórkę, szelestu krzaków, pod którymi przemyka szop. Odgłos silnika wyraźnie by odstawał.

- Zostawiłam samochód kawałek stąd. Przy szosie - wyjaśniła, po czym, jakby czytając w jego myślach, dodała szybko: - Nie musisz mnie odprowadzać. Nic mi nie będzie...

- Jest ciemno. Podwiozę cię.

Nie dając jej szansy na sprzeciw, wbiegł do domu, chwycił leżący na kuchence mikrofalowej portfel i klucze, po czym wybiegł z powrotem na taras.

Skinęła z uśmiechem głową. Ujmując Lily za łokieć, poprowadził ją na dół po schodkach, a potem ścieżką wokół domu do szopy, którą zbudował własnoręcznie i w której trzymał samochód, a latem drewno na opał. Otworzył drzwiczki, żeby Lily mogła zająć miejsce. Nie czuł się od niej gorszy tylko dlatego, że jeździł dziesięcioletnim pontiakiem, a ona najnowszym modelem bmw. Zauważył jej lśniące auto w zeszłym tygodniu, kiedy zaparkowała przed otwartymi drzwiami sali gimnastycznej. Cóż, była bogata, więc jeździła droгим wozem. Jemu ledwo starczało do pierwszego, więc jeździł starym gratem.

Wycofał się, po czym ruszył wyboistą drogą w stronę szosy. Kiedy dojechał do asfaltowej nawierzchni, Lily wskazała w prawo.

Księżyc świecił na niebie, zalewając świat srebrzystym blaskiem. Wcześniejszy upał zelżał, było niemal chłodno. Siedząc za kierownicą, Aaron zastanawiał się, czy przyjaciele Lily rozeszli się już do swoich domów, czy nadal jedzą, piją, śmieją się, rozmawiają o niej. Ciekaw był, o ile wzrósłby ich niepokój, gdyby wiedzieli, w czym przebywa towarzystwie - Aarona Mazerika, dawnego hultaja i nicponia, po którym zawsze spodziewano się najgorszego.

Spostrzegł jej auto na poboczu drogi; wypolerowana karoseria dosłownie lśniła w blasku księżyca.

- Dziękuję.

- Nie ma za co - odparł.

- Nie dziękowałam za podwiezienie - oznajmiła, a potem, nim się zorientował i mógł temu zapobiec, pochyliła się i pocałowała go w usta.

Pocałunek trwał tyle co mrugnięcie powieką. Po chwili drzwi się otworzyły i Lily znikła. Ale smak jej ust pozostał; palił jego wargi, wnikał w jego duszę.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Leżała, rozmyślając o przyjaciółach, którym nie potrafiła się zwierzyć. O Aaronie, któremu zdradziła swoją tajemnicę, o małżeństwie z Tylerem. „Dlaczego od niego nie odeszłaś?” - zdziwił się Aaron, kiedy powiedziała mu, jaka była nieszczęśliwa. Istotnie, pomysł rozwodu ani razu nie zaświtał jej w głowie. Poślubiając Tylera, obiecała być z nim w zdrowiu i chorobie. Wierzyła, że jego nadmierna skłonność do alkoholu to choroba. Odchodząc od męża, złamałaby przysięgę. Więc została. Została i z czasem go znienawidziła.

Metoda Aarona byłaby znacznie lepsza, ale wymagałaby odwagi, na którą chyba nie byłoby ją stać. Jako kilkuletnia dziewczynka nie bała się skakać z gałęzi do rzeki. Jako kobieta dorosła bała się wspiąć na gałąź.

Leżąc w łóżku, zastanawiała się, czy fakt złożenia niespodziewanej wizyty Aaronowi oznacza, że powoli odzyskuje odwagę, którą miała w dzieciństwie. Myślała o tym, jak swobodnie czuła się w jego towarzystwie, jak łatwo i bez skrępowania mogła z nim rozmawiać. Myślała też o jego owłosionej klatce piersiowej.

Nawet jeśli skromność czy dobre wychowanie tego nie nakazywały, powinien był zapiąć guziki. Nie zapiął - może dlatego, że nie potrafił czytać w jej myślach. No cóż... Dawniej grał w drużynie koszykówki, dziś trenował koszykarzy. Nic dziwnego, że był umięśniony. Nogi, ramiona, brzuch, klatka piersiowa. Miał ciało sportowca, szczupłe, twarde, ale nie przesadnie muskularne. Pozbawione grama zbędnego tłuszczu.

Chciała go dotknąć, przycisnąć usta do gładkiej, ciepłej skóry. Dawno nie czuła takiej potrzeby. Dawno żaden mężczyzna nie rozpałił w niej tak silnej żądzy. W dodatku ten wcale się nie starał zawładnąć jej zmysłami. Po prostu siedział na tarasie w rozpiętej koszuli, sącząc leniwie piwo.

Nie powinna była całować go na pożegnanie. Zrobiła to impulsywnie, jako wyraz wdzięczności, jako podziękowanie za to, że nie obraził się z powodu niespodziewanej wizyty, jaką mu złożyła, że był miły, że poczęstował wodą, że nie roześmiał się, kiedy spytała, czy mogliby zostać przyjaciółmi. Jednakże gdzieś w głębi duszy, niczym wulkan, który czeka na właściwy moment, aby wybuchnąć, drzemała w niej mroczna żądza.

Na swój sposób już jako nastolatka - nie bardzo zdając sobie sprawę z dziwnego uczucia, które nią miota - pożądała Aarona. W małej sennej miejscinie, jaką było Riverbend, Aaron Mazerik przypominał dziką, egzotyczną bestię - groźne, ranne zwierzę, które szuka pociechy i ukojenia, a zarazem szczyrzy zęby, gotowe chapnąć każdego, kto wyciągnie do niego pomocną dłoń.

Ciekawa była, jak by zareagował wtedy, przed laty, gdyby spróbowała go pogłaskać. Czy merdając potulnie ogonem, polizalby ją po rękę, szczęśliwy, że ktoś się nad nim ulitował? Czy wręcz przeciwnie, pogryzłby ją do krwi?

Jako młoda dziewczyna nie miała odwagi się o tym przekonać. Dzisiejszego wieczoru to ona potrzebowała pociechy i ukojenia. To jej potrzebna była pomocna dłoń. I Aaron ją podał. W jego zachowaniu, w spojrzeniu, było coś, z czym nie stykała się na co dzień, coś, co ją

intrygowało, co stanowiło wyzwanie i co sprawiło, że powoli zaczęła nabierać nowej ochoty do życia.

Niczym człowiek opętany, po raz trzeci wyszorował zęby. Potem porządnie wyplukał usta i przyjrzał się sobie w lustrze zawieszonym nad umywalką. I znów zaklął cicho pod nosem. Niski, pełen bóleści jęk raz po raz rozbrzmiewał, w jego sercu i duszy.

Dlaczego go pocałowała? Jak mogła?

Mogła, bo najwyraźniej nie знаła prawdy. Gdyby ją znała, cmoknęłaby go w policzek. Albo postąpiłaby jeszcze rozsądniej i po prostu wyciągnęła na pożegnanie dłoń. A najrozsądniej postąpiłaby, gdyby w ogóle nie przyszła do niego z wizytą.

Zrezygnował z mycia zębów, bo to nic nie dawało. Wciąż czuł na ustach smak pocałunku. Cisnąwszy w stronę lustra ostatnie przekleństwo, zgasił w łazience światło, po czym udał się do sypialni i położył na wąskim łóżku. W pokoju było gorąco. Włączył zamontowany w oknie wiatrak. Szum, zawsze stonowany i łagodny, tym razem przypominał wycie piły elektrycznej, on zaś potrzebował ciszy. Nie chciał niczego słyszeć, niczego widzieć, niczego czuć.

Wiedział jednak, że to niemożliwe. Zwłaszcza teraz, po tym, jak go Lily pocałowała. Wszystko mu przeszkadzało, wszystko go drażniło. Każda najmniejsza fałda na prześcieradle, duszne stojące powietrze, zroszone potem czoło, wilgotne włosy. Nawet zapach sosen wpadający przez otwarte okno.

Boże. Lily. Jej usta...

Jak strasznie jej pragnął!

A ona... była jego siostrą.

Przymknął powieki i znów zaczął odtwarzać w myślach sceny z przeszłości: comiesięczne wizyty ojca Lily; sposób, w jaki doktor Bennett z nim rozmawiał; to, jak mu się przyglądał, niemal jakby chciał zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu i zachowania; biała koperta z pieniędzmi, którą przed wyjściem wręczał matce Aarona - to musiały być alimenty.

Aaron lata temu przestał pytać matkę o ojca. Za bardzo go te rozmowy bolały. Matka broniła się, mówiąc, że dała słowo honoru, że nigdy nikomu nie zdradzi tożsamości ojca swojego dziecka, zaś łamanie przyrzeczenia to grzech. Któregoś razu, kiedy Aaron miał około czternastu lat, odparł, że większym grzechem jest ukrywanie prawdy przed własnym synem.

- Obiecałam twojemu ojcu, że będę milczeć - rzekła Evie Mazerik. - Przysięgam, że nikt nigdy się nie dowie. Gdyby ktokolwiek poznał jego tożsamość, to by go zniszczyło.

- A to, że on zniszczył twoje życie? To się nie liczy? - argumentował chłopiec. - Zaszłaś w ciążę. Urodziłaś mu syna...

- Owszem. - Evie westchnęła głośno i zapaliła papierosa. - Syna, który ciągle wpada w jakieś tarapaty. Skaranie boskie z takim dzieckiem. To nie twój ojciec zrujnował mi życie. To ty mi je rujnujesz!

Z wściekłości Aaron po raz pierwszy w życiu miał ochotę podnieść rękę na matkę. Zamiast tego wyszedł z mieszkania, zbiegł na dół i udał się na długi spacer. Jego własna matka wini go za swoje zrujnowane życie. Nie drania, który ją zapłodnił i porzucił, lecz dziecko, które narodziło się z tego związku.

Przeszkadzała mu farsa, którą z matką uprawiali -ona odmawiając zdradzenia mu tajemnicy, on udając, że nie zna tożsamości ojca. To było takie smutne, a zarazem takie żałosne. Doktor Bennett nie przychodziłby przecież do nędznego mieszkańka na pierwszym piętrze, nie zostawiałby Evie koperty z pieniędzmi i nie lustrowałby wzrokiem mieszkającego tam chłopca, gdyby nie był jego ojcem. Że niby chciał oszczędzić Evie czasu i pieniędzy, bo dzięki temu nie musiała przyprawdzać syna na badania? Bzdura! Jakie dziecko bada się co miesiąc? Zresztą gdyby Evie nie miała grosza przy duszy, a jej syn potrzebowałby opieki medycznej, istniały dwa wyjścia: doktor Bennett mógłby go przyjąć za darmo albo Evie mogłaby wystąpić o zapomogę. Istniało też trzecie wyjście: Evie mogłaby przez kilka dni odkładać napiwki i oszczędzić dość pieniędzy, aby zapłacić za poradę lekarską.

Aaron więc już dawno temu wszystko sobie wydedukował i wiedział, dlaczego doktor Bennett regularnie raz w miesiącu składa im wizytę, dlaczego wypytuje go o samopoczucie i stopnie w szkole, a potem daje Evie kopertę. Robił to, ponieważ chciał widzieć swojego syna.

- Przyznaj się, mammo! - zezłościł się tamtego wieczoru. - To doktor Bennett, prawda? Wyduś to wreszcie z siebie!

- Szkoda twojej fatygi, Aaron. Niczego się ode mnie nie dowiesz.

- Cholera jasna! Jestem twoim synem! Chyba mam prawo wiedzieć, kto jest moim ojcem?

- Mylisz się. Nie masz. Twojemu ojcu dałam słowo i zamierzam go dotrzymać. Kochałam tego człowieka i nie zdradzę go.

Kochała tego człowieka. Kochała bardziej od swojego syna. Aaron musiał zaakceptować tę okrutną prawdę. Trzasnąwszy drzwiami, wybiegł

z domu, żeby nie uderzyć matki. Tej nocy długo włóczył się po miasteczku, paląc papierosy, które zwędził matce z torebki. Doszedłszy do szosy ciągnącej się nad rzeką, skręcił nad wodę. Tam usiadł na głazie i rozpląkał się jak dziecko. A był już prawie mężczyzną; wzrostem przewyższał matkę, głos miał niski, ochrypły, górną wargę okrywał wąsik. Mimo to płakał - płakał, ponieważ matka odmówiła mu czegoś, co mu się należało: prawa do informacji o sobie.

Słowo honoru, psia krew! Dała słowo honoru i zamierzała go dotrzymać. Dobra matka powinna stawiać sobie za punkt honoru troskę o swe potomstwo. Miłość do dziecka powinna być na pierwszym miejscu, ważniejsza od obietnicy danej jakiemuś draniowi, który zrzekł się odpowiedzialności za syna.

Podczas tej długiej chłodnej nocy, gdy siedział nad rzeką, nie miało dla niego znaczenia, że od dawna wie, kto jest jego ojcem. Liczyło się tylko to, że matka go odtrąciła. Drżąc z zimna, potarł rękami ramiona, po czym wyjął z paczki ostatniego papierosa. Gdy wypalił go do końca, wrzucił niedopałek do wody. Przez moment patrzył, jak ognik najpierw wznosi się łukiem w powietrze, potem opada, wreszcie z cichym sykiem wpada do rzeki i znika.

Poczuł obezwładniającą pustkę. Chciał być komuś na coś potrzebny, a także wiedzieć, że ktoś o nim myśli, o niego dba. Matka wylała mu na głowę kubel zimnej wody, skutecznie gasząc jego marzenia, nadzieje, pragnienia.

Ale to było dawno temu. Pogodził się z rzeczywistością, z tym, czego nie mógł zmienić, na wiele spraw wręcz zobojętniał. I wszystko byłoby dobrze, gdyby Lily go nie pocałowała.

Jedno lekkie muśnięcie, jeden krótki dotyk jej warg - i nagle coś w nim pękło.

Pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Pragnął jej dobroci, słodyczy, lojalności. Chciał, aby jej niebieskie oczy spoglądały na niego z miłością, aby usta rozciągały się w uśmiechu, aby ciało tuliło się do jego ciała. Pragnął jej tak, jak tylko mężczyzna może pragnąć kobiety.

Wszystkimi zmysłami.

A ona była jego siostrą.

Znów zaklął i dźwignął się z łóżka. Jesteś chory, zganił się w duchu; chory i zboczony. Żaden człowiek w pełni rozumu nie pożąda swoich bliskich, ludzi, z którymi jest spokrewniony!

Będzie musiał unikać Lily. Nie może pozwolić, aby taka sytuacja jak ta w samochodzie kiedykolwiek się jeszcze powtórzyła. Jeżeli zajdzie potrzeba, odda pieniądze, które Lily przekazała na fundusz sportowy. Odda, mimo że umieścił już dwa ogłoszenia, jedno w Internecie, drugie w lokalnej gazecie, że poszukuje instruktora pływania. Zadzwoił też do jednego z chłopaków ze szkolnej drużyny i próbował go namówić, by rzucił pracę pakowacza w sklepie, którą załatwił sobie na lato, i pomógł mu trenować dzieciaki.

- Nie mogę płacić ci tyle, ile zarabiasz w sklepie - powiedział - ale będziesz miał szansę poćwiczyć rzuty do kosza i, kto wie, może wyszkolić następców. Połączenie miłego z pożytecznym. Zastanów się.

Psiakrew, właściwie już zaplanował, na co wyda pieniądze ofiarowane przez Lily. Nie miał najmniejszej ochoty ich zwracać.

Z drugiej strony to, że podarowała mu pieniądze, nie dawało jej prawa, aby się nad nim znęcać, doprowadzać go do szaleństwa.

Wrócił do łazienki, opłukał twarz zimną wodą i ponownie wbił wzrok w lustro nad umywalką. Z lustra spoglądała na niego twarz szaleńca. Nie było co do tego dwóch zdań. Oczy płonęły dzikim blaskiem, wargi wykrzywiały ni to uśmiech, ni to grymas. Płytki, urywany oddech powodował, że klatka piersiowa gwałtownie wznosiła się i opadała.

Nie potrafił nad sobą zapanować. Myślał tylko o jednym: że pożąda Lily, swojej siostry przyrodniej. Ta myśl napawała go przerażeniem. Ale to niczego nie zmieniało.

Nadal jej pragnął.

- Cześć, mamó. Zastałam tatę?

Eleanor Bennett roześmiała się do słuchawki.

- Kochanie, jest sobota. Od kiedy to sobotnie przedpołudnia twój ojciec spędza w domu?

Lily podniosła do ust kubek z kawą.

- Gra w golfa, tak?

- Niewiele się u nas zmieniło, kochanie - odparła z rozbawieniem starsza pani. - Oczywiście, że gra w golfa. A o co chodzi? Może ja mogłabym ci pomóc?

- Nie, raczej z tatą muszę porozmawiać. Chcę się poradzić w sprawie pewnej inwestycji, którą zamierzam poczynić.

Nienawidziła okłamywania matki. Wiedziała jednak, że inwestycje to jedna z tych rzeczy, na których matka się nie zna i którymi nie przejawia najmniejszego zainteresowania. Tę sferę życia, jak również sprawy związane z kredytami, hipoteką, medycyną, ubezpieczeniem oraz polityką, zostawiła na głowie męża.

Lily oczywiście nie miała zamiaru szukać żadnych porad finansowych u ojca. Jediną nową inwestycją, jaką poczyniła w ostatnim czasie, było przekazanie dziesięciu tysięcy na program letnich wakacji dla dzieci z Riverbend, ale była to inwestycja już dokonana i nie widziała potrzeby konsultowania jej z kimkolwiek z rodziny.

Z ojcem chciała zaś przedyskutować kwestię sześćdziesiątych urodzin matki. Dzień urodzin wypadał dopiero za pół roku, więc nie było żadnego pośpiechu, ale sześćdziesiątka to taki przełomowy wiek w życiu kobiety. Kosztowne kremy odmładzające najlepiej świadczą o tym, że Eleanor boi się upływu lat. Urodziny powinny zatem być celebracją życia - należało z tej okazji wymyślić coś wyjątkowego: zorganizować wielkie przyjęcie, podarować jubilatce pierścionek z brylantem, może zaplanować rejs. Tak czy inaczej warto się nad tym zastanowić.

Zamieniła z matką parę słów - chociaż nie, więcej niż parę, bo zdążyła w tym czasie opróżnić spory kubek kawy - po czym rozłączyła się i wyjrzała przez okno. Poranne promienie słońca zalewały ogród, budząc do życia róże, które rosły wzdłuż ściany garażu. Pomimo ciepłej czerwcowej pogody, na trawie wciąż lśniły kropelki rosy.

Dom był stanowczo zbyt duży dla jednej osoby, ale to jej w niczym nie przeszkadzało. Nie wyobrażała sobie, aby mogła mieszkać w starej odremontowanej chacie, jak Aaron... tyle że akurat jego chata stała nad brzegiem rzeki, a to zmieniało postać rzeczy. Bo zdecydowanie bardziej wolałaby patrzeć na rzekę przepływającą za domem, niż mieć piękną wygodną werandę z widokiem na starannie utrzymany ogród.

Z drugiej strony, nie wyobrażała sobie, aby Aaron dobrze się czuł, mieszkając w takim domu jak ten, który ona zajmowała. W eleganckim,

piętrowym domu o solidnej konstrukcji, znajdującym się w ładnej, willowej części miasteczka.

Ojciec... Z dwóch powodów chciała z nim porozmawiać o urodzinach matki. Po pierwsze dlatego, że kochała matkę i pragnęła, aby Eleanor zapamiętała swoje sześćdziesiąte urodziny jako cudowne, radosne wydarzenie. Po drugie dlatego, że bez przerwy myślała o Aaronie i postanowiła zająć umysł czymś innym.

Oplukawszy kubek po kawie, postawiła go na suszarce, aby obciekł, i chwyciła z szafki kluczyki samochodowe. Najpierw omówi z ojcem, jaką niespodziankę można by przygotować na urodziny matki, a potem spyta go o radę w kwestii swojego bmw. Podczas gry w golfa ojciec uwielbiał prowadzić rozmowy. Kiedy była młodsza, często mu towarzyszyła - nie dlatego, że lubiła ten sport, ale dlatego, że chodząc od dołka do dołka, mogła toczyć z ojcem pasjonujące dyskusje na różne tematy, zarówno o ostatnich decyzjach prezydenta dotyczących polityki międzynarodowej, jak i o nauczycielu matematyki, panu O'Toole, który nie potrafił jasno wytłumaczyć zasad rządzących trygonometrią. Uderzenie małej białej piłeczki było sprawą drugorzędną, stanowiło jakby pretekst do wymiany myśli i poglądów.

W każdym razie dzisiejsze wyjście z domu było dla Lily mniejszym stresem i wyzwaniem niż to pierwsze przed tygodniem. Wciąż dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu nieudanego małżeństwa i wypadku Tylera, ale miała już dość siedzenia w domu i ponurych rozważań o przeszłości. Wiedziała, że wyrzuty sumienia będą ją gnębić bez względu na to, czy zamknie się w czterech ścianach, czy wyjdzie między ludzi, a za pół roku

nadejść urodziny matki, bo czasu nie sposób zatrzymać. Po prostu życie toczy się dalej i trzeba się z tym pogodzić.

Przeszła do garażu stojącego na końcu podjazdu, wsiadła do samochodu i wyjechała na dwór. Czując we włosach lekki powiew wiatru, przypomniała sobie, że Tyler nie cierpiał kabrioletów. Zamiast oddychać świeżym powietrzem, wolał mieć zamknięte okna i włączoną klimatyzację. Lily natomiast uwielbiała widzieć nad głową niebo; przed słońcem i upałem chronił ją cień drzew i pęd powietrza.

Pole golfowe znajdowało się na krańcu Riverbend, otoczone polami kukurydzy, soi oraz niedużymi sosnowymi zagajnikami. Dawniej do klubu należeli wyłącznie ojcowie miasta; Abraham Steele oraz inni członkowie miejscowej elity towarzyskiej przemierzali kilkukilometrową trasę, uderzając kijem piłeczkę, podczas gdy ich żony siedziały na tarasie, planując uroczyste przyjęcia i tańce. Potem nastąpiła demokracja i do klubu zaczęli zapisywać się przedstawiciele różnych zawodów i warstw społecznych. W niczym to jednak nie zmniejszyło przyjemności, jaką doktor Bennett czerpał z golfa.

Zanim ruszyła na poszukiwanie ojca, Lily najpierw objechała parking; duży czarny mercury z nalepką „Lekarz” na szybie powinien gdzieś tu stać. Objechała parking po raz drugi, żeby się upewnić, czy go przypadkiem nie przeoczyła. Następnie zaparkowała przed budynkiem klubu i weszła do środka. Może ojciec umówił się na partię golfa z jakimś przyjacielem, który wpadł po niego swoim samochodem? Z drugiej strony, jako lekarz zwykle wolał mieć przy sobie własny środek transportu, żeby w razie nagłego wezwania móc natychmiast jechać do pacjenta.

- Nie, nie widziałem doktora Bennetta - powiedział młody człowiek, który prowadził rejestr. - Wiedziałbym, gdyby dziś grał. Na pewno go tu nie ma.

- Dzięki.

Lily wyszła z klubu i wsiadła z powrotem do samochodu, ale nie odjechała. Zastanawiała się, dokąd ojciec mógł się udać. Zawsze w sobotnie przedpołudnia grywał w golfa, a było sobotnie przedpołudnie, więc gdzie się podziewał? Może już skończył grę? Ale musiałby się poruszać z szybkością światła, bo było dopiero wpół do jedenastej. Poza tym pracownik, z którym rozmawiała, coś by na ten temat powiedział.

Nie, przypuszczalnie wstąpił gdzieś po drodze. Może przypomniał sobie, że musi coś kupić. A może został wezwany do nagłego wypadku. Jedną z rzeczy, które w ojcu podziwiała, było to, że wykonywał swój zawód według starych, ustalonych przed laty reguł: jeżeli trzeba było, przyjmował pacjentów w niedzielę, jeżeli ktoś nie mógł wyjść z domu, jechał do niego z wizytą, a gdy ktoś nie miał pieniędzy, przyjmował wynagrodzenie w kolbach kukurydzy. Postęp, komputery, system ubezpieczeń - to wszystko wpłynęło na sposób, w jaki prowadził interesy, ale nie wpłynęło na jego podejście do chorych.

Lily uznała, że wpadnie do przychodni. Może tam zastanie ojca? A może ktoś z personelu będzie coś wiedział?

Z odkrytym dachem i w okularach przeciwsłonecznych na nosie ruszyła z powrotem do centrum miasteczka. Wolno jadąc ulicą North, a potem skręcając w Elm, czuła na sobie spojrzenia przechodniów, ale udawała, że ich nie widzi. Zależało jej wyłącznie na odszukaniu ojca.

Przychodnia mieszcząca się w odnowionym budynku dwie przecznice od Courthouse Square sprawiała wrażenie pustej. W oknach nie paliło się światło, nigdzie też nie było widać czarnego samochodu ojca. Lily westchnęła. Gdzież on się podziewa? Dlaczego dał żonie do zrozumienia, że jedzie na golfa, jeżeli nie miał takiego zamiaru? Co przed nią ukrywał?

A może wpadł na ten sam pomysł co ona, Lily? Może planował dla żony jakąś niespodziankę z okazji jej urodzin? Może powiedział Eleanor, że wybiera się na golfa, a za jej plecami robił rezerwację w restauracji na wielkie urodzinowe przyjęcie albo zamawiał u jubilera złotą bransoletę wysadzaną brylancikami.

Albo... robił coś, co wolał trzymać przed wszystkimi w tajemnicy. Lily nie miała żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o niewiernych mężów - była pewna, że Tyler nigdy jej nie zdradził - ale widziała sporo filmów i czytała sporo książek, w których zdrada często się zdarzała. Niektórzy mężczyźni byli nią wręcz skażeni, tłumaczyli żonom, że idą grać w golfa z przyjacielem, a w rzeczywistości oddawali się innym rozrywkom, nie z przyjacielem, lecz z przyjaciółką.

Lily jednak wierzyła, że jej ojciec jest dobrym, kochającym mężem. Jeżeli wychodząc dziś rano z domu, okłamał żonę, musiał mieć ku temu ważny powód.

Dojechała do Hickory i nieco zwolniła; sunęła leniwie za innymi autami, rozglądając się po wozach zaparkowanych po obu stronach ulicy. Zauważywszy samochód ojca na placyku przed Sunnyside Cafe, odetchnęła z ulgą - wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje powietrze - i uśmiechnęła się do siebie.

Najwyraźniej ojciec umówił się z kimś na drugie śniadanie, z jakimś znajomym albo z kumplem od golfa. Może krążyli po polu golfowym tak wcześnie rano, że pracownik klubu nie zorientował się, że ktoś już gra, a potem wstąpili- do lokalu, żeby coś przekąsić. Oczywiście, Eleanor chętnie by przygotowała w domu jakiś poczęstunek dla męża i jego gościa, ale mężczyźni - podobnie jak kobiety - czasem wolą pobyć w swoim gronie. Jeżeli ojciec chciał się spotkać z przyjacielem w Sunnyside, miał ku temu pełne prawo.

Lily wysiadła z samochodu. Poczowała na nogach i rękach orzeźwiający powiew wiatru; upał jeszcze zbytnio nie dokuczał. Tyler nie cierpiał, kiedy wkładała szorty. Uważał, że to kobiecie z pewnych sfer nie przystoi. Co innego w domu lub na korcie tenisowym, wtedy proszę bardzo, ale na ulicy? Lily nie przejmowała się jednak jego słowami i nosiła szorty, kiedy chciała. Tylko z powodu tragicznej śmierci Tylera nie cieszyła się, że wreszcie jest wolna, że nie ma już męża, który stale krytykuje ją za sposób ubierania się i obwinia za własne niedoskonałości. Tyler nie żyje - musi pogodzić się z tym faktem, zaakceptować swoją rolę w tej tragedii i przestać się zadreczać.

Zbliżając się do Sunnyside Cafe, przez szklane drzwi zobaczyła w środku ojca. Stał przy ladzie, rozmawiając z matką Aarona. W półmroku panującym wewnątrz lokalu włosy Evie Mazerik miały prawie normalny kolor, w każdym razie nie tak krzykliwe, jak Lily pamiętała. Oczy kobiety, choć nie tak ładne jak oczy jej syna, lśniły wesoło. W młodości Evie musiała być całkiem atrakcyjną dziewczyną, potem jednak samotne macierzyństwo, ciężka praca oraz kłopoty ze zdrowiem zrobiły swoje.

Julian Bennett, z łokciami wspartymi o ladę, pochylił się w stronę swojej rozmówczynie. Spojrzenie miał łagodne, uśmiech ciepły, przyjazny. Mówiła Evie, ojciec słuchał. Potem skinął głową, powiedział parę słów, uśmiechnął się i uściskał Evie za rękę. Następnie skierował się do wyjścia.

Lily cofnęła się pośpiesznie. Nie chciała, by ojciec pomyślał, że go szpieguje. Ten uścisk dłoni nic przecież nie znaczył. Ojciec w stosunku do wszystkich, zarówno sąsiadów, jak i pacjentów, zawsze był troskliwy, wylewny, współczujący, peszył się jednak, kiedy inni to komentowali.

Po chwili wyszedł z półmroku na ulicę, gdzie słońce świeciło jaskrawo, i zamrugał oczami. Wciąż stał, usiłując przystosować wzrok do jasności na zewnątrz, kiedy Lily do niego podeszła.

- Cześć, tato.

Odwrócił się i twarz mu się rozpromieniła.

- Lily! Co za miła niespodzianka!

Rozwarł szeroko ramiona. Piętnaście lat temu prędzej by skoczyła na głowę do grząskiego bajora, niż na oczach ludzi rzuciła się ojcu w ramiona. Jednym z niezaprzeczalnych pożytków dorostania było to, że człowiek nie wstydził się okazywać publicznie rodzicom miłości.

- Jadłeś drugie śniadanie?

- Słucham? - Zerknął za siebie na drzwi Sunnyside Café. - Nie. Załatwiałem interesy. Jak widzisz, ciągle pracuję, nawet w weekendy. Postanowiłem sprawdzić, jak się miewa Evie Mazerik. Chyba jej nie znasz, co?

- Znam - odparła, choć nie była to prawda. Znała syna Evie i pragnęła poznać go jeszcze lepiej, ale z jego matką nigdy nie zamieniła słowa. - Podobno miała niedawno wylew...

Julian Bennett zacisnął mocniej usta.

- Tak. A wciąż pali jak smok. Jak Boga Kocham, niektóre kobiety są potwornie denerwujące. Oczywiście nie wszystkie, nie wszystkie - dodał szybko, patrząc z dumą na swoją jedynaczkę. - Ty, moje złotko, jesteś wspaniała. Chodzący ideał.

Lily poczuła ostre klucie w piersi, spowodowane po części wyrzutami sumienia, po części nienawiścią do samej siebie. Wcale nie była wspaniała. Na jej sercu widniała wielka ciemna plama, której nic nie mogło usunąć. Może kiedyś opowie o niej ojcu. Niech Julian Bennett usłyszy prawdę. Kiedy się dowie, co uczyniła jego ukochana córka, nigdy więcej nie nazwie jej ideałem.

- Mama powiedziała, że pojechałeś do klubu na golfa - rzekła.

Uśmiechnął się.

- Twoja matka czasem zbyt pochopnie wyciąga wnioski. Uważa, że jeśli jest sobota rano, to nie mogę robić nic innego, tylko grać w golfa. Gdyby miała oczy otwarte, zobaczyłaby, że nie zabrałem z sobą kijów.

Jego lekko ironiczny ton trochę speszył Lily, ale postanowiła brnąć dalej.

- Właśnie chciałam z tobą o niej porozmawiać. Masz chwilę?

- Porozmawiać? O matce? - Zaniepokojony, zmarszczył czoło, po czym spojrzał na zegarek. - Czy coś się stało?

- Za kilka miesięcy skończy sześćdziesiąt lat. Na twarzy ojca odmalowała się ulga.

- Uff, ale mnie przestraszyłaś! Jako lekarz zdradzę ci jednak pewną tajemnicę. Na sześćdziesiątkę się nie umiera. To nie jest śmiertelna choroba.

Lily wybuchnęła śmiechem.

- Wiem, ty ją przeszedłeś bezboleśnie. Mama urządziła ci wspaniałe przyjęcie w klubie...

Z tej okazji Lily przyleciała do domu. Z radością zostawiła Tylera w Cohasset, tłumacząc rodzinie, że liczne obowiązki nie pozwoliły mu wziąć kilku dni urlopu. Tak, mamó, Tyler ma mnóstwo pracy. Tak, tato, skomplikowana fuzja. Nawet zbytnio nie skłamała. Tyler faktycznie zajmował się skomplikowaną fuzją. Mimo swych słabości, był wybitnym znawcą prawa gospodarczego, prawnikiem ofiarnym i trzeźwo myślącym, dopóki o zachodzie słońca nie wracał z pracy do domu. Gd dzieciństwa niczego mu nie brakowało, urodził się bowiem w niezwykle bogatej rodzinie, ale ciężką, ogromnie stresującą pracą codziennie powiększał swój majątek.

Praca pracą, jednakże śmiało mógł wyskoczyć z żoną na weekend do Riverbend i uczestniczyć w przyjęciu wydanym z okazji sześćdziesiątych urodzin teścia. To Lily przekonała go, że nie warto, tylko by się nudził. W głębi duszy bała się, że jej nie posłucha, że pojedzie i zacznie się upijać, że cały czas będzie narzekał na podrzędną jakość trunków i patrzył z wyższością na obecnych tam ludzi, że co chwila będzie czynił ironiczne uwagi o prowincjonalnej gąsce, którą pojął za żonę - i że prędzej czy później wszyscy zobaczą, jaką farsą stało się jej małżeństwo.

Starając się uwolnić od przykrych wspomnień, Lily ponownie skoncentrowała się na teraźniejszości. I przyszłości.

- Uważam, tato, że powinniśmy zacząć coś planować - rzekła. - A przynajmniej powinniśmy się zastanowić, jak uczymy urodziny mamy.

Ojciec przestąpił z nogi na nogę. W wieku sześćdziesięciu dwóch lat wciąż był niezwykle przystojny: opalony na brąz, o niebieskich oczach, prostym nosie, równych białych zębach. Nadal miał bujną czuprynę, szpakowatą jedynie na skroniach. Śmiało mógłby uchodzić za gwiazdora filmowego.

Zmarszczył czoło, dumając nad słowami córki.

- Jak myślisz, co by jej sprawiło największą przyjemność? - spytał po chwili. - Przyjęcie raczej nie...

Na pewno nie, pomyślała Lily, W przeciwieństwie do swojego męża, Eleanor Bennett nie była osobą przesadnie towarzyską.

- Coś z biżuterii? - rozmyślał na głos.

- Albo podróż - podsunęła Lily. - Rejs.

- A może tygodniowy pobyt w ośrodku golfowym?

- Tato! - Lily ponownie wybuchnęła śmiechem. Ojciec jej zawtórował. - To urodziny mamy, nie twoje!

Odczuwała jednak irytację, że ojciec się waha, że nie wie, co by najbardziej ucieszyło jego żonę. Rany boskie, są przecież małżeństwem od trzydziestu siedmiu lat. Powinien chyba się orientować, czy Eleanor spodobałoby się coś z biżuterii czy nie.

- Może miałyby ochotę spędzić kilka dni w jakimś pięknie położonym centrum odnowy biologicznej.

- W centrum odnowy biologicznej? - zdziwił się ojciec. - Po co? Co by tam robiła?

Czy naprawdę nie domyśla się, co się dzieje z Eleanor? Czy nie wie, że żona kupuje kremy przeciwzmarszczkowe, że ukrywa pod farbą siwiznę i usiłuje się odmłodzić dzięki nowej fryzurze? Czy nie zdaje sobie sprawy,

że nadchodzące urodziny nie są dla Eleanor powodem do radości? Że czeka na nie z niepokojem?

- Wydaje mi się, że mama boi się zestarzeć. Julian Bennett podrapał się po czole.

- To śmieszne. Chyba lepiej się zestarzeć, niż nie dożyć starości.

Zdumiała ją gruboskórność ojca. W stosunku do pacjentów potrafił być taki delikatny i wrażliwy, dlaczego więc nie umie wczuć się w położenie żony, którą może niepotrzebnie, ale jednak przeraża myśl o zmarszczkach, mniejszej sprawności fizycznej i innych objawach starości?

- Tato, starzenie się nigdy nie jest miłym ani łatwym procesem dla kobiety. Może się mylę, ale mam wrażenie, że mama z dużym niepokojem oczekuje sześćdziesiątych urodzin.

- Nie zauważyłem...

Słumiła gniew. Powinien był zauważyć. Troskliwy, kochający mąż zwracał uwagę na takie rzeczy. Nie chciała jednak złościć się na ojca - na człowieka, którego uwielbiała całe życie.

- Po prostu pomyślałam sobie, że należałoby w jakiś szczególny sposób uczcić jej święto. Sześćdziesiątka to taka magiczna granica. Pamiętasz to wielkie wspaniałe przyjęcie, jakie mama wydała z okazji twoich sześćdziesiątych urodzin? Ona zasługuje na coś równie wspaniałego.

- Przecież ustaliliśmy, że przyjęcie odpada. Zmieniłaś zdanie?

W rozmowie z mężczyznami Lily czasem miała ochotę wyć z rozpacz. Teraz właśnie był taki moment. Ojciec doskonale zdawał sobie sprawę, że Eleanor nienawidzi być w centrum uwagi; lubiła planować

przyjęcia dla innych, ale nie cierpiała, kiedy wszystko obracało się wokół niej.

- Nie, tato - odparła, przesuając się do cienia, żeby słońce nie raziło jej w oczy. - Nie zmieniłam zdania. Moim zdaniem, przyjęcie odpada. Mama źle by się czuła.

- Naprawdę sądzisz, że pobyt w centrum odnowy przypadłby jej do gustu? - Ściągnąwszy brwi, bacznie wpatrywał się w córkę. - Wiesz, Lily, żyłaś w trochę innym świecie niż ten, do którego my tu jesteśmy przyzwyczajeni. Kobiety z Riverbend nie jeżdżą do żadnych ośrodków piękności.

Lily też nie jeździła. Nawet wówczas, gdy uczęszczała na bale charytatywne i widziała swoje zdjęcia w kronice towarzyskiej „Boston Globe”, źle się czuła w obecności kobiet, które troszczyły się wyłącznie o swą urodę. Nie umiała sobie wyobrazić siebie, jak leży z błotem na twarzy i plasterkami ogórka na powiekach, podczas gdy obcy ludzie masują każdy skrawek jej ciała, a dietetyk pilnuje, by na jej talerzu pojawiały się porcje nie większe niż dla wróbelka. Nie o takim prezencie myślała dla matki. Nie o tygodniowym pobycie na ekskluzywnej farmie piękności, lecz o czymś znacznie skromniejszym. O jedno-lub dwudniowej wizycie w renomowanym salonie kosmetycznym, gdzie oczyszczono by jej cerę, zrobiono maseczkę, wykonano manikiur, pedikiur i - czemu nie? - masaż. Mama czułaby się szczęśliwa i dowartościowana, a prezent zapamiętałaby do końca życia.

- No dobrze, tato, może być rejs. Albo wakacje na Hawajach. We dwoje. Tylko ty i ona. Romantyczne kolacje...

- Lily. - Ojciec westchnął głęboko, po czym chowając ręce do kieszeni spodni, pokręcił z uśmiechem głową. - O kim ty mówisz, dziecko drogie? O mnie i swojej mamie? Już tyle lat jesteśmy po ślubie! Znamy się jak łyse konie. Wyjazd na Hawaje byłby...

- Romantyczny.

- Bezsensowny. Zupełnie nie w naszym stylu.

A w czym, miała ochotę spytać, ale nic nie powiedziała. Pobyt na farmie piękności, urlop na Hawajach... tymi propozycjami stwarzała fałszywy obraz samej siebie. Jeszcze ojciec gotów pomyśleć, że ona tak żyła. Może i żyła, ale przed laty. Teraz wróciła do Riverbend i tu się na nowo osiedliła: kupiła dom, znów jest dawną Lily...

Dawną? Nie bardzo. Owszem, kupiła dom i owszem; osiedliła się tu, ale dawna Lily nie zdradzałaby swych tajemnic Aaronowi. I nie całowałaby go na dobranoc. To do niej absolutnie by nie pasowało.

Cóż, ludzie jednak się zmieniają. Ojciec powinien przyjrzeć się uważnie swojej żonie. Może ona, Lily, nie miała racji, ale wydawało jej się, że życie na każdym odcisku jakieś piętno. Może innym też znudziły się mdłe akwarele? Może, tak jak ona, gotowi są sięgnąć po żywe, jaskrawe barwy akryli?

Może Eleanor Bennett, podobnie jak jej córka, potrzebuje tylko drobnego bodźca, by podjąć w życiu nowe wyzwanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W poniedziałek o wpół do czwartej po południu, kiedy Aaron wszedł do Sunnyside Cafe, Wally Drummer już na niego czekał. Były trener szkolnej drużyny koszykarskiej, wysoki i opalony, wyglądał teraz znacznie lepiej niż w czasach, gdy Aaron chodził do szkoły. Oczywiście wtedy, przed laty, Aaron postrzegał go oczami gniewnego, osamotnionego piętnastolatka, który w dodatku miał wobec trenera ogromny dług wdzięczności. Tak, dług. Któregoś ranka ten szorstki w obejściu, krzepki mężczyzna zajrzał na komisariat policji, żeby pogadać ze swoim kumplem, Frankiem Garveyem, i przypadkiem zauważył siedzącego za kratkami Aarona.

- To jeden z moich zawodników - powiedział.

Aaron doskonale pamiętał tę scenę. Pamiętał, jak cały się w środku skurczył, jak próbował wcisnąć się plecami w zimną, kamienną ścianę. Spędził w życiu wiele nieprzyjemnych nocy, ale ta, w pustej, ciasnej celi, należała do najgorszych. Matka nie przyszła, żeby zabrać go z komisariatu. Nikt po niego nie przyszedł. Siedział całą noc, myśląc o tym, że jest sam na świecie, że nikt go nie kocha i nikomu na nim nie zależy. Rano odmówił śniadania; nie odezwał się też, kiedy Frank Garvey zaprowadził go na następną ulicę, do budynku sądu.

- Wyznaczam kaucję w wysokości stu dolarów -oznajmił sędzia. - Proszę zabrać chłopaka z powrotem na komisariat, panie poruczniku, i trzymać do czasu wpłacenia tych pieniędzy.

Zamknięto go ponownie; po raz drugi podziękował za śniadanie, które zaproponował, mu dyżurny policjant. Nie byłby w stanie czegokolwiek przełknąć. Trząsał się z wściekłości, nie z głodu.

Poprzez pręty celi ujrzał swojego nauczyciela, faceta, którego nie znał zbyt dobrze, a to dlatego, że -w przeciwieństwie do innych uczniów - większość czasu spędzał na dworze, paląc papierosy, zamiast w sali gimnastycznej. Jednakże na podstawie tego, co słyszał, Drummer nie bardzo mu się podobał. Gość miał wybuchowy charakter, łatwo wpadał w złość, ciągle krzyczał. No i oczywiście uważał Aarona za lenia i nicponia, czym nie różnił się od swych kolegów nauczycieli.

- Co on tu robi? - spytał Franka Garveya.

- Natknąłem się wczoraj na niego. Stał w jakimś ciemnym zaułku i pił piwo.

Wally Drummer podszedł do krat i popatrzył na siedzącą za nimi samotną postać.

- Powiadasz, że pił piwo?

- Tak. Zresztą ciągle widuję go, jak się szwenda wieczorami po miasteczku, zamiast siedzieć grzecznie w domu. Na picciu też go już wcześniej przyłapywałem. Tłumaczyłem, że głupio robi, ostrzegałem, że następnym razem go zamknę. Nie pomagało. Wczoraj miał przy sobie sześć puszek. Jedna pusta stała na ziemi, drugą trzymał w dłoni, cztery czekały na swoją kolej. Co miałem zrobić? Pogrozić palcem i puścić do domu?

Nie, lepiej było mnie zapudłować, pomyślał z goryczą Aaron. Czy gliniarze w Riverbend naprawdę nie mają nic lepszego do roboty niż

zamykać człowieka za to, że w jakiejś cichej uliczce opróżnia puszkę piwa?

- On nie może tu zostać - stwierdził Drummer. - To jeden z moich najlepszych zawodników. W jaki sposób mogę go stąd wydostać?

Aaron był pewien, że się przesłyszał. Jeden z najlepszych zawodników? Akurat! W ogóle go sport nie interesował. Gdyby miał cokolwiek trenować, raczej wybrałby lekkoatletykę. Dobry był w sprincie i często ćwiczył biegi, uciekając przed takimi ludźmi jak Frank Garvey. Ale uprawianie sportu wiązało się z koniecznością regularnego chodzenia do szkoły i trenowania po lekcjach. Musiałby się stale stykać z grzeczną, zdolną, dobrze poukładaną młodzieżą z Riverbend, lubiącą zarówno naukę, jak i rywalizację sportową. Z takimi osobami jak Szczury Wodne. Z dziećmi, które wiedziały, kim są ich ojcowie. I które nigdy nie włóczyły się po nocy, popijając piwo.

Zdumienie Aarona było tym większe, że w szkole grał w koszykówkę dosłownie parę razy - na tych kilku lekcjach wychowania fizycznego, z których nie zwagarował. Oczywiście, co innego poza szkołą. Na placu przed domem miał zamocowaną do drzewa starą pordezewiałą obręcz; lubił ćwiczyć do niej rzuty, ale Drummer przecież o tym nie wiedział.

Patrzył z niedowierzaniem, jak trener wypisuje czek. Po chwili policjant otworzył drzwi i Aaron odzyskał wolność. Był zbyt oszołomiony i zmęczony bezsenną nocą za kratkami, aby pytać trenera, dlaczego skłamał i wyłożył własne pieniądze na wykupienie go z aresztu. Bez słowa wyszedł z komisariatu. Na zewnątrz oślepiło go poranne słońce.

- Zjadłbyś coś? - spytał Drummer.

- Ale nie w Sunnyside - odparł szybko Aaron. Evie Mazerik zazwyczaj pracowała tam na dzienną zmianę, od otwarcia lokalu do późnego popołudnia. Aaron nie chciał się z nią widzieć, bo zostawiła go na całą noc w małej ciemnej celi. Prawdę mówiąc, był taki zły na matkę, że najchętniej już nigdy by jej nie oglądał na oczy.

Pojechali do Burger Barn znajdującego się na krańcu miasta. Dla siebie Wally zamówił kawę, dla Aarona jajka sadzone, bułkę i duży kubek mleka. Usiedli przy jednym ze stołów na świeżym powietrzu. Aaron rzucił się na jedzenie. Rzadko jadał coś ciepłego i treściwego na pierwsze śniadanie.

Przez cały czas Drummer nie odzywał się słowem.

Czekał, aż chłopak, którego wykupił z aresztu, skończy jeść.

Aaron patrzył spode łba na siedzącego naprzeciw siebie mężczyznę. Trener miał srogą twarz o nieregularnych rysach, ale bez gwizdka zawieszzonego u szyi nie wyglądał tak groźnie.

- Wiesz, Mazerik, w gruncie rzeczy porządny z ciebie dzieciak - powiedział wreszcie.

- Akurat - burknął Aaron, wychylając duszkiem mleko. Oblizął się ze smakiem. Hm, było znacznie lepsze od taniego piwa.

- Ubzdurałeś sobie, że jesteś twardym gościem, i robisz wszystko, żeby ten wizerunek przystawał do rzeczywistości...

Wspaniale. Wpadł z deszczu pod rynnę. Najpierw cela, a teraz psychoanaliza w wykonaniu Drummera. Cóż za piękne zakończenie więziennej przygody.

- A prawda jest taka - kontynuował trener - że gdybyś chciał, mógłbyś błyszczeć na boisku.

- Pan żartuje.

- Bynajmniej.

Przez moment Aaron milczał; odtwarzał w myślach słowa trenera, usiłując doszukać się w nich jakiegoś ukrytego znaczenia, ironii, kpiny. Niczego takiego nie znalazł.

- Nie chcę grać w pańskiej drużynie.

- Mylisz się, chłopcze. Chcesz.

Aaron napotkał wzrok swego wybawcy. Oczy trenera były stalowoszare, tej samej barwy co jego włosy. I wiało z nich chłodem.

- Nie bawi mnie sport.

- To niech zacznie. Za sto dolców wykupiłem cię z paki. Jesteś moim dłużnikiem i będziesz grał w mojej drużynie.

- Niewolnictwo już dawno zniesiono.

- Czyli jednak uczysz się czegoś na lekcjach historii? Brawo. - Drummer wyprostował nogi, niechcący kopiąc pod stołem Aarona. - Słuchaj, Mazerik. Potrzebny mi taki zawodnik jak ty: wysoki, silny, zwinny i szybki. A tobie potrzebny jest ktoś taki jak ja.

- Nikogo nie potrzebuję.

- Potrzebujesz, chłopcze. Potrzebujesz kogoś, komu by na tobie zależało. Kogoś, kto by nie pozwolił sobie wciskać kitu. Właśnie kogoś takiego jak ja. Lepiej przywyknij do tej myśli. W poniedziałek po lekcjach masz się zjawić na treningu.

Aaron wybałuszył oczy.

- Aha - ciągnął trener. - Koniec z piwem. I koniec z papierosami. W drużynie nie ma palaczy. Moi zawodnicy dbają o zdrowie i kondycję. To pierwsza i podstawowa zasada.

- Mam gdzieś pana zasady - burknął Aaron, wstając. - Przykro mi, że wyrzucił pan forszę w błoto. Dzięki za śniadanie.

- Zamierzasz iść stąd na piechotę? - spytał Wally Drummer.

Chłopak przystanął. Od domu dzieliły go co najmniej cztery kilometry; nie takie odległości pokonywał w życiu. Tego ranka jednak coś go powstrzymywało. Nie był w stanie wykonać kroku i odejść od człowieka, który przytłaczał go swym uporem i siłą woli.

Wszystko, co Drummer powiedział, było prawdą. Tak, potrzebował kogoś, komu by na nim zależało. Kogoś, kto nie dałby sobie wciskać kitu.

Trener bez słowa otworzył drzwi swojego auta i Aaron bez słowa usiadł na miejscu obok kierowcy. Drummer odwiózł chłopca do domu, a w poniedziałek po południu Aaron posłusznie zjawił się na treningu.

Odzwyczajenie się od palenia papierosów zajęło mu dwa miesiące. Przekonanie do siebie kolegów z drużyny trwało znacznie dłużej. Pewnie nigdy by go nie zaakceptowali, gdyby nie wstawił się za nim Jacob Steele, kapitan drużyny, chłopak o niezwykle silnej osobowości, którego wszyscy słuchali.

Co mieli przeciwko Aaronowi? To, że chodził dopiero do drugiej klasy, a więc należał do najmłodszych graczy? To, że miewał zatargi z prawem, że trzymał się na uboczu i z nikim nie przyjaźnił? To, że trenował nie dlatego, że lubił koszykówkę albo że chciał reprezentować szkołę na zawodach, ale dlatego, że był wściekły na Drummera? Złościło go, że trener, wpłaciwszy za niego kaucję, potraktował go jak niewolnika. Obiecał sobie, że pokaże temu facetowi, co potrafi. Będzie tak pilnie trenował, aż zostanie najlepszym zawodnikiem.

Czy naprawdę aż tak bardzo nienawidził Drummera? Czy naprawdę kulił się, ilekroć słyszał jego głos albo widział zimny, metaliczny błysk w jego oczach? Mimo że minęło piętnaście lat, odkąd Aaron opuścił mury szkoły średniej, mimo że Drummer przeszedł już na emeryturę, i to właśnie on, Aaron, zajął jego miejsce, Wally Drummer wciąż pozostawał dla niego trenerem. Inaczej nie potrafił o nim myśleć.

- Wyglądasz, jakbyś był skonany - powiedział Drummer, kiedy Aaron usiadł naprzeciwko niego. - Dzieciaki dają ci w kość?

- A tobie nie dawały? - spytał z uśmiechem Aaron, odgarniając włosy z czoła.

Kolejna grupa dzieci biorących udział w letnim programie sportowym miała tyle samo zapału i energii co poprzednia, tyle że w tym tygodniu w zajęciach uczestniczył także syn Mitcha Sterlinga, Sam. Porozumiewanie się z chłopcem wymagało dodatkowego wysiłku.

- Mam gracza, który nie słyszy...

- Serio? No i jak sobie radzisz?

Zanim Aaron zdążył odpowiedzieć, do stolika podeszła Lucy Garvey, by przyjąć od nich zamówienia. Drummer spytał ją o samopoczucie, potem rzucił coś na temat Franka Garveya, wuja jej zmarłego przed paroma laty męża. Potem zamówili mrożoną herbatę. Dopiero kiedy Lucy odeszła, Aaron wrócił do pytania, które Drummer mu zadał.

- Cały czas muszę mieć Sama na oku. Kiedy chcę coś powiedzieć, muszę do niego podbiec i położyć mu rękę na ramieniu. Wtedy on podnosi głowę i próbuje odczytać słowa z moich warg. Mówię wolno, wyraźnie,

pomagam sobie rękami. Jakoś się dogadujemy. Muszę tylko pamiętać, że gwizdek na niewiele się zdaje.

- Czyli dzieciak zmusza cię do biegania? Świetnie. Kondycja ci się poprawi.

- Nie muszę jej poprawiać, jestem w doskonałej formie - pochwalił się Aaron, po czym wybuchnął śmiechem. - Swoją drogą, dzieciak ma niesamowity potencjał. Ponieważ nie może polegać na uszach, bardziej niż inni polega na oczach. Zawsze się orientuje, gdzie kto jest.

Na stole pojawiła się mrożona herbata. Aaron sięgnął po szklankę i wypił łyk, rozkoszując się nie tyle smakiem napoju, co jego chłodem.

Wypił kolejny łyk, po czym dosypał łyżeczkę cukru.

- No dobrze, a powiedz, skąd masz forszę? - spytał Drummer.

Aaron skierował wzrok na trenera.

- Jaką forszę?

- Podobno zatrudniłeś ratownika?

- Na godzinę dziennie. Dzieciaki są zachwycone.

- I ściągnąłeś do pomocy jednego ze swoich koszykarzy. Żeby więcej dzieci mogło uczestniczyć w programie.

- Skąd to wszystko wiesz? Drummer zarechotał pod nosem.

- Mieszkamy w Riverbend, Aaron. Tu wszyscy wszystko wiedzą.

- Nieprawda. Mnie nikt w nic nie wtajemnicza. Drummer jednak nie zamierzał pozwolić, aby jego młody przyjaciel zboczył z tematu.

- Więc skąd masz forszę? - powtórzył.

- Skoro wszyscy wszystko wiedzą, dziwne, że tego nie wiesz - zażartował Aaron.

Prawdę mówiąc, wcale nie chciał zdradzać trenerowi nazwiska swojej szcudrej ofiarodawczyni. Po części dlatego, by chronić Lily; gdyby wyszło na jaw, że przekazała sporą sumę na potrzeby programu, zaraz ustawiliby się do niej kolejka chętnych po pieniądze. A po części dlatego, że bał się wymówić jej imię, bał się nawet o niej pomyśleć. Bo ilekroć jej twarz stawała mu przed oczami, powracał niepokój, złość na samego siebie i straszliwe pragnienie, którego nie miał prawa czuć...

Na szczęście nie widzieli się od tamtej niespodziewanej wizyty, jaką złożyła mu w piątkowy wieczór. Nie widział jej przez całą sobotę, niedzielę i większość poniedziałku, a jeśli widział, to wyłącznie w marzeniach i snach.

- Otrzymałem dotację - wyjaśnił po chwili, świadom, że trener będzie drażył, dopóki nie uzyska wyjaśnienia. - Ofiarodawca pragnie pozostać anonimowy.

- Tak? - Drummer zaczął się bawić słomką, która tkwiła w szklance.
- Dlaczego?

- Jak sam powiedziałaś, Riverbend to małe miasteczko. Jeżeli sponsor chce pozostać nieznany, muszę uszanować jego wolę.

- W porządku. Cieszę się, Maz. To świetny pomysł z tym obozem dla dzieciaków. Żałuję, że sam na coś takiego nie wpadłem, kiedy pracowałem w szkole.

- I bez tego miałaś pełne ręce roboty, ucząc moresu takich gagatków jak ja. - Aaron wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- W każdym bądź razie jeżeli mogę ci w czymkolwiek pomóc...

- Dzięki, trenerze. Myślę, że sobie już teraz poradzę. Byleby tylko szkoła nie podwyższyła opłat za basen. Bo basen jest nam naprawdę

potrzebny. Dzieciaki tyle czasu ganiają po korcie, że godzina pływania świetnie im robi. - Jemu też zrobiło się gorąco, mimo że teraz pił mrożoną herbatę. - A co u ciebie, trenerze? Jak ci się żyje w tym upale? Nowa klimatyzacja zdaje egzamin?

- Nie używaliśmy jej. Cały tydzień spędziliśmy z żoną u Megan. Córka Drummera mieszkała w Seattle i była geniuszem komputerowym.

Kilka lat młodsza od Aarona, zaczęła naukę w miejscowej szkole średniej akurat wtedy, gdy on postanowił wyjechać z miasteczka. Nie znali się. Jedyne informacje, jakie o niej miał, pochodziły od Wally'ego; wiedział, że dziewczynę pochłaniały komputery, że nie interesował jej sport i że podobnie jak on, Aaron, była odludkiem. W przeciwieństwie do niego była odludkiem z wyboru i upodobania, a nie z konieczności.

Wally Drummer często opowiadał o swojej cichej, wiecznie pogrążonej w książkach jedynaczce. Martwił się, że tak rzadko wychodzi z domu i ma tak mało przyjaciół. Nawet radził się Aarona, co robić, aby jej pomóc.

- Nie martwić się. Mając takiego ojca jak ty, Megan na pewno odniesie sukces - odparł Aaron, dumny, że jego mentor i przyjaciel ufa mu na tyle, by prosić o radę w sprawie ukochanego dziecka.

Sukces... Dziewczyna przeszła przez szkołę jak burza, dostała stypendium do Cal-Tech, obecnie zaś pracowała w przemyśle komputerowym, zajmując się rzeczami tak ezoterycznymi, że Drummer nawet nie potrafił ich opisać. Teraz opowiedział Aaronowi o pobycie na północnym zachodzie: z sześciu dni, jakie spędzili z żoną u Megan, tylko dwa były słoneczne, a temperatura ani razu nie przekroczyła dwudziestu

stopni. Potem rozmowa zeszła na inne tematy: szkolnej drużyny koszykarskiej i jej szansy na zwycięstwo w nadchodzącym sezonie, zdrowia Evie, która ogromnie się ucieszyła na widok Drummera, śmierci Abrahama Steele'a.

- Nie wiesz, dlaczego Jacob nie przyjechał na pogrzeb ojca? - spytał Wally Drummer.

- Nie mam pojęcia - przyznał Aaron, podnosząc do ust szklankę z herbatą. Skrzywił się; na dnie zawsze zostawało więcej cytryny. - Sądziłem, że może ty coś wiesz.

- Odkąd skończył studia, nie miałem z nim kontaktu. Przedtem, kiedy w przerwie międzysemestralnej przyjeżdżał do domu, zawsze wpadał do mnie z wizytą. A potem nagle przestał przyjeżdżać i nasze kontakty się urwały.

- Może znudziły mu się wakacje w Riverbend? - zauważył kwaśno Aaron. - Są ciekawsze miejsca...

- Dobra, dobra. Ty wróciłeś.

- Tak, i nadał się głowie dlaczego.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie. Obydwaj doskonale wiedzieli, dlaczego Aaron wrócił. Częściowo z powodu stanu zdrowia Evie, a częściowo z powodu Wally'ego Drummera. Wally złożył Aaronowi propozycję nie do odrzucenia: aby ten przeniósł się z powrotem do Riverbend, zastąpił go w funkcji trenera koszykówki i udowodnił wszystkim niedowiarkom, jak bardzo człowiek może się zmienić. Aaron wcale nie miał ochoty nikomu nic udowadniać, ale faktem jest, że jako psycholog pomagał młodzieży w Indianapolis, młodzieży trudnej i nieprzystosowanej, ciągle wpadającej w tarapaty, i pomyślał sobie, że

mógłby robić to samo w Riverbend. Sam był najlepszym przykładem na to, że nigdy nie jest za późno, aby wyciągnąć do kogoś pomocną dłoń.

Gdyby nie Wally, zostałby w miasteczku najwyżej kilka tygodni, upewnił się, że matka sobie radzi; a potem by wyjechał.

Z drugiej strony, gdyby nie Wally, to kto wie, co by się z nim w życiu działo? Może odsiadywałby teraz wyrok w więzieniu stanowym? Przed laty Drummer wybawił go z opresji, skierował na inną drogę. Jeżeli Drummer chciał, aby trenował szkolną drużynę koszykówki, Aaron nie zamierzał się sprzeciwiać.

- Żona mi mówiła, że wszystkie panie z jej klubu brydżowego mają własne teorie na temat Jacoba - kontynuował Drummer. - Każda inną. Jedna uważa, że Jacob przeniósł się do Europy.

- Do Europy? Wątpię.

- Druga jest przekonana, że ożenił się z dziewczyną, która tak bardzo nienawidziła swojego teścia, że zmusiła Jacoba do zerwania kontaktów z rodziną.

- Boże, czy one nie mają nic innego do roboty, niż wymyślanie jakichś niestworzonych historii? Lepiej by się zajęły swoimi robotami.

- W klubie brydżowym brydż jest najmniej ważny. - Drummer uśmiechnął się z pobłażaniem, po czym spojrział na zegarek. - No, muszę wracać. Po przejściu na emeryturę człowiek znacznie wcześniej jada kolacje. Mary lubi zasiadać do stołu o wpół do szóstej, a ja nie bardzo mogę jej mówić, że spóźnię się, bo mam trening z chłopakami.

Aaron też spojrział na zegarek. Czwarta trzydzieści. Opróżnił do końca szklanekę i wstał.

Spotkanie trwało krótko, ale obaj mężczyźni wiedzieli, że niedługo znów się umówią na herbatę, piwo albo mecz bilardowy. Nie łączyły ich żadne więzy krwi, ale Aaron zawsze traktował Wally'ego jak ojca, którego nigdy nie miał. Czasem Wally zastępował mu również i matkę.

Kiedy podeszli do lady, by zapłacić za herbatę, Evie Mazerik obdarzyła ich szerokim uśmiechem. Na syna popatrzyła z dumą i lekkim zdziwieniem, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że wyrósł na tak porządnego człowieka, Drummera zaś zmierzyła niemal kokieteryjnym spojrzeniem.

- Nadal troszczysz się o tego nicponia, Wally? - spytała rozbawiona.

- Wciąż fundujesz mu colę i mleko?

- Nie, Evie, zamieniliśmy się rolami. Teraz on funduje mi soczki.

Aaron podał matce banknot pięciodolarowy.

- Jestem biednym emerytem - ciągnął Drummer - więc chętnie korzystam z hojności twojego syna.

- Tak, chłopak ma wielkie serce. To moja zasługa - pochwaliła się Evie, która właściwie nie przyłożyła ręki do jego wychowania. - A jak się miewa twoja córka, Wally? Podobno odwiedziliście ją z żoną...

- To prawda. Wszystko jest u niej w porządku.

- Nie sądzisz, Wally, że w naszej miejscinie brakuje kobiet? Że Aaron powinien się wreszcie ustatkować? Ma już trzydzieści trzy lata. Najwyższa pora, żeby znalazł sobie żonę. Jak myślisz, Wally?

- Myślę, że Aaron jest dorosły i nie potrzebuje naszych rad - odparł taktownie Drummer.

Aaron zdecydowanie nie potrzebował rad, zwłaszcza od matki. Mimo wszystko była ostatnią osobą, która miała prawo mówić mu o

ustatkowaniu się. Sam zaś wiedział, że nie poślubi żadnej kobiety, dopóki nie minie mu obsesja na punkcie Lily.

Drummer poklepał Evie przyjaźnie po ramieniu.

- Do zobaczenia, Evie. Dbaj o siebie.

Aaron schował do kieszeni resztę i skinąwszy matce głową, wyszedł na ulicę.

- Powinna zapisać się do klubu brydżowego -mruknął pod nosem. - Zna więcej plotek niż wszystkie jego członkinie razem wzięte.

- Też ma teorię na temat nieobecności Jacoba na pogrzebie ojca? - spytał trener.

- Na pewno, niech no pomyślę... Już wiem. Albo Jacob mieszka w luksusowej posiadłości na Bahamach, albo nie żyje.

- To już lepiej niech się pławi w luksusach. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Odezwę się niedługo - obiecał Drummer. - Ciekaw jestem, jak się dzieciakom spodobają zajęcia z pływania. Aha, jeszcze jedno... Skoro dostałeś pieniądze, przeznacz część na swoje wynagrodzenie.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał Aaron. - Na razie inne potrzeby są ważniejsze.

Nagle kątem oka coś dojrzał, zamazaną postać po drugiej stronie ulicy, i poczuł ostre klucie w sercu. Tak, to Lily. Po chwili zniknęła w księgarni.

Nakazał sobie zapomnieć, że ją widział. Oczywiście, było to niemożliwe. Świadomość, że Lily jest w pobliżu, odebrała mu rozum. To było tak, jakby po jego umyśle rozlał się kałamarz z tuszem. Każdą myśl,

która nie dotyczyła Lily, przykrywała wielka czarna plama. Lily. Tylko ona się liczyła.

Wally Drummer ruszył przed siebie do zaparkowanego przy chodniku lśniącego nowego pikapa. Aaron nie widział, jak trener otwiera drzwi, wsiada do środka, przekręca kluczyk w stacyjce, a potem włącza się do ruchu. Przez chwilę tkwił nieruchomo, patrząc na okna wystawowe, po czym bezwiednie przeszedł przez ulicę, kierując się w stronę księgarni.

Krażyła gdzieś między półkami, niewidoczna przez okno, ale na pewno była w środku, bo przecież widział, jak wchodziła. Powtarzał sobie w myślach, co powinien teraz zrobić: zawrócić, dojść do samochodu i czym prędzej odjechać. Zamiast tego pchnął drzwi księgarni.

Nie było jej w pierwszej sali. Gdyby opuściła księgarnię, zauważyłby to. Może postanowiła odwiedzić siostry Steele mieszkające w przyległych do księgarni pokojach? Ruth i Rachel kiedyś same prowadziły należącą do rodziny księgarnię, od paru lat jednak klientów obsługiwała Kate McCann. Teraz, po niedawnej śmierci Abrahama, bliźniaczki pewnie jeszcze bardziej niż zwykle polegały na Kate.

Kate McCann stała przy ladzie, rozmawiając z pulchnawą kobietą po czterdziestce, która wydawała się Aaronowi z wyglądu znajoma. Właściwie wszyscy w Riverbend wydawali mu się znajomi z wyglądu, co oznaczało, że zbyt długo tu przebywał.

Napotkawszy wzrok Kate, skinął do niej głową, po czym wszedł do części zwanej salonikiem, gdzie można było usiąść, poczytać, potem odstawić książkę z powrotem na półkę. Nie bardzo to rozumiał. Odstawić? Przeczytaną książkę? Bez płacenia?

Przeszedł dalej między regałami, udając, że czegoś szuka. Zostało mu parę stron do końca powieści Grishama, którą kupił dwa tygodnie temu. W kolejce czekała następna książka, którą Kate mu poleciła. Na razie nie chciał nic kupować. Zależało mu wyłącznie na tym, na czym nie powinno: na ujrzeniu Lily, porozmawianiu z nią.

Spostrzegł ją w dziale sztuki; stała zwrócona do niego tyłem, kartkując jakiś opasły album. Ponieważ go nie widziała, przez chwilę mógł się jej bezkarnie przyglądać. Włosy uczesane w koński ogon i spięte srebrną klamerką. Beżowe szorty i biała bluzka z cienkiego, lejącego się materiału, na którym tworzyły się intrygujące cienie. Szczupłe biodra, szczupłe nogi. Nogi widział po raz pierwszy: poprzednio, kiedy z sobą rozmawiali, przysłaniała je długa spódnica lub dzinsy.

Z trudem przełknął ślinę. Cudowne nogi, cudowna figura, cudowne złociste włosy. Emocje, jakie w nim wywoływała... Gdyby jakiś facet tak patrzył na jego siostrę, miałby ochotę mu przyłożyć. Może powinien przyłożyć sam sobie?

Przyłożyć sobie? Nie, to nic nie da. Powinien czym prędzej skierować się do wyjścia.

Wtem Lily obróciła się. Uśmiech, jaki pojawił się na jej twarzy, był tak spontaniczny i radosny, że Aaron nie umiał się zdobyć na wykonanie kroku.

- Aaron! - zawołała.

- Cześć.

Biorąc głęboki oddech, ruszył w jej stronę. Zachowywał się tak, jakby przed chwilą nie dręczyły go grzeszne myśli, jakby wszystko było w

porządku, jakby Lily nie była jego przyrodnią siostrą, jakby mieli prawo uśmiechać się tak promiennie do siebie.

- Postanowiłam w sztuce poszukać natchnienia -rzekła, wskazując album. - Staram się skończyć z ni-jakością.

Nie bardzo wiedział, o czym mówi, domyślał się jednak, że ma to jakiś związek z jej malarstwem.

- To natchnienie czerpie się z książek?

- Natchnienie może nie - przyznała. - Ale odwagę tak.

Podowała mu album. Aaron wziął do ręki ciężkie tomiszczce i spojrział na tytuł: „Mistrzowie renesansu”. Następnie otworzył na stronie z reprodukcją, którą z taką uwagą studiowała. Obraz przedstawiał nagą kobietę z zaokrąglonym brzuchem, o pulchnych udach i z lokami opadającymi luźno wzdłuż twarzy. Nad jej głową unosiły się tłuste, nagie amorki.

Przemknęło mu przez myśl, że następnym razem nie powinien się tak spieszyć z udzielaniem rad, w dodatku na tematy, o których nie ma zielonego pojęcia. Wystarczyło, że raz otworzył usta i skrytykował martwą naturę, którą malowała, a Lily... Na miłość boską, przecież nie jest krytykiem sztuki! W ogóle nie zna się na sztuce! Czego ona od niego chce? Obraz, który z takim zaparciem oglądała, był obrzydliwy. Kobieta jest gruba, amorki też. I ona, i one lepiej wyglądałyby w ubraniu.

Stanowiły przeciwieństwo Lily, szczupłej, pięknej, ponętnej.

Przestań! - zbeształ się w duchu.

- Kto... czyje to dzieło? - spytał ostrożnie.

- Tycjana. Mówi ci coś jego nazwisko?

- Pewnie. Był mistrzem renesansu - odparł, zerkając ponownie na okładkę.

Lily wyciągnęła rękę po album.

- Coś mi się zdaje, że masz drobne zaległości. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Hm, może powinnam tobie kupić tę książkę?

- Nie, dziękuję. Sztuka to nie moja dziedzina.

- W takim razie kupię ją dla siebie. - Przekręciła stronę i aż jęknęła z zachwytem na widok kolejnej nagiej grubaski. - Może jesienią zapiszę się do college'u na malarstwo. Co o tym sądzisz? Warto?

Czuł się zmieszany i speszony faktem, że pyta go o radę. Czy warto? Oczywiście, że tak. Skoro miała ochotę, nie powinna się wahać. Z drugiej strony, zajęcia mogłyby ją nudzić. Zakończyła swą edukację ponad dziesięć lat temu. Właściwie zamiast chodzić na wykłady ze sztuki, równie dobrze sama mogłaby je prowadzić na miejscowej uczelni. Zaniepokoił ją jego brak reakcji.

- Uważasz mnie za nudziarę...

- Wcale nie.

Uważał ją za piękną, elegancką kobietę. Uważał, że lejący się materiał, z którego była uszyta jej bluzka, to jedwab, lecz że ona sama ma skórę znacznie bardziej jedwabistą w dotyku. Uważał też, że Lily Bennett Holden stanowi największą pokusę, z jaką kiedykolwiek przyszło mu się zmierzyć. Wiedział, że nigdy nie zapomni tamtego wieczoru, kiedy rozmawiali u niego na tarasie za domem. Był to jeden z najwspanialszych momentów w jego życiu, mimo iż biedna Lily prawie cały czas zalewała się łzami.

Wpadł jak śliwka w kompot. Musi się jakoś z tego wykaraskać.

- Jesteś wolny jutro wieczorem? - spytała. Psiakrew, nie powinien dalej w to brnąć.

- Nie wiem - odparł.

Skłamał. Nie miał nic zaplanowanego na jutrzejszy wieczór. Ale powinien był oznajmić, że jest zajęty, a on kręcił, zwlekał, łudził się, igrał z ogniem.

- Nic wielkiego nie organizuję. Po prostu chcę zaprosić parę osób po jutrzejszej paradzie...

Jak co roku z okazji Dnia Niepodległości w miasteczku odbywała się parada. Po paradzie Lily postanowiła zaprosić do siebie grupkę starych przyjaciół z dawnej paczki. Aaron uśmiechnął się pod nosem. On razem ze Szczurami? Dziwne...

- Wiesz, chyba jednak nie... - zaczął, ale kiedy położyła rękę na jego ramieniu, głos uwiązł mu w gardle; a on sam poczuł się tak, jakby przeszył go prąd.

- Odkąd kupiłam dom, ani razu nie miałam gości - powiedziała, nie spuszczać z niego oczu. - Nawet nie wiem, czy przyjdą.

- Oczywiście, że tak! - zawołał. - Dlaczego mieliby nie przyjść?

- No bo... - Nie była w stanie nic więcej z siebie wydusić. Po chwili westchnęła i ponowiła próbę. - Bo nie znają o mnie prawdy.

Aaron znał prawdę, ponieważ Lily sama mu ją opowiedziała. Jednakże ta prawda wcale nie wydawała mu się czymś wstydliwym. Nieudane małżeństwo, tragiczna śmierć męża, powrót do domu, do miasta, w którym spędziło się dzieciństwo i młodość. Koniec historii.

- Przyjaciele nie odwrócą się od ciebie tylko dlatego, że masz przed nimi jakąś tajemnicę. Nawet gdyby ją znali, nadal pozostaliby twoimi przyjaciółmi.

Nie sprawiała wrażenia do końca przekonanej, ale uśmiechnęła się dzielnie.

- Więc co? - spytała. - Mogę na ciebie liczyć?

Co jak co, ale na niego absolutnie nie powinna liczyć!

- Chciałabym, żebyśmy byli przyjaciółmi, Aaron - rzekła cicho, a on znów poczuł, jak po plecach przechodzi mu dreszcz. - Wiem, że dawniej się nie przyjaźniliśmy, ale teraz... teraz chyba już łączy nas przyjaźń, prawda?

Łączyło ich coś więcej. A raczej coś innego. Więzy krwi. Ale skinał głową, nie potrafiąc uwolnić się spod jej uroku.

- Prawda.

- W takim razie do jutra.

Cofnęła rękę z jego ramienia i posłała mu tak promienny uśmiech, że nie miał siły zaprotestować.

Odprowadzając ją wzrokiem, kiedy szła do kasy zapłacić za album, wiedział, że później będzie żałował swej decyzji. Później będzie wymyślał sobie od głupców za to, że zgodził się wpaść do niej jutro... jeżeli istotnie się zgodził. Hm, chyba wcale nie powiedział, że przyjdzie?

Ale też nie odmówił. Chciał być jej przyjacielem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Co jej strzeliło do głowy? Dlaczego powiedziała Aaronowi, że zamierza zaprosić przyjaciół po jutrzejszej paradzie?

Po prostu tak na nią działał. Wystarczyło, że był w pobliżu, że na niego patrzyła, i ni stąd, ni zowąd czuła, jak wstępuje w nią odwaga. Może album z dziełami sztuki też natchnie ją odwagą, zmusi do zmiany techniki malarskiej, ale prawdziwa odwaga - taka, która pozwala stawić czoło przeciwnościom, naprawić błędy, pokonać trapiące lęki i niepewności, wyjść na prostą - nie pochodzi z książek. Pochodzi z wewnętrznej siły, z głębi nas samych.

No dobrze, stało się. Zadzwoni w parę miejsc i dowie się, kto nie ma planów na jutrzejszy wieczór. Miłe spotkanie z grupą przyjaciół w ogrodzie...

Nie miała grilla, ale nie szkodzi. W Cohasset wręcz nie wypadało zapraszać gości na potrawy z grilla, zwłaszcza w dniu święta narodowego. Tak robili ludzie z niższych sfer. Ona z Tylerem zazwyczaj świętowali Dzień Niepodległości w klubie. Stoły ugiwały się od krewetek i krabów; zamiast kurczaków serwowano młode gołąbki, zamiast kukurydzy polentę, zamiast placka z jabłkiem wyśmienite babeczki z truskawkami, jagodami i bitą śmietaną, czyli w kolorach flagi narodowej. Do picia zamiast piwa, które można kupić w supermarketach, było piwo z małych browarów, choć oczywiście Tyler wolał mocniejsze trunki. Kiedy wracali do domu, zawsze ona prowadziła samochód. Upierała się przy tym mimo głośnych

protestów Tylera, że przecież jest trzeźwy i może usiąść za kółkiem.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie tych scen.

W porządku. Jutro cały naród obchodzi Dzień Niepodległości. Skoro Ameryka mogła uzyskać niepodległość, wyzwolić się spod jarzma angielskiej korony, to ona też znajdzie w sobie dość siły, aby uwolnić się od duchów przeszłości i zapomnieć o swoim koszmarnym małżeństwie. Przyjaciele jej w tym pomogą.

Odbywająca się co roku parada niewiele się różniła od tych, które Aaron oglądał w dzieciństwie. Tak jak i dawniej, najpierw z ogłuszającym rykiem przejeżdżał wzdłuż Courthouse Square sznur lśniących czerwonych wozów strażackich. Po nich pojawiały się dzieci na rowerach ozdobionych paskami czerwonej, białej i niebieskiej krepiny. Następnie szli faceci na szczudłach przebrani za Wuję Sama. Dalej klauni. Potem w wielkim kabriolecie przejeżdżała, machając do zgromadzonych tłumów, pani burmistrz Baden z małżonkiem. Po niej jechali osadnicy w krytych wozach, a po osadnikach środkiem jezdni sunęły barwne platformy, jedne ufundowane przez sklepy, inne przez różne organizacje i stowarzyszenia. Platformę klubu ogrodniczego ozdobiły przepiękne kwiaty. Na platformie Killiana kilkunastoletnie dziewczynki przyjmowały pozy modelek, demonstrując ubrania. Na platformie rolników pośród stogów siana siedzieli, pozdrawiając tłumy na chodnikach, chłopcy w kraciastych koszulach i słomkowych kapeluszach.

Aaron mógłby przysiąc, że tegoroczne stogi siana były takie same jak te, które oglądał przed laty. Mógłby przysiąc, że dziś na szczudłach, w przebraniu Wuję Sama, kroczyli ci sami faceci co dawniej. Tylko jedna

rzecz się zmieniła. Dawniej obok pani burmistrz jechał w kabrioletcie Abraham Steele. W tym roku go zabrakło.

Była też i druga zmiana, ale ta druga dotyczyła jego. Kiedy jako dziecko oglądał paradę, zawsze dręczyło go poczucie wyobcowania. Koledzy z klasy stali przy samym krawężniku, machając małymi flagami i zbierając z ziemi cukierki zrzucane z platform. Czasem, by lepiej widzieć, wdrapywali się na skrzynki pocztowe lub hydranty, a niektórzy dołączali do dzieciaków jadących na udekorowanych krepiną rowerach. Na paradę przychodzili całą grupą; wcinali cukierki i hot dogi, śmiali się, gadali, przepychali. Żaden nigdy nie skinął do Aarona, żeby do nich podszedł, a on sam z siebie też nigdy tego nie uczynił.

Czasem oglądał paradę w towarzystwie innych autsajderów - chłopaków ze wsi, którzy autobusami szkolnymi codziennie dojeżdżali na lekcje, a którzy tego dnia tłukli się kawał drogi tylko po to, by zobaczyć klaunów i barwne platformy. Podobnie jak on, oni również trzymali się na uboczu; nie należeli do świata, w którym obracała się Lily i jej przyjaciele z Riverbend. Może dlatego nie mieli nic przeciwko temu, by Aaron stał koło nich.

W tym roku jednak, ledwo zaparkował samochód na East Chestnut i przeszedł kilka przecznic do Courthouse Square, ruchem ręki przywołał go do siebie Mitch Sterling. Mitch przybył na paradę z synem, który na widok Aarona uśmiechnął się szeroko. Chłopiec miał na głowie czapkę z daszkiem, a w ręce trzymał papierową flagę.

- Koszmarnie gorąco, nie? - powiedział Mitch, nasuwając głębiej na czoło czapkę, taką samą jak syna, tyle że w innym kolorze.

- Oj, tak - przyznał Aaron, żałując, że nie wziął jakiegoś nakrycia głowy.

Ponieważ wszędzie było mnóstwo dzieci, w powietrzu unosił się zapach gumy do żucia, popcornu, lodów owocowych. Po drugiej stronie ulicy Aaron zauważył matkę; siedziała na składanym krzeselku w towarzystwie gospodarza domu i jego żony. Z samego rana zadzwoniła do syna poinformować go, że nie musi po nią przyjeżdżać. Nawet się dobrze złożyło, bo nie wybierał się na paradę; zdanie zmienił dosłownie w ostatniej chwili.

Co go skłoniło do zmiany decyzji? Na pewno nie wspomnienia z poprzednich parad, kiedy samotnie przeciskał się przez tłum, czując, jak inni przyglądają mu się z wrogością. Po prostu uznał, że na przyjęciu u Lily wszyscy będą omawiać dzisiejszą paradę, więc chciał uczestniczyć w rozmowie. Obecność na obchodach Dnia Niepodległości traktowana była w Riverbend niemal jak obywatelska powinność, jak obowiązek. Aaronowi nie przeszkadzało sprzeniewierzenie się obowiązkowi, przeszkadzało mu jednak, gdyby inni się o tym dowiedzieli. Więc wsiadł w samochód i przyjechał.

W pewnym momencie Sam Sterling pociągnął go za rękę i wskazał na człowieka po drugiej stronie ulicy, który pchał wózek uginający się pod ciężarem flag, piszczałek, trąbek rowerowych, balonów, gwizdków i innych całkowicie bezużytecznych przedmiotów.

- Tylko przypadkiem niczego mu nie kupuj -ostrzegł Mitch. - Ten mały urwis nawet nie zdaje sobie sprawy, ile hałasu to wszystko robi.

Aaron skinął z uśmiechem głową. Ciekaw był, czy spotkają się wieczorem u Lily. Co prawda, sam jeszcze nie podjął decyzji, czy pójdzie na przyjęcie, czy nie, ale...

Chociaż... nie mógł nie pójść. Żegnając się wczoraj, Lily powiedziała: „Do jutra”, a on się nie sprzeciwił. Musi iść, choć byłoby rozsądniej, trzymać się od niej z daleka.

Popołudniowe powietrze przeszył ryk wozów strażackich. Dzieci, podniecone hałasem i zniecierpliwione czekaniem, zaczęły biegać, skakać, piszczeć. Rodzice wyciągali szyje, równie podnieceni jak ich pociechy.

Aaron czuł, jak słońce praży go w głowę, ale czuł też inny rodzaj ciepła, wewnętrzny żar, który Lily rozpałała w nim przed laty, kiedy wyszła z pracowni malarskiej i niespodziewanie pojawiła się w jego polu widzenia. Żar, który mimo upływu lat nadal w nim płonął.

Wiedział, że nie powinien iść do niej wieczorem. Wiedział też, że pójdzie.

Charlie Callahan przeszedł na werandę za domem. Usiadł w wiklinowym fotelu, oparł nogi o poręcz i rozejrzał się po ogrodzie. Po chwili z kuchni wyłoniła się Lily z butelką zimnego piwa.

- Właśnie dzwoniła Grace — rzekła. - Mała najadła się jakichś świństw i potwornie rozboleła ją brzuszka. Nie mogą jej zostawić samej w domu.

Charlie westchnął głośno.

- Dzieci potrafią nam czasem pokrzyżować plany. To co? Spędzimy miły wieczór we dwójkę?

- W trójkę - odparła.

Z dużego przyjęcia zrobiło się małe. Chciała zaprosić znacznie więcej osób, ale okazało się, że ktoś nie może, komuś dziecko zachorowało, a ktoś inny wyjechał na urlop. Mitch Sterling musiał odmówić, ponieważ obiecał Samowi, że pójdą razem do jego kolegi z klasy. Erin i Joe Wilsonowie mieli inne zobowiązania. Cóż, miała nauzkę; z zapraszaniem gości nie powinno się czekać do ostatniej chwili.

Jednakże fakt, iż na przyjęciu będą tylko trzy osoby

- zakładając oczywiście, że Aaron się nie rozmyśli -wcale jej nie zasmucał. Jak na pierwszy raz dwójka gości, z których jeden należał do starej paczki, a z drugim zaprzyjaźniła się niedawno, w zupełności wystarczała.

- Kto jeszcze przyjdzie?

- Aaron.

Charlie zmarszczył brwi.

- Aaron Mazerik? - Nawet nie starał się ukryć zdumienia.

- Widzieliśmy się parę razy. I polubili.

Miała ochotę dodać: Mogę mu o wszystkim mówić, powierzać swoje tajemnice. Ufam mu nie mniej niż tobie. Może nawet bardziej.

- Serio?

- Tak. Zmienił się od czasu, kiedy chodziliśmy do szkoły. Ale nic dziwnego. Wszyscy się zmieniliśmy.

A ja bardziej niż inni, pomyślała.

- Spodobał mi się - ciągnęła. - Sprawia wrażenie sympatycznego człowieka.

Charlie patrzył na nią takim wzrokiem, jakby właśnie ogłosiła, że zamierza wytatuować sobie na czole zakrwawiony sztylet.

- A wy dwaj... musicie się chyba całkiem dobrze znać, prawda?

Podobno pomagałeś mu z remontem chaty starego Millera?

- Owszem, znamy się. - Charlie pokręcił głową.

- Ale ty i Mazerik? Nie wiedziałem, że coś was łączy.

Lily zacisnęła usta i omiotła spojrzeniem żółte róże pnące się po drewnianej kratownicy wspartej o boczną ścianą garażu. Nic jej z Aaronem nie łączy, co nie znaczy, że nie pragnęła, aby tak się stało. Wiele godzin rozmyślała o jego oczach, ustach, o silnych ramionach. Marzyła o rzeczach, o jakich nie powinna marzyć ani dziewczyna z dobrego domu, ani wdowa rozpaczająca po stracie męża.

Nie dlatego jednak zaprosiła Aarona. Gdyby chciała go uwieść, nie zapraszałyby Charliego, Penningtonów, Mitcha Sterlinga ani Erin i Joego Wilsonów. Zresztą nie miała zamiaru nikogo uwodzić. Co jak co, ale tak odważna to na pewno nie była. Kiedy rozmyślała o oczach, ustach i ciele Aarona, po prostu troszkę sobie fantazjowała. Co to komu szkodzi? Puszczając wodze wyobraźni - czego nie robiła od czasu, kiedy poznała Tylera - by przekonać się, czy jeszcze potrafi marzyć.

Wieczór był ciepły, ale nie parny. Charlie miał na sobie jasne szorty i koszulę w kratkę, Lily zaś jedną ze swoich skromniejszych letnich kreacji wartych tysiąc dolarów. Modliła się w duchu, aby tego nie było widać.

Przeprosiwszy na moment Charliego, wróciła do kuchni po miskę orzechów, po talerz świeżo pokrojonych marchewek, papryk, selerów i ogórków oraz po salaterkę z gęstym sosem do maczania warzyw. Zanim zdołała postawić naczynia na tacy, rozległ się dzwonek u drzwi.

Dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach. Starając się opanować bicie serca, ruszyła przez hol do drzwi frontowych.

Stał na werandzie, ubrany w jasne dżinsy, granatową koszulę i sandały. Oczywiście, natychmiast poczuła kolejny dreszcz. Aaron był wspaniale zbudowany, a ona była tego świadoma zarówno jako artystka, jak i kobieta.

- Miło, że przyszedłeś - powiedziała z uśmiechem i ruchem głowy zaprosiła do środka. - Charlie Callahan siedzi z piwem na werandzie za domem. Tobie też przynieść?

Aaron bez słowa minął próg, po czym powiódł wzrokiem po twarzy i figurze gospodyni. Lily poczuła, jak opuszcza ją pewność siebie. Nadal się uśmiechała, ale ten uśmiech służył raczej jako tarcza, jako osłona przed niepożądaną reakcją na widok atrakcyjnego mężczyzny.

- Poproszę - rzekł po chwili. - Z przyjemnością napiję się zimnego piwa.

No dobrze, może popełniła błąd, zapraszając go do siebie. Może stanowi zbyt wielką pokusę, której ona nie potrafi się oprzeć. Może powinna wrócić do swoich dawnych zwyczajów, kiedy żyła jak pustelnik, nikomu nie ufała, trzymała się na uboczu. Może powinna wyrzucić świeżo zakupione akryle oraz naciągnięte na blejtramy płótna i wyciągnąć z powrotem mdłe farby wodne.

Ale było za późno na jakiegokolwiek zmiany. Aaron stał w holu, gotów wejść dalej. W trakcie dziesięcioletniego małżeństwa z Tylerem wydała mnóstwo przyjęć; czasem bywali na nich goście, których nie bardzo lubiła, a mimo to dawała sobie radę. Teraz też sobie poradzi. Wieczór w domu, z dwojgiem przyjaciół...

Przypominała sobie o dobrych manierach i zapraszającym gestem wskazała kuchnię oraz drzwi prowadzące na werandę.

- Mitch Sterling i Wilsonowie mieli inne plany -wyjaśniła, idąc przodem. - Penningtonowie obiecali przyjść, ale dziecko im się rozchorowało. Znasz ich, prawda? Eda i Grace?

Obejrzawszy się przez ramię, zobaczyła, jak Aaron ściąga brwi. Nie wiedziała, co to oznacza: że nie zna Eda i Grace, czy że zna, lecz nie lubi.

Nie miało to jednak znaczenia, skoro zadzwonili przepraszając, że nie mogą przyjść. A nawet gdyby... Przestań! - skarciła się w duchu. Przestań wszystko analizować i zamartwiać się nieistotnymi drobiazgami.

Rozejrzał się uważnie po przestronnej kuchni, po czym z uśmiechem przyjął butelkę, którą Lily wyjęła z lodówki.

- Chcesz szklanę? - spytała.

- Nie, dzięki.

Kuchnia wydawała się mniejsza z Aaronem w środku, jakby swoją osobą zajmował połowę przestrzeni.

Lily naląła sobie szklanę mrożonej herbaty i wskazała głową drzwi. Otworzył je, przepuszczając ją przodem. Pachniała lasem sosnowym i miętą.

- Cześć - powitał ich Charlie, kiedy wyszli na powietrze, i podniósł butelkę, jakby wznosił toast.

Aaron uczynił to samo.

- Wszystkiego najlepszego, Maz. Z okazji Dnia Niepodległości.

- I wzajemnie, Charlie.

Oparł się plecami o poręcz.

- Jak ci się podobała parada?

- Była głośna, krzykliwa, kiczowata. - Aaron wyszczerzył zęby. -

Taka, jaka powinna być.

- Za mało w tym roku rzucali cukierków. - Charlie skrzywił się z niezadowoleniem, po czym też odsłonił w uśmiechu zęby. - No a jak tam twój taras? Jeszcze się nie zawalił?

- Nie, świetnie się trzyma. Wykonałeś kawał solidnej roboty.

- Ja? Ja tylko wydawałem polecenia. To ty wbijałeś gwoździe.

Lily odprężyla się. Widać było, że Charlie z Aaronem doskonale się czują w swoim towarzystwie. Może piętnaście lat temu niewiele mieli wspólnych tematów, ale cóż... piętnaście lat to szmat czasu.

Zostawiła ich na werandzie, a sama wróciła do kuchni po orzeszki i warzywa. Patrząc przez okno, zobaczyła, że Charlie, który wciąż siedział w wiklinowym fotelu, i Aaron, który nadal stał oparty o poręcz, gadają jak starzy przyjaciele. Uśmiechnęła się zadowolona. Na eleganckich przyjęciach, jakie wydawała

w Cohasset, do jej głównych obowiązków jako pani domu należało pilnowanie, czy goście dobrze się bawią, czy mają z kim rozmawiać, czy się nie nudzą. Dziś wieczorem, obserwując wzajemne relacje pomiędzy dwoma mężczyznami, których uwielbiała ponad wszystko, czuła się jak idealna gospodyni.

Nie, to nieprawda z tym uwielbieniem Aarona. Za słabo go zna. Ale coś na pewno do niego czuje. Przyjaźń, ciepło, sympatię, która z czasem ma szansę rozkwitnąć, przerodzić się w coś głębszego..

Przez drzwi z siatki słyszała dobiegające głosy.

- Nawet dobrze się złożyło, że Penningtonowie nie mogli przyjść - powiedział Charlie. - Lubię Eda i Grace, ale ciągle się boję, że coś niechcący wypaplam i... Siostra Eda była moją żoną.

- Tak?

- Beth Pennington. Pamiętasz ją ze szkoły?

Aaron zmarszczył czoło, po czym pokręcił głową.

- W każdym razie pobraliśmy się, a po paru latach rozwiedli.

Charlie podniósł butelkę do ust. Aaron również.

Niepewna, w jakim kierunku rozmowa zmierza, i czy Charlie, który nigdy dotąd nie roztrząsał sprawy swojego małżeństwa, nie popada w zbyt sentymentalny nastrój, Lily czym prędzej wróciła na werandę. Gdy postawiła przekąski na stole, Charlie natychmiast przysunął rękę, chwytając garść orzeszków.

Poczuła na sobie spojrzenie Aarona. Podniosła głowę i napotkała jego wzrok. Oczy miał niebywale piękne. Dość odcieni w tęczęwkach oszałamiała ją w równym stopniu, co siła jego spojrzenia. Zastanawiała się, co on widzi, kiedy na nią patrzy. Znajomą? Przyjaciela? Wdowę z grubą książeczką czekową? Kobietę?

Przez moment Charlie spoglądał to na nią, to na Aarona. Opamiętała się. Nie chciała, aby ktokolwiek domyślił się, co jej chodzi po głowie.

- Jak tam zajęcia z dziećmi? - spytała lekkim tonem, zwracając się do Aarona.

- Świetnie, małe urwisy są zachwycone - odparł, spojrzeniem dając jej do zrozumienia, że to dzięki niej dzieci z Riverbend mają tak udane wakacje.

A raczej dzięki przekazanym przez nią pieniądzom.

Ucieszyła się. Woląta jednak, aby jej hojny datek pozostał tajemnicą. Zaczęła więc nerwowo szukać innego tematu. Na ratunek przyszedł jej Charlie.

- A ty, Lily? - spytał. - Jak się miewasz? Wyglądasz znacznie lepiej...

- Dzięki, Charlie.

- Miałaś świetny pomysł, żeby nas zaprosić po dzisiejszej paradzie.

Nie sądzisz, Aaron?

- A myślisz, że da nam jeść?

Charlie wybuchnął śmiechem. Lily skorzystała z okazji, aby wyjaśnić, co będzie do jedzenia.

- Jeść da - rzekła. - Ale nie liczcie na żadną wytworną kolację.

Przygotowałam zimny bufet: świeże bułeczki, żytnie pieczywo, wędliny, pasztety, sery, sałatki. Pełna samoobsługa.

- Właśnie to najbardziej lubię - oznajmił wesoło Charlie. - Dobrze, że w tych bostońskich wyższych sferach nauczyłaś się trudnej sztuki podejmowania gości...

Charlie jak zwykle sobie z niej drwił. Wszystko byłoby w porządku, gdyby rzecz nie dotyczyła jej życia w Bostonie - na tym punkcie wciąż była przewrażliwiona.

Tym razem na ratunek przyszedł jej Aaron.

- Z kim oglądałaś paradę? - spytał.

- Z ojcem.

Westchnęła, przypominając sobie własne daremne próby zmuszenia ojca do tego, by poważnie potraktował sześćdziesiąte urodziny mamy. Podczas parady usiłowała jeszcze raz poruszyć ten temat, ale do ojca nadal nic nie docierało. Nagle wpadła na genialny pomysł. Może Charlie lub Aaron mogliby jej coś doradzić. W końcu co trzy głowy, to nie jedna.

- Słuchajcie, potrzebna mi wasza pomoc...

- Oho! - zawołał Charlie. - Widzisz, Aaron? Nie ma czegoś takiego jak darmowa wyzerka. Za wszystko się buli.

Lily trąciła go w ramię.

- Mówię serio, Charlie. Chodzi o mojego ojca. A raczej o matkę.

Niedługo skończy sześćdziesiąt lat. Chciałabym uczcić to w jakiś szczególny sposób. Na ojca nie bardzo mogę liczyć; nie rozumie, o co tyle krzyku. A moim zdaniem sześćdziesiąte urodziny to ważny, przełomowy moment w życiu kobiety.

Obaj mężczyźni milczeli. Charlie bezwiednie wpatrywał się w czubki swoich butów, Aaron w jej twarz.

- Czuję się tępa. Nie umiem nic wymyślić...

- No dobrze, a czego od nas oczekujesz? - spytał Charlie.

- Pomysłów. Ty, Charlie, znasz moich rodziców. A ty, Aaron...

Pomyślałam sobie, że skoro łączy cię z matką wyjątkowo bliska więź...

Spojrzenie Aarona stało się zimne. Po chwili uśmiechnął się, ale był to gorzki uśmiech.

- Faktycznie, łączy nas dość wyjątkowa więź.

Lily wystraszyła się. Zdała sobie sprawę, że powiedziała coś nie tak, nie była jednak pewna, jak wielką palnęła gafę i czy bardzo zraniła Aarona.

- Myślałam, że wróciłeś do Riverbend z powodu zdrowia matki...

- Matka i ja zawarliśmy... rozejm. Jest dość kruchy, ale trwa już wiele lat, co niewątpliwie graniczy z cudem. Jeżeli ten rozejm oznacza, że łączy mnie z matką wyjątkowa więź, to w porządku. Niech tak będzie.

- Co jej podarowałeś na sześćdziesiąte urodziny?

- Nic. Matka ma pięćdziesiąt trzy lata.

Z jego tonu wyraźnie wynikało, że za siedem lat raczej nie zorganizuje dla matki hucznego przyjęcia urodzinowego. No dobrze. Więc pomyliła się.

Popatrzyła na Charliego, licząc, że coś powie i wybawi ją z opresji, lecz znowu się pomyliła. Wyglądało na to, że intryguje go napięcie, jakie się wytworzyło pomiędzy nią a Aaronem.

- Przygotuję jedzenie - rzekła, kierując się do kuchni. - Jeżeli przyjdzie wam do głowy jakiś genialny pomysł, dajcie mi znać.

Nie nastawiała się na to, że będą dumać nad prezentem urodzinowym. Przeciwnie, modliła się w duchu, aby więcej do tego tematu nie wracali. Niech pogadają o tarasie, który wspólnymi siłami zbudowali za domem Aarona, niech podyskutują o dzisiejszej paradzie, o samochodach, o sporcie, o tym wszystkim, o czym dyskutują faceci, kiedy siedzą wieczorem na świeżym powietrzu i piją piwo. Była głupia i naiwna, sądząc, że gotowa jest wyjść pomiędzy ludzi, spotykać się z przyjaciółmi, zapraszać ich do domu, prowadzić normalne życie. Skoro z dwiema osobami nie umiała sobie poradzić... No, ale może jeszcze się wszystko ułoży.

Wyjmując z lodówki wędlinę, przypomniała sobie, że w czasie ostatnich dwóch lub trzech lat małżeństwa Tyler bezustannie ją krytykował jako gospodynię - nawet wtedy, gdy urządzanym przez nią przyjęciom niczego nie można było zarzucić. Narzekał na to, że jest sknerą, że oszczędza na alkoholach - i może miał rację, skoro dyskretnie polecała barmanowi, by rozcieńczył wodą koktajle Tylera. Narzekał na to, że cały czas mierzy go złym wzrokiem, a nie była to prawda; złym wzrokiem mierzyła go wtedy, gdy pił czwarte martini i język mu się plątał.

Nigdy nie potrafiła odprężyć się i miło spędzić wieczoru, bo stale zamartwiała się tym, jak bardzo Tyler się upije. Nie wierzył, kiedy tłumaczyła mu, że chodzi jej wyłącznie o jego dobro - aby na oczach wszystkich nie zrobił z siebie dumia. Miał rację, że jej nie wierzył. Myślała bowiem nie tylko o nim, ale również o sobie - o tym, że kiedy goście wyjdą, będzie musiała zaprowadzić do łóżka ślaniającego się na nogach męża.

Na szczęście dziś nie musiała się o to martwić. Tyler nie żył, a Aaron... nawet jeśli go niechcący uraziła, to cóż, nic strasznego się nie stało.

Kiedy ułożyła bułki w słomianym koszyku, kromki chleba na srebrnej tacce, wędliny, sery i pasztety na półmiskach, a obok pomidory, ogórki, sałatę, zawołała mężczyzn do środka. Weszli, spierając się zawzięcie o to, kto jest najlepszym koszykarzem wszechczasów. Właściwie nie wiadomo, dlaczego się spierali, bo obaj uważali, że jest nim Larry Bird.

- Pochodzi z Indiany - perorował Charlie. - To tłumaczy wszystko.

- Jednak najlepsze mecze rozgrywał w Bostonie. Musiał wyjechać z Indiany, żeby osiągnąć szczyt możliwości.

- Ale wrócił do Indiany! W Bostonie poznał tajniki gry, a potem wzbogacony o nowe doświadczenia i nową wiedzę wrócił do domu. Tak jak nasza Lily.

Ona wprawdzie nie osiągnęła w Bostonie żadnych szczytów, ale na pewno wróciła mądrzejsza i bardziej doświadczona, choć za to swoje doświadczenie przyszło jej słono zapłacić.

Widząc zachwyty, który pojawił się na twarzach obu mężczyzn, kiedy spojrzeli na zastawiony przekąskami stół, Lily uśmiechnęła się pod nosem. Ciekawe, co trzydziestokilkuletni nieżonaci mężczyźni jadają w domu na kolację? Usiedli przy stole w kuchni - było tu znacznie przytulniej niż w przestronnym salonie pod zawieszonym u sufitu wielkim mosiężnym żyrandolem - i zaczęli nakładać jedzenie na talerz.

Kiedy wyczerpali temat koszykówki i Larry'ego Birda, Lily postanowiła wrócić do sprawy urodzin swojej matki. Nadal potrzebowała jakiegoś pomysłu, a o Evie Mazerik nie zamierzała przecież wspominać.

- Słuchajcie, kochani, naprawdę musicie mi pomóc. Jak mam przekonać ojca, że sześćdziesiąte urodziny są ważnym wydarzeniem w życiu kobiety?

- Po prostu wytłumacz mu to - odparł Charlie. -Łopatologicznie. Mężczyźni bywają durnowaci, ale jeśli coś im się wyjaśni raz, drugi i trzeci, w końcu rozumieją. Jak myślisz, Aaron? Znasz ojca Lily, prawda?

- Znam.

Aaron podniósł do ust przygotowaną przez siebie kanapkę i wbił w nią zęby.

- I myślisz, że jak Lily będzie mu wierciła dziurę w brzuchu, to facet wreszcie zrobi co powinien?

- Doktor Bennett zawsze robi co powinien - odparł Aaron z lekko ironiczną nutą w głosie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Lily, ciekawa, jak przyjaciele postrzegają jej ojca.

- Nic. Po prostu zawsze postępuje właściwie. Tak jak należy. Składa wizyty domowe, sprowadza uśmiech na twarze chorych dzieci, jest na

bieżąc w sprawach medycyny, zna wszystkie najnowsze sposoby leczenia... - Aaron spoglądał na kanapkę z takim skupieniem, jakby fascynowały go jej składniki: indyk, szynka, ser. - Sumiennie wykonuje swoje obowiązki.

- I sądzisz, że tak potraktuje urodziny mamy? Jako obowiązek?

- Oby nie - wtrącił Charlie. - Powinien pomóc ci coś zaplanować. Nie dlatego, że musi, ale dlatego, że kocha żonę. - Przez chwilę przeżuwał z namysłem kanapkę. - Wiesz co? Powiedz mu, żeby kupił jej jakieś świecidełko. Najlepiej brylanty.

- Są na mojej liście - przyznała z uśmiechem Lily.

- I niech do końca życia spełnia wszystkie jej kaprysy. Mama będzie zachwycona.

- Na pewno. Zawsze spełniała życzenia ojca, więc niech teraz on odwdzięczy jej się tym samym. Co o tym myślisz, Aaron?

- Przynajmniej tyle się jej należy - odparł chłodno.

Lily wyczuła w nim jakąś zmianę. Wydawał się bardziej zamknięty w sobie, bardziej małomówny niż zwykle. Unikał jej wzroku, koncentrował się na jedzeniu. Z jakiegoś powodu wyraźnie nie chciał mówić o urodzinach Eleanor Bennett.

- Jestem za biżuterią - powiedziała, uznając, że czas najwyższy zmienić temat.

Kiedy rozmowa zeszła na inne tory, Aaron się ożywił. Miał parę uwag o letnim repertuarze kinowym, zastanawiał się, czy w tym roku jest większa plaga komarów niż w poprzednich latach, włączył się też do dyskusji o powodach nieobecności Jacoba Steele'a na pogrzebie ojca.

Głównie głos zabierali Charlie z Lily, ale Aaron nie siedział już taki milczący i spięty.

Lily miała ochotę dowiedzieć się czegoś więcej na temat stosunków łączących go z matką. Może zawarli rozejm, ale chyba ten rozejm nie do końca wszystko załatwił. Może Aaron wrócił do Riverbend nie dlatego, że kochał matkę, ale, że chciał spełnić swą synowską powinność. Może pod tym względem był taki sam jak Julian Bennett.

Pragnęła spytać go o przeszłość, o dzieciństwo, o burze, które przeszedł, i o wiry, które się w nim kotłują. Dowiedzieć się, w jaki sposób chłopak, który lekceważył dyscyplinę i nie słuchał żadnych poleceń, wyrósł na mężczyznę, który innym wydaje polecenia i narzuca dyscyplinę. A także, dlaczego przyjął jej zaproszenie na dzisiejszy wieczór, dlaczego patrzy na nią takim wzrokiem i czy pomyliła się, wierząc, iż są przyjaciółmi.

Na deser zamierzała podać lody, ale żaden z trzech smaków, które kupiła, nie wywołał entuzjazmu Charliego. Wstał od stołu, mówiąc, że musi już iść, bo ma mnóstwo pilnej pracy w domu. Podziękował Lily za kolację i obiecał, że jeśli przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł na prezent dla jej mamy, to na pewno zadzwoni. Cmoknąwszy ją w policzek, skierował się do wyjścia.

Lily odprowadziła go do drzwi. Zamknąwszy je, westchnęła cicho. Kiedy odwróciła się, zobaczyła Aarona stojącego na drugim końcu holu. Dostatecznie długo znała Charliego, by wiedzieć, że nie ma żadnych niecierpiących zwłoki zajęć w domu, którym musi się natychmiast poświęcić. Wyszedł wcześniej, ponieważ wyczuł coś w powietrzu, jakieś iskry przelatujące między nią a Aaronem. A zadzwonić zadzwoni, może istotnie

z pomysłem na prezent urodzinowy, ale bardziej prawdopodobne, by spytać, co ją łączy z Aaronem.

Gdyby ją indagował o to dziś, nie umiałaby udzielić mu odpowiedzi, bo sama jej nie znała. Wiedziała tylko, że tak jak wtedy, kiedy stała z Aaronem w kuchni, kuchnia wydawała jej się mniejsza, tak teraz hol wydawał jej się krótszy. Czują, że przyciąga ich jakaś niewidzialna siła.

Wpatrywali się w siebie tak długo, że znów poczuła na plecach mrowienie. Mnóstwo się zmieniło w ciągu piętnastu lat, odkąd skończyli szkołę, ale nie zmienił się ten dreszcz pożądania, który ją przeszywał, ilekroć widziała Aarona. Przeszywał nawet wtedy, gdy była nastoletnią dziewczyną, zbyt naiwną i niedoświadczoną, by myśleć o seksie.

- Ja też powinienem już pójść.

- Nie! Zostań jeszcze.

Nie chciała się z nim żegnać. Wiedziała, że uraziła go swoją dociekliwością, pytaniami o matkę, więc zależało jej na tym, aby jakoś naprawić sytuację. Bała się, że jeżeli wyjdzie zły, ich przyjaźń może na tym ucierpieć.

- Chcę ci coś pokazać...

W jego oczach dojrzała wahanie. Przemknęło jej przez myśl, że z jakiegoś powodu nie chce być z nią sam na sam. Ale nie zamierzała pozwolić mu odejść. Pragnęła jego przyjaźni. Był jedyną osobą w Riverbend, która potrafiła ją zrozumieć. Bądź co bądź też miał grzechy na sumieniu, a jednak zmienił się i wyszedł na prostą. Jego przykład napawał ją optymizmem, pozwalał wierzyć, że jej też się uda.

A zatem nie miał wyboru. Musiał zostać, dopóki ona się nie przekona, że nic nie zagraża ich przyjaźni.

Skierowała się w stronę schodów. Aaron zmrużył oczy, zacisnął usta i ruszył za nią bez słowa. Wspiął się stopień po stopniu niczym skazaniec kroczący na ścięcie.

O czym myślał? Czego się spodziewał? Czy zdawał sobie sprawę, jakie uczucia w niej wzbudza? Może obawiał się, że będzie próbowała zaciągnąć go do łóżka i uwieść? Ona zaś miała całkiem inne plany, lecz to, co i chciała mu pokazać, wymagało nie mniejszej odwagi

Nie zapaliła światła na schodach ani w holu na piętrze; pomimo że słońce powoli chyliło się ku zachodowi, było jeszcze dość widno. Nie oglądając się za siebie - głównie ze strachu, że Aaron zmienił zdanie i postanowił jednak zawrócić - szła w stronę mieszczącej się na końcu korytarza sypialni, którą przerobiła na studio. Był to najjaśniejszy pokój w całym domu, narożny, z oknami w dwóch ścianach. Dopiero gdy weszła do środka, odwróciła się, sprawdzając, czy Aaron za nią idzie.

Niemal deptał jej po piętach. Minąwszy próg, rozejrzał się wkoło. Zobaczył kilka lamp, sztalugi, długi stół do pracy, wygodny stołek; żadnych innych mebli nie było. Wzdłuż jednej ściany stały naciągnięte na blejtramy, zagruntowane płótna; jedno, z delikatnym szkicem wykonanym węglem, stało na sztalugach. Na stole leżały nowo zakupione farby akrylowe, kilka starych palet do mieszania kolorów, słoiczki, pędzle, szpachelki, puszka rozcieńczalnika.

- To twoja pracownia - oznajmił, stwierdzając fakt oczywisty.

- Tak. I jak widzisz, schowałam akwarele. Zaczynam malować akrylami.

Przesunął wzrokiem po tubkach farby.

- Akryle mają bardziej intensywne kolory - wyjaśniła. - Można malować nimi znacznie bardziej wyraziście. - Uśmiechnęła się. - Ryzykownie.

Zbliżywszy się do sztalug, spojrzął na rysunek wykonany węglem. A właściwie na zarys rysunku. Na podstawie tych kilku kresek trudno było się domyślić, co obraz będzie przedstawiał. Zresztą, gdyby Aaron oglądał nie szkic, lecz skończone dzieło, przypuszczalnie też nie dojrzałby na nim pola kukurydzy. Lily wyobrażała je sobie następująco: podłużne zielone, brązowe i czarne pociągnięcia, nocne niebo, płaski horyzont. Styl impresjonistyczny, prawie abstrakcja. Dopiero z pewnej odległości od płótna wszystko nabierałoby ostrości.

- Nie jest to martwa natura - rzekła.
- To dobrze. - Aaron przechylił w bok głowę. -A co?
- Nie powiem. Przekonasz się, kiedy skończę.
- W porządku.

W pracowni, którą przez większą część dnia zalewało światło słoneczne, powoli zapadał mrok. Lily zawahała się. Mogła zapalić lampkę stojącą obok sztalug, ale nie bardzo miała na to ochotę. Podobał jej się sposób, w jaki cienie kładły się na twarzy Aarona, to, jak podkreślały jego rysy, uwydatniały linię nosa, brody, kości policzkowych.

Powiódł wzrokiem po zagruntowanych płótnach wspartych o ścianę, po tubkach farby na stole i zatrzymał spojrzenie na sztalugach. Wreszcie napotkał jej oczy.

- Cieszę się, że zrezygnowałaś z akwareli na rzecz akryli - oznajmił. - Ale nie miałem prawa krytykować obrazka, który malowałaś tamtego dnia na werandzie. Naprawdę nie znam się na sztuce.

- Twoje słowa skłoniły mnie do działania.
- Nie powinienem był zabierać głosu. Postąpiłem niegrzecznie.
- Czasem trzeba. To znaczy postępować niegrzecznie. Wbrew

regułom.

Dziesięć czy piętnaście lat temu na pewno by czegoś takiego nie powiedziała. Rok temu też nie. Ale teraz... teraz poznała Aarona, który ciągle łamał reguły, i była to jedna z rzeczy, które najbardziej w nim podziwiała. Odwaga.

- I taki będzie twój obraz? - spytał, wskazując na płótno. -

Niegrzeczny?

- Nie wiem. Jeszcze go nie namalowałam.

Ruszyła do drzwi. Kiedy szli korytarzem do schodów, a potem na dół, Aaron wydawał się znacznie bardziej odprężony.

- To może jednak lody, co? - zaproponowała, kiedy dotarli na parter.

- Chyba że wolisz piwo?

- Z przyjemnością wypiłbym jeszcze jedno - odparł.

Uśmiechnęła się w duchu. To oznacza, że zamierza jeszcze parę minut posiedzieć. Nawet bez Charliego, który służył za bufor, gotów jest zostać trochę dłużej.

W kuchni wyjęła z lodówki kolejną butelkę piwa, a sobie dołała mrożonej herbaty. Wyszli na werandę za domem. Było co najmniej pięć stopni chłodniej niż za dnia, a chylące się ku zachodowi słońce barwiło niebo na różowo.

Lily usadowiła się w jednym wiklinowym fotelu, Aaron w drugim.

- Przepraszam, że tak szybko wyciągnęłam wnioski.

Podniósł pytająco brwi, ale nic nie powiedział.

- W sprawie twojej matki - wyjaśniła.

- Nieważne. - Wzruszył ramionami. - Nic się nie stało.

- Wiesz, ja... - pociągnęła łyk herbaty. - Ja wróciłam do Riverbend z własnych egoistycznych pobudek. Ty wróciłeś ze względu na matkę.

Milczał.

- Taka decyzja wiąże się z ogromną zmianą w życiu człowieka.

Przecież gdzieś wcześniej mieszkałeś, miałeś znajomych, pracę...

Ponownie wzruszył ramionami.

- Miałem - przyznał. - Ale obecna znacznie bardziej mnie satysfakcjonuje.

- Trenujesz drużynę koszykówki, prawda? Ale masz też etat psychologa.

- Tak, zajmuję się dziećmi z problemami - odparł. - To samo robiłem w Indianapolis, zanim przyjechałem do Riverbend. Pracowałem w klubie młodzieżowym, uczyłem chłopaków gry w kosza i starałem się uchronić ich przed kłopotami. - Uśmiechnął się szeroko. - Z początku traktowali mnie jak prowincjusza, jak naiwniaka, który przyjechał z zabitej dechami dziury i próbuje im rozkazywać. Szybko się przekonali, że nie ma ze mną żartów.

Usiłowała go sobie wyobrazić jako „naiwniaka” z prowincji trenującego grupę miejskich rozrabiaków. Podejrzewała, że kiedy dorastał w Riverbend, bez przyjaciół, bez oparcia w rodzinie, było mu tak samo ciężko jak jego młodym podopiecznym z Indianapolis, i wyrobiło w nim równie silny instynkt przetrwania.

- Podobało ci się życie w dużym mieście?

- Bo ja wiem? - Wypiwszy łyk, oparł butelkę o kolano i utkwiał wzrok w koronie drzew. - Chyba tak. Przynajmniej różniło się od życia w Riverbend. - Uśmiech, który jej posłał, nieco złagodził gorycz, jaką słyszała w jego słowach.

- Pewnie prowadziłeś bujne życie towarzyskie - powiedziała, po czym ugryzła się w język.

Popatrzył na nią spod oka.

- Przez dłuższy czas byłem związany z jedną kobietą, jeśli o to pytasz. Ale kiedy zdecydowałem się na powrót do Riverbend, ona odmówiła. Nie chciała wyjeżdżać z Indianapolis.

- A ty mimo to wróciłeś? - spytała zdumiona. - Zerwałeś z kobietą, żeby przyjechać do domu i zaopiekować się chorą matką?

Potrząsnął głową.

- Przyjechałem, żeby się upewnić, czy matka ma odpowiednią opiekę. Zostałem jednak z powodu Drummera. Tylko i wyłącznie z powodu Wally'ego Drummera.

- Tak bardzo zależało ci na prowadzeniu drużyny?

- Nie o to chodzi. Drummer... On uratował mi życie. Dla tego faceta zrobiłbym wszystkim. Skoczyłbym dla niego w ogień. Na szczęście nie żądał tego ode mnie. Poprosił jedynie, żebym przejął jego obowiązki trenerskie. Nie wahałem się.

Słońce skryło się za horyzontem, zabierając z sobą resztkę światła. Rozległo się chóralne cykanie świerszczy. Przy żywopłocie ciągnącym się wzdłuż ogrodu migotały robaczki świętojańskie. Lily zamyśliła się. Już jako dziecko uwielbiała ciepłe dni i nieco chłodniejsze wieczory w Riverbend, balsamiczne powietrze orzeźwiający wiaterek. Nikt nie musiał

jej namawia ani przekonywać, aby wróciła do tego uroczego za kątką. Tu było jej miejsce i tu czuła się jak w domu mimo że była całkiem inną osobą od tej, która wyje chała przed laty.

- Cieszę się, że postanowiłeś tu znów zamieszkać

- Cieszyła się również ze względu na siebie. Pomijając fakt, że Aaron pociągał ją jako mężczyzna, była zadowolona, że ma w pobliżu kogoś, kogo lubi, z kim dobrze się czuje, kogoś, z kim może siedzieć wieczorem na werandzie za domem, śmiejąc się, rozmawiają i sącząc piwo. - Gdyby nie ty, Aaron, nadal ukrywałabym się przed światem.

- Dlaczego? Przecież nie masz żadnego powoli - powiedział delikatnie. - Zdradziłaś mi swoją tajemnicę, Lily. I wierz mi, ona wcale nie jest taka straszna

- Znasz tylko jedną, a mam ich więcej.

Obrócił się, tak by widzieć jej twarz. Cały czas była świadoma jego obecności, siły, urody i męskości. Włosy miał zbyt długie, brodę zbyt ostro zarysowaną, uśmiech zbyt łagodny jak na człowieka, który nie zaznał w życiu wiele dobroci.

Niezależnie od tego, jakich grzechów dopuścił się w młodości, na pewno nie miał na sumieniu czegoś tak potwornego jak ona. Lily Bennett Holden, ukochana córeczka tatusia, dziewczyna z dobrego domu, uważana przez wszystkich w miasteczku za chodzący ideał, tylko sprawiała wrażenie osoby porządnej, a w rzeczywistości...

- Powiedziałaś, że twój mąż był pijakiem - ciągnął Aaron. - To, że nie rozpaczasz po jego śmierci, nie jest żadnym przestępstwem. Wierz mi.

- Ja go zabiłam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez chwilę słyszał jedynie cykanie świerszczy oraz głos Lily, który dudnił w jego głowie niczym echo w górach: „Ja go zabiłam, ja go zabiłam”.

Zabiła męża? Tego nędznego pijaka? Świetnie. Brawo.

Brawo? Trochę go przeraziły własne myśli. Bądź co bądź, w jego i Lily żyłach płynęła ta sama krew. Mieli podobne geny odziedziczone po doktorze Ben-netcie.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Mówię to poważnie.

Zastanawiał się, dlaczego tak naprawdę go dzisiaj zaprosiła. Po to, by uczcić święto narodowe? By pokazać, jaką jest wspaniałą gospodynią? Czy raczej po to, aby zrzucić ciężar z serca? Z jakiegoś powodu traktowała go jak swojego spowiednika, zwierzała mu się z tajemnic, których nikomu innemu nie zdradzała. O tym, co ją trapi, mogła porozmawiać z wielebną pastor Lynn Kendall lub jakimkolwiek innym przedstawicielem kościoła. Nie wiedzieć czemu, wybrała jego -Aarona.

- W porządku. Zabiłaś męża - rzekł, powtarzając jej słowa, jakby chciał sprawdzić, czy brzmią wiarygodnie.

Skinęła głową; oczy miała spuszczone, palce kurczowo zaciśnięte na szklance.

- Policja bostońska o tym wie?

- Tyler nie umarł w Bostonie - odparła drżącym głosem. - Zmarł w Cohasset. To nieduże miasteczko na południe od Bostonu. Nie, policja o niczym nie wie. Nikt nie wie, że go zabiłam.

- Oprócz mnie - stwierdził, zdziwiony własną reakcją, tym, jak spokojnie to wszystko odbiera.

Ale po chwili przestał się dziwić. Przecież to absurd. Lily nie mogłaby nikogo zabić.

- Tak, oprócz ciebie. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu to powiedziałam. - Westchnęła i podniosła lśniące od łez oczy. - Nienawidzisz mnie?

- Nie. A to dlatego, że ci nie wierzę.

- Był pijany - zaczęła zdławionym głosem. - Nawet bardziej niż zwykle. Wszedł do sypialni, a ja... wyrzuciłam go. Nie mogłam... - Na moment zamilkła. - Nie chciałam, żeby mnie dotykał. Brzydziłam się go. Kazałam mu się wynosić.

Słusznie, uznał Aaron.

- Słyszałam, jak schodzi na dół. Myślałam, że zamierza pooglądać telewizję albo przejść się, żeby alkohol wywietrzał mu z głowy. Albo... Sama nie wiem. Prawdę mówiąc, było mi wszystko jedno, co zrobi, byleby tylko nie władował mi się po pijaku do łóżka. - Rozległo się kolejne westchnienie. - Kiedy zorientowałam się, że jest w garażu, było za późno. Usłyszałam warkot silnika. Ledwo trzymał się na nogach, widział podwójnie, a jednak wsiadł do samochodu i wyjechał na ulicę. Gdybym nie wyrzuciła go z łóżka, nie prowadziłby po pijanemu.

Pewnie nie, przyznał w duchu Aaron; rozumiał, dlaczego czuła się odpowiedzialna za wypadek męża, ale to naprawdę nie była jej wina. Miała prawo nie dopuścić do siebie nietrzeźwego męża.

- Przecież nie wiedziałaś, że usiądzie za kierownicą. Nie ty piłaś, Lily, nie ty prowadziłaś po pijanemu i nie ty spowodowałaś wypadek.

- A gdyby kogoś potrącił? Albo przejechał? Zamiast wpaść na drzewo, równie dobrze mógł wpaść na inny samochód. Barman, widząc klienta w takim stanie, miałby wręcz obowiązek zabrać mu klucze. -Była zbyt zmęczona, żeby płakać. Zbyt smutna. Zbyt zagubiona. - Powinnam była go powstrzymać, Aaron. Powinnam była schować mu kluczyki. A ja tego nie zrobiłam.

Zbliżył do ust butelkę piwa. Przez moment trzymał płyn na języku, rozkoszując się goryczką. Musiał przyznać, że w tym, co Lily mówi, jest sporo racji. Może rzeczywiście powinna była schować kluczyki?

Nie był laikiem; wiedział, co to znaczy wziąć na siebie odpowiedzialność, wiedział też, jak udzielić pomocy innym, gdy przeżywają załamanie lub kryzys. Miał dyplom z psychologii, a za sobą wiele lat pracy z trudną młodzieżą. Znał się na swojej robocie.

- Ktoś, kto upija się tak jak Tyler, dąży do samozagłady - rzekł, starając się mówić tonem przyjaciela, a nie wszystko wiedzącego zarozumialca. - Rozumiesz? Alkoholizm to choroba, picie zaś to styl życia. Wiesz, na czym polega różnica?

Popatrzyła na niego zaskoczona. Najwyraźniej nie spodziewała się wykładu, po chwili jednak odprężyła się.

- Alkoholizm to sprawa organizmu i chemii - kontynuował Aaron. - Wielu alkoholików nie bierze do ust ani kropli i funkcjonuje zupełnie

normalnie. Z kolei wielu ludzi, którzy nie są alkoholikami, upija się tak, że w ogóle nie jest w stanie funkcjonować. Nie wiem, czy twój mąż był alkoholikiem czy nie, ale pił stanowczo za dużo. Takiego dokonał wyboru, za takim opowiedział się stylem życia.

Siedziała skupiona, zasluchana; nagle w jej oczach rozbłysła nadzieja. Na co liczyła? Że ją rozgrzeszy? Sprawí, że sama przestanie się obwiniać?

- Twój mąż był człowiekiem nieszczęśliwym i przygnębionym, który swoim zachowaniem dążył do samounicestwienia. Taka postawa nie jest mi obca, Lily. Jako dzieciak często robiłem to samo.

- Ale... Nie, ty nigdy...

- A właśnie, że tak. Ale nie rozmawiamy o mnie. Rozmawiamy o Tylerze.

- Myślałam, że on pije, bo wie, że to mnie boli.

Aaron stłumił w sobie gniew. Nie mieściło mu się w głowie, aby ktoś świadomie mógł chcieć skrzywdzić Lily. Osobę tak dobrą, szlachetną...

- Nie ulega wątpliwości, że robił ci na złość, ale gdyby chodziło mu wyłącznie o to, żeby sprawiać ci ból, znalazłby inny sposób, mniej uciążliwy i destruktywny dla siebie samego. Twoje niezadowolenie to jakby produkt uboczny. Głównym celem Tylera była samozagłada.

- Tak sądzisz?

Aaron skinął głową.

- A jego decyzja, żeby wjechać w drzewo...

- Co ty mówisz! - oburzyła się. - To nie była żadna decyzja. Tyler był zbyt pijany, żeby o czymkolwiek decydować. To był wypadek.

Aaron popatrzył na nią bez słowa, lecz nie musiał nic mówić, bo wyczytała wszystko z jego twarzy.

- Uważasz, że to nie był wypadek?

- Jak już powiedziałem, uważam, że miał pragnienie śmierci, że dążył do samozniszczenia. Skoro jadąc pustą szosą, rozbił się na drzewie... Nie, Lily, jestem pewien, że to nie był wypadek. Tyler miał inne opcje. Dokonał wyboru.

Siedziała zadumana, z pochyloną głową, z zamkniętymi oczami, z nogami - jak przystało na panienkę z dobrego domu - grzecznie złączonymi. Gdyby, pomyślał Aaron, udało mu się przekonać ją, że niesłusznie się obwinia za śmierć męża, jego powrót do Riverbend nabrałby jeszcze większego sensu. Wrócił ze względu na Drummera, cieszył się, że może odwdzińczyć się staruszkowi za jego pomoc, w tym momencie jednak ponad wszystko pragnął ocalić Lily - ocalić przed smutkiem, przed wyrzutami sumienia, przed niepotrzebnym stresem.

Nie był pewien, kiedy przestał czuć do niej niechęć, a zaczął pragnąć jej szczęścia. Tak naprawdę to jego nienawiść była totalnie irracjonalna. Lily nigdy mu się niczym nie naraziła - poza tym, że była córką doktora Bennetta. A trudno mieć o to do niej pretensje; podobnie jak Tyler, doktor Bennett świadomie dokonał w życiu pewnych wyborów, za które jego córka nie ponosiła odpowiedzialności. Równie dobrze można by ją winić za to, że ma jasne włosy czy śliczne, delikatne usta.

Drgnęła, jakby niespodziewanie obudziła się z transu. Otworzywszy oczy, uśmiechnęła się. Był to najsmutniejszy uśmiech, jaki Aaron kiedykolwiek widział.

- Na początku naprawdę bardzo się kochaliśmy -powiedziała.

- Wiem - rzekł i widząc jej zdziwione spojrzenie, wyjaśnił: - Nie byłabyś z nim tak długo, gdyby nic was nie łączyło. Dawno byś odeszła.

- Może. Nie wiem. - Wypuściła powietrze. - Tyler. .. był taki mądry. Taki szczodry. Ciągłe mi mówił, że mnie kocha. Że nigdy nie spotkał równie cudownej kobiety jak ja.

- Miał rację.

W jej spojrzeniu odmalowało się lekkie rozbawienie.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry, Aaron?

- Dobry?

- Dlatego, że wsparłam twój fundusz dla dzieci?

O mało nie upuścił butelki.

- Bynajmniej - odparł, zastanawiając się, czy Lily słyszy irytację w jego głosie. - Mnie nie można kupić.

- Przepraszam, nie chciałam... - Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. - Boże, aż strach pomyśleć, ile razy zdołałam cię dzisiaj urazić. To cud, że jeszcze tu siedzisz. Że nie wyszedłeś, trzaskając drzwiami.

- Nie uraziłaś...

- Nie? A wcześniej, kiedy spytałam cię o twoją mamę? Nie powinnam była nic z góry zakładać. Niestety, zawsze przemawia przeze mnie niepoprawna optymistka. Kiedy usłyszałam, że wróciłeś do Riverbend zając się chorą matką, automatycznie uznałam, że postąpiłeś tak z miłości.

- Może i z miłości - mruknął. - Kto wie?

- Więc kochasz matkę?

- Jasne, że tak. - Teraz z kolei on westchnął. - Denerwuje mnie jak cholera, ale nikogo poza nią nie mam.

- Podejrzewam, że jest z ciebie bardzo dumna.

Skinąwszy głową, odwrócił wzrok. Owszem, była z niego dumna.

Na swój sposób pewnie nawet go kochała. Ale podobnie jak Tyler Holden i Julian Bennett,

Evie Mazerik podejmowała w życiu decyzje, nie oglądając się na to, jaki będą miały wpływ na innych.

Postanowiła, na przykład, nigdy nie wyjawić synowi prawdy o nim samym. Nie znał swojego ojca, nie wiedział, kto nim jest. Matka wychowywała go samotnie. Stanowczo odmawiała wyjaśnień. Mimo wielu prób nie udało mu się nic wskórać.

Kochał matkę, a jednocześnie nienawidził za ten bezsensowny upór.

Wypił do końca piwo, postawił butelkę na stole i dźwignął się z fotela. Wyciągnął Lily z chandry, ale czuł, że sam popada w przygnębienie. W tej sytuacji uznał, że lepiej będzie pożegnać się i wyjść.

- No, pora na mnie.

Poderwała się na nogi i uśmiechnęła z zażenowaniem.

- Przepraszam, pewnie masz mnie za najgorszą gospodynię na świecie.

- Rzadko gdziekolwiek bywam, więc nie mam skali porównawczej - rzekł z uśmiechem. - Ale moim zdaniem, spisałaś się całkiem nieźle. Tylko powinnaś przestać wszystkich za wszystko przeproszać.

Rozpromieniła się.

- Miły jesteś, Aaron. I ogromnie tolerancyjny. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek inny tak cierpliwie znosił moje humory...

- Tolerancja nie ma tu nic do rzeczy.

Po prostu lubił Lily, lubił z nią przebywać, lubił z nią rozmawiać, lubił na nią patrzeć. Jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Dlatego że była śliczna. Dlatego że mimo dziesięciu koszmarnych lat małżeństwa zachowała świeżość i niewinność. Dlatego że nie stała się cyniczna.

Podniosła oczy.

- Nie? A co ma? - spytała.

To, że kiedy na mnie patrzysz, nie potrafię oderwać od ciebie wzroku. To, że jesteś moim ideałem kobiety, że cię pragnę, lecz nie mogę mieć. Oczywiście, nie powiedział tego na głos. Zanim się zorientował, co się dzieje, Lily wspięła się na palce i pocałowała go lekko w usta.

Nie! - chciał zaprotestować, ale nie był w stanie. Słowa sprzeciwu uwięzły mu w gardle.

Czuł jej zapach, delikatny, kwiecisty. Stała tak blisko. .. Zacisnął ręce w pięści, z całej siły powstrzymując się, by jej nie dotknąć. Pragnął wsunąć dłoń w jej miękkie, jedwabiste włosy. Pragnął gładzić ją po ramionach, po plecach, przytulić do siebie i namiętnie całować.

Nie!

Znów stanęła na palcach, ręce dla równowagi oparła na jego ramionach, zbliżyła usta... Tylko manekin by nie zareagował. Aaron zaś był mężczyzną z krwi i kości; każda komórka w jego ciele drżała z podniecenia. Nie potrafił ustać spokojnie, utrzymać przy sobie rąk. Ujął nimi twarz Lily, delikatnie odchylił jej głowę i pocałował ją. Tak jak o tym marzył tego dnia, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, tak jak o tym marzył codziennie od tamtej chwili. Przywarł mocno ustami do jej ust, po czym rozchylił je językiem. Z jego gardła wydobył się jęk bólu, a zarazem rozkoszy. Gdyby całując ją, niczego nie odczuwał, żadnej żądzy, tęsknoty,

pragnienia, wówczas jego obsesja osłabłaby, a on sam mógłby dalej wieść normalne życie. Niestety...

Lily, kobieta jego marzeń. Dziewczyna, o której całe życie fantazjował. Siostra...

- Boże! - Cofnął się o krok. - Przestań.

Mówił do siebie, nie do niej, ale ona tego nie wiedziała. Odskokczyła jak oparzona. Policzki miała zarumienione, nie był jednak pewien, czy z podniecenia, czy też ze wstydu.

Chwiejnym krokiem podszedł do poręczy, zacisnął na niej ręce i pochylił się, wystawiając twarz na chłodne nocne powietrze. Wszystko się w nim kotłowało. Miał nadzieję, że nie zwymiotuje. Nadal pożądał Lily - i na samą myśl o tym go mdliło.

Na miłość boską, była jego siostrą.

Cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Wsłuchiwał się w nią, dopóki oddech mu się nie wyrównał i bicie serca nie uspokoiło, dopóki ręce nie przestały drżeć, a pustki nie wypełniło głośne cykanie świerszczy.

- Za to też mam nie przepraszać? - spytała szeptem Lily.

Była przygnębiona, lecz pogodzona z losem, jakby to, iż ją odtrącił, uważała za coś naturalnego i nieuniknionego, a siebie miała za największą nieudacznicę na świecie.

- Nie przepraszaj - powiedział ochrypłym głosem.

- To nie twoja wina.

- A czyja?

Nie miał odwagi odwrócić się, popatrzeć jej w oczy, wiedział bowiem, co w nich ujrzy: pretensję, żal, rozczarowanie - nie nim, lecz samą sobą.

- Moja - oznajmił z wzrokiem utkwionym w róże, które po zapadnięciu zmroku miały srebrzystą barwę.

- To moja wina.

- Dlaczego? Nic na to nie poradzisz, jeżeli cię nie pociągam.

- Pociągasz mnie, Lily. Nawet nie wiesz, jak bardzo. - Jeszcze żadne wyznanie nie sprawiło mu tyle bólu. - Ale... po prostu nie mogę.

- Co nie możesz? Całować się ze mną? - spytała zdumiona. -
Dlaczego?

Nie potrafił jej powiedzieć, że jest jego siostrą. Nie teraz. Zwłaszcza gdy nie miał żadnych konkretnych dowodów, jedynie silne podejrzenia i przeczucie.

- Nie mogę i już.

Zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, a on jeszcze raz wbić jej nóż w serce, puścił poręcz, zszedł po schodach do ogrodu i ruszył wokół żywopłotu do zaparkowanego przed domem samochodu. Po chwili na zwirowanym podjeździe zaskrzypiały opony.

Wiedziała, że nie zaśnie, więc nawet nie kładła się spać. Po uprzątnięciu naczyń w kuchni przebrała się w starą koszulę i dżinsy, nastawiła płytę Dona Henleya - kolekcję piosenek o kochankach, którzy popełniają błędy, ranią się, potem od siebie odchodzą i dalej wędrują przez życie opuszczeni i samotni. Z muzyką grającą w tle usiadła przy sztalugach.

Wycisnęła z tubki nieco brązu, dodała trochę zieleni, zmieszała je i uzyskawszy jednolitą masę, zaczęła nanosić ją szpachelką na płótno. Lampa halogenowa, którą zapaliła po wejściu do pracowni, dawała

znacznie więcej światła niż słońce w południe. Zapach farb wypełniał powietrze.

Malowała rodzinne strony. Indianę. Rozległe przestrzenie, ciągnące się po horyzont pola kukurydzy, świat posepny, niegościnnie. Zwisające kolby, połamane łodygi, pożółkłe niebo.

Powtarzała sobie w duchu, że nie będzie płakać. Nie będzie płakać z powodu zaprzepaszczonych szans, z powodu farsy, w jaką przemieniło się jej małżeństwo, z powodu dziesięciu straconych lat, kiedy próbowała zaprowadzić ład w swoim życiu, z powodu bólu, odniesionych ran i tej ostatecznej tragedii - śmierci Tylera. Nie będzie płakać z powodu nieumiejętności odnowienia starych przyjaźni i nawiązania nowych.

Nie będzie płakać z powodu Aarona. Podjęła ryzyko, pocałowała go, a on ją odtrącił. Trudno. Nie będzie płakać. Ani jedna łza nie spłynie jej po policzku.

Ile można znieść niepowodzeń? Ile blizn ukryć? Jaka jest wytrzymałość człowieka? Ile razy można upadać i się podnosić, zanim zabraknie sił?

Powiedział, że ona mu się podoba, że go pociąga.

Przez moment wpatrywała się w wyciśniętą z tubki farbę w kolorze musztardy. Dodała do niej trochę zieleni. Zmieszawszy farby, otrzymała odcień wyschniętego zboża. Zadowolona z barwy, przeniosła ją na płótno.

Podobała mu się, tak powiedział, chociaż nie musiał nic mówić. Sama to wyczuła, kiedy wziął ją w ramiona. Tak, przez kilka cudownych chwil, kiedy ją całował, wszystko było jasne. Żądze wyrażał wargami, oddechem, dotykiem rąk, ciała.

Nawet Tyler nie reagował w ten sposób na jej bliskość, przynajmniej od dłuższego czasu. Parę ostatnich lat ich małżeństwo przypominało łądygi kukurydzy, którymi zapełniała teraz płótno na sztalugach: było szare, ponure, przygnębiające. Kiedy kładli się wieczorem do łóżka, zazwyczaj Tyler był zbyt pijany, aby chciał się kochać; kiedy dobierał się do niej mimo stanu upojenia, zwykle zaciskała zęby i ulegała mu, żeby uniknąć awantury. Aż do ostatniego wieczoru, kiedy nie mogąc tego dłużej znieść, przepędziła męża z łóżka.

Aaron nie do końca ją przekonał, że nie ponosi odpowiedzialności za śmierć Tylera, ale sprawił, że poczuła się trochę mniej winna. Wcześniej wydawał się jej niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Po tym, co dziś powiedział, po prostu nie umiała mu się oprzeć. Człowiek, który słowami potrafi zagoić rany, uśmierzyć cierpienie...

W kimś takim mogłaby się zakochać.

Ale on nie zamierzał jej na to pozwolić. Zaczęło się tak sympatycznie, od lekkiego pocałunku, i nagle... Nagle Aaron wzdrygnął się i uciekł. Mężczyzna, który skrytykował ją za akwarelę, czyli za brak odwagi w sztuce i życiu, zachował się jak tchórz: na widok niebezpieczeństwa wziął nogi za pas i zwiął.

Cofnęła się dwa kroki, aby z nieco większej odległości spojrzeć na obraz. Muzyka dawno ucichła w domu zalegała cisza. Postronny widz, który by nie wiedział, co chciała namalować, nigdy by nie odgadł, co obraz przedstawia. Płótno pokrywały łądygi, poskręcane i pogięte, jakby przed chwilą złamały się pod naporem letniej burzy gradowej. Niebo miało dziwnie fioletowy kolor. Zdała sobie sprawę, że stworzyła bardzo smutne dzieło wyrażające żal za czymś, co minęło. Żal i gniew.

Był to zdecydowanie najbardziej uczciwy obraz w jej życiu.

- Cześć, mamó.

Było w pół do dziewiątej rano. Zasnęła w pracowni na podłodze; po paru godzinach obudziły ją wpadające przez okno promienie słońca. Uniosła powieki. Kiedy oczy przywykły jej do jasności, usiadła i zaczęła masować sztywny, obolały kark. Nagle zatrzymała wzrok na obrazie.

Wciąż wyrażał to samo co wczoraj, gniew, smutek, żal, i wciąż uczciwie odzwierciedlał jej życie, ale dziś dojrzała w nim coś więcej, coś, co wczoraj przeoczyła: kilka prostych zielonych źdźbeł.

Jeżeli obraz faktycznie stanowił jej wewnętrzne odbicie, te zielone źdźbła oznaczają, że coś się w niej jeszcze tli. Że jeszcze nie umarła.

Wstała z podłogi i przeszła do łazienki, gdzie wzięła długi, gorący prysznic. Rytmicznie uderzający strumień wody do końca rozmasował jej napięte mięśnie. Następnie zaparzyła sobie filiżankę mocnej kawy. Miała dziwne poczucie rozdwojenia, jakby jedną nogą była w Riverbend, a drugą w świecie marzeń, w którym wszystko jest możliwe. Cóż, może wiedzie ponure, smętne życie, lecz przynajmniej nie grozi jej nuda.

Postanowiła wpaść do matki, która w swoim czasie również uchodziła za jedną z najładniejszych dziewczyn Riverbend i która nigdy nie zawiodła niczyich oczekiwań. Wprawdzie nie były sobie zbyt bliskie w okresie, gdy Lily dorastała, ale to nie znaczyło, że tak ma pozostać na zawsze. Teraz, kiedy obie były dorosłe, mogłyby się zaprzyjaźnić. Eleanor przypuszczalnie miała wiedzę i mądrość życiową, którymi mogłaby się podzielić z córką. W każdym razie Lily bardzo by się przydały jej rady.

Zastała matkę w szlafroku, nie uczesaną i nie umalowaną. Przyszło jej do głowy, że zapewne dopiero od dziewiątej ludzie w cywilizowanym

świecie składają sobie wizyty. Ona jednak była członkiem rodziny. Nie musiała uprzedzać, że wpadnie, matka z kolei nie musiała się stroić na jej przyjście.

- Lily! Witaj, kochanie! - Promienny uśmiech na twarzy matki najlepiej świadczył o tym, jak bardzo cieszy się na widok córki. - Obawiam się, że nie zastałaś tatusia. Parę minut temu wyszedł do pracy.

Lily poczuła wyrzuty sumienia: do tej pory wpadała głównie po to, żeby zobaczyć się z ojcem, co oczywiście nie uszło uwagi Eleanor.

- Nie szkodzi. Chciałam porozmawiać z tobą. Na twarzy matki odmalowało się zdumienie, które po chwili zastąpiła radość.

- Wejdz, kochanie. - Otworzyła szerzej drzwi. - Pewnie masz mnie za strasznego śpiocha i leniucha, co? Już prawie dziewiąta, a ja wciąż nie ubrana...

- Nie tłumacz się, mamó. To twój dom i masz prawo robić w nim, co chcesz.

Weszła za matką do zalanej słońcem kuchni.

Prawie nic się tu nie zmieniło, odkąd wyprowadziła się od rodziców. Nadal było jasno, czysto i pogodnie; szafki z drzewa sosnowego lśniły złociście w blasku promieni słonecznych, kamiennej podłogi nie znaczył najmniejszy pyłek. Eleanor Bennett stać było na opłacenie służącej, która by sprzątała, pastowała, polerowała. Ale nigdy żadnej nie zatrudniała. Uważała, że obowiązkiem żony jest dbanie o męża, aby miał miłe, wygodne i uporządkowane życie. Jeszcze nie zamierzała przechodzić na emeryturę i rezygnować ze swych powinności.

- Kawy?

- Chętnie.

Ciało wciąż miała obolałe i zaspane - kilka godzin snu na podłodze stanowczo jej nie wystarczyło. Liczyła na to, że kolejna filiżanka postawi ją wreszcie na nogi.

Matka wlała kawy do dwóch kubków i do obu dodała chudego mleka. Usiadły naprzeciw siebie przy okrągłym sosnowym stole.

- Jak się czujesz? - spytała Eleanor.

Czy zauważyła, że córka balansuje na krawędzi? Czy zadała pytanie, na które znała odpowiedź? Czy po prostu starała się być miła i dobrze wychowana?

- Sama nie wiem - odparła Lily. Postanowiła być szczerą do końca. Wczoraj, nie kryjąc swych emocji, pocałowała Aarona, potem namalowała najbardziej uczciwy obraz w swoim życiu. Nie chciała już więcej niczego udawać. Spojrzenie matki zachmurzyło się.

- Nic dziwnego, tak wiele ostatnio przeszłaś, kochanie. Tragiczna śmierć Tylera, sprzedaż domu, powrót do Riverbend...

Lily przerwała matce.

- Opowiedz mi, mamó, o miłości - poprosiła cicho, jak dziecko szukające odpowiedzi na zagadnienie, którego nie rozumie.

Po chwili, widząc reakcję matki, omal nie parsknęła śmiechem. Eleanor Bennett nie była w stanie ukryć zdumienia: wytrzeszczyła oczy, uniosła brwi, wyduła usta. Nawet jej włosy wyglądały tak, jakby stanęły dęba.

- O miłości?

- Tak, mamó. O miłości. Byłam żoną, jestem wdową i nadal nie wiem, czym jest miłość.

Matka przyjrzała się jej uważnie. Zdumienie, które przed chwilą wyzierało z jej oczu, zniknęło.

- Nie kochałaś Tylera?

- Kochałam.

Na początku ogromnie, później trochę mniej, ale nawet pod sam koniec go kochała. Tyler oszołomił ją, zawrócił jej w głowie, lecz mimo oszołomienia nie wyszłaby za niego za męża, gdyby go nie kochała. Nie starałaby się ratować małżeństwa, gdyby nie zależało jej na człowieku, którego poślubiła.

- Ale... były i gorsze chwile.

- W każdym małżeństwie są lepsze i gorsze chwile.

- Nie w twoim i taty.

Zawsze sądziła, że małżeństwo jej rodziców należy do wyjątkowo udanych, lecz Eleanor nagle odwróciła wzrok i wyjrzała przez okno. Lily pochyliła się i zacisnęła dłoń na rękę matki.

- Mamo?

- Nawet w najlepszych małżeństwach zdarzają się kryzysy.

- Ale ty i tata bardzo się kochacie. Wiem o tym.

- To prawda. Kocham twojego ojca bardziej, niż sobie wyobrażasz - przyznała Eleanor głosem tak cichym, że ledwo było ją słyszeć.

- A on kocha ciebie.

- Nie sądzę.

Matka ponownie skierowała wzrok na córkę, a ta ujrzała w jej oczach ból i łzy.

Serce zaczęło bić Lily tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Natychmiast zapomniała o własnych troskach i kłopotach. Skupiła się na

dwóch cicho wypowiedzianych przez matkę słowach i pewnych drobnych zmianach, które niedawno sama zaobserwowała: nowej fryzurze, kremach, obojętności, z jaką ojciec traktował zbliżające się urodziny żony.

- Co masz na myśli, mamó? - spytała, próbując zdusić w zarodku podejrzenia.

- Nic takiego - odparła szybko matka, przelękając łyzy i przywołując na usta wymuszony uśmiech. - Pojęcia nie mam, dlaczego to powiedziałam.

- Może dlatego, że w to wierzysz.

- Nie. To tylko takie głupie strachy starej baby.

- Nie jesteś starą babą, a żadne strachy nie są głupie. Powiedz mi, mamó, co cię gnębi? Powinnyśmy o wszystkim rozmawiać.

Zacisnęła mocniej dłoń na rękę matki, jakby pragnęła dodać jej otuchy i dotykiem przekazać swoją miłość.

- To chyba naprawdę nic takiego. - Wolną ręką Eleanor wyjęła z kieszeni szlafroka chusteczkę; wytarła nos, policzki i ponownie spróbowała się uśmiechnąć. - Twój ojciec i ja jesteśmy razem od niepamiętnych czasów. Może po latach ogień nieco przygasł i to wszystko.

- Tata jest ci szalenie oddany - powiedziała Lily, rozpaczliwie usiłując przekonać samą siebie.

- Tata ma swoje własne życie. Pracę, golfa, grono przyjaciół. Opinię dobrego, sumiennego lekarza. Wszyscy w miasteczku go znają i wszyscy uwielbiają. - Eleanor westchnęła smutno; przestała silić się na uśmiech. - Dla mnie nie ma już czasu. Wydaje mi się, że znudziłam się mężowi.

- Niemożliwe!

- Od trzydziestu siedmiu lat widzi naprzeciwko siebie tę samą twarz. To szmat czasu, Lily. Miałam prawo mu się znudzić.

- Ale on ci się nie znudził.

- To co innego. Mamy inne charaktery. Mnie znacznie mniej potrzeba do szczęścia. - Ponownie westchnęła. - Kiedyś wystarczała mi świadomość, że mąż jest szczęśliwy. Mąż i córka. Przynajmniej tak sądziłam. Że jeśli moi bliscy są zadowoleni, to ja również. Że niczego więcej nie potrzebuję.

- Potrzebujesz, mamó. Każdy potrzebuje o wiele więcej, żeby być szczęśliwym. - Delikatnie pogłaskała matkę po rękę. - Czy tata powiedział, że chce od ciebie odejść?

- Nie, ale...

- Zdradza cię?

Zabolały ją własne słowa.

- Nie wiem.

Serce ponownie jej załomotało.

- Masz jakieś dowody? Podejrzenia?

Eleanor Bennett podniosła kubek do ust. Sprawiała wrażenie bardziej opanowanej niż przed paroma minutami; nie drżała, oczy nie zachodziły jej łzami.

- Ostatnio bywa dziwnie rozkojarzony. Czasem zapomina o mojej obecności. Odpływa myślami, kiedy coś do niego mówię. Nie wiem, może myśli o innej?

- Tylko dlatego, że jest rozkojarzony...

- Poza tym nie informuje mnie, dokąd idzie. Po prostu wstaje i wychodzi, a ja nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

Lily przypomniała sobie zeszłą sobotę: matka była pewna, że mąż gra w golfa, ale kiedy ona, Lily, pojechała do klubu, nie zastała tam ojca. Odnalazła go w Sunnyside Cafe, ale gdzie był wcześniej?

- To poszlaki, mamó, nie dowody - oznajmiła, uciekając się do fachowej terminologii, którą zdołała poznać w ciągu swojego dziesięcioletniego małżeństwa z prawnikiem. - A te niczego nie dowodzą. Może tata zakłada, że wiesz, dokąd się wybiera. Albo cię nie informuje, bo uważa, że to nieistotne. Może wychodząc z domu, zamierza iść do klubu, ale nagle coś sobie przypomina i ląduje gdzie indziej. Bez konkretnych dowodów, mamó, nie możesz twierdzić, że tata ma romans.

- A czego powinnam szukać? Śladów szminki na kołnierzyku? - Matka uśmiechnęła się smutno. - Mam pięćdziesiąt dziewięć lat, kochanie, a twój ojciec jest przystojny. Nie mogę rywalizować z młodymi kobietami, od których świat się roi. One flirtują z twoim ojcem, a on to uwielbia.

- Pewnie, że uwielbia. Pokaż mi faceta, który by tego nie lubił. - Nie spuszczać oczu z twarzy matki, Lily wypila łyk kawy. - Może ty powinnaś z nim po-flirtować.

- Ja?

- Jeśli uważasz, że jest znudzony, zrób coś, żeby ożywić wasze małżeństwo. Flirtuj z ojcem. Uwodź go.

- Zbyt wiele się naczytałaś romansów.

Akurat romansów Lily nie czytała, ale sporo się naczytała różnych pism kobiecych, w których szukała wskazówek, jak naprawić związek z Tylerem. Tyle że jej małżeństwo z Tylerem było na krawędzi rozpadu, a w małżeństwie jej rodziców pojawiły się zaledwie drobne rysy.

- Powiedziałaś, że nadal kochasz ojca - przypomniała matce.

- Oczywiście, że tak.

- Więc pokaż mu to. Walcz o niego. Kiedy się kogoś kocha, czasem trzeba o niego walczyć.

Ona, na przykład, walczyła o Tylera, kiedy jeszcze wierzyła, że istnieje szansa na uratowanie ich małżeństwa. Rozmawiała z teściami, z lekarzami, z psychologami, których wykładów słuchała, z uczestnikami spotkań w klubie AA. Rozmawiała z pastorem w kościele kongregacjonalistów, do którego z początku chodziła z mężem, potem coraz częściej sama. Kupowała książki, czytała artykuły, protestowała, kiedy Tyler przyrządzał sobie kolejne drinki, wyrzucała butelki z alkoholem, zanim zdążył je nawet otworzyć. Próbowala; raz po raz podejmowała walkę, aż wreszcie zrozumiała, że tej batalii nigdy nie wygra.

Czy matka też próbowała? Chyba tak, świadczyły o tym choćby te kremy, ale jeżeli ojciec jest znudzony małżeństwem, płytsze zmarszczki na twarzy żony nie wpłyną na poprawę sytuacji.

- Jeżeli ci na kimś zależy, trzeba o niego walczyć.

Mówiąc to, już nie myślała o Tylerze. Nie myślała nawet o ojcu i matce. Myślała o Aaronie.

Usiłowała przekonać samą siebie, że go nie kocha. Przecież wczoraj ją odtrącił. Jak mogłaby kochać mężczyznę, który pokazał, że nie jest nią zainteresowany?

Z drugiej strony tak wiele dla niej znaczył. Tak wiele, że była gotowa o niego walczyć. Bo zanim ją odtrącił, zanim wypowiedział słowo „nie”, jego usta, ręce i ciało mówiły „tak”.

Nie zamierzała się więc poddać. Jeszcze nie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Mój mały daje sobie jakoś radę? - spytał Mitch.

Aaron stał w otwartych drzwiach sali gimnastycznej, którymi wychodziło się prosto na parking. Zajęcia skończyły się kilka minut wcześniej, dzieci odjechały już do domów, po pustej sali krążył Jeff, zbierając porzucane piłki.

Jeff był jednym z lepszych zawodników grających w szkolnej drużynie. Aaronowi udało się namówić chłopaka, żeby zrezygnował z sezonowej pracy w sklepie spożywczym i pomógł mu prowadzić zajęcia z dziećmi. Zwłaszcza teraz, gdy w programie uczestniczył niedosłyszący Sam Sterling, Aaron musiał dwoić się i troić. Wdzięczny był więc Jeffowi za pomoc i wdzięczny Lily za pieniądze, dzięki którym mógł zatrudnić Jeffa.

Wdzięczność. To jedyne uczucie, na jakie mógł sobie wobec niej pozwolić. Wdzięczność i nic więcej.

Z najwyższym trudem wyparł ją ze swoich myśli i skupił się na Mitchu. Mały Sam stał przy samochodzie, czekając, aż ojciec skończy rozmowę z trenerem.

- Radzi sobie znakomicie - odparł Aaron.

- Wiem, że trudniej ci się z nim porozumieć niż z innymi dziećmi...

- Ależ nie, naprawdę. Świetnie się dogadujemy. A najważniejsze, że Sam dobrze się tu czuje. - Po chwili, widząc, że Mitch wciąż ma wątpliwości, dodał: - Inne dzieciaki też mają z nim doskonały kontakt.

Nikt nie ma problemów z porozumieniem się. Serio, Mitch. O nic się nie martw. Sam jest wspaniałym chłopakiem.

Mitch, wyraźnie odprężony, uśmiechnął się.

- Mały za tobą przepada, Aaron. Nawet nie wiesz, jak się cieszył, że razem oglądaliśmy wczoraj paradę.

Aaron wolałby cały wczorajszy dzień wymazać z pamięci, ale dzielnie odwzajemnił uśmiech Mitcha i pomachał do Sama. Jeśli chodzi o paradę, to on też cieszył się z towarzystwa; miło było oglądać barwny korowód z kimś, a nie w samotności.

Nagle zza budynku dobiegł go warkot samochodu. Może Jeff się z kimś umówił?

- No dobra, idę pomóc Jeffowi pozbierać piłki -rzekł, odwracając się w stronę sali gimnastycznej. -Do jutra, Mitch.

- Trzymaj się, stary. Dzięki.

O ile na zewnątrz było parno i duszno, o tyle wewnątrz panował orzeźwiający chłód. W ciągu ostatnich kilku godzin niebo zmieniło kolor z błękitnego na stalowoszary. Powietrze stało się ciężkie, lepkie, nieprzyjemne. Wyczuwało się, że lada chwila ze skłębionych nisko chmur lunie deszcz. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej, pomyślał Aaron. Wilgoć i duchota niemal utrudniały oddychanie.

Za plecami usłyszał trzask drzwi samochodowych, a po chwili uradowany głos Mitcha:

- Lily! Cześć, złotko!

Aaron zachwiał się, zupełnie jakby ktoś z całej siły uderzył go w plecy.

Cholera jasna! Dlaczego przyjechała? W jakim celu? Na pewno nie po to, żeby odwiedzić Jeffa do domu. Może - oby! - ma sprawę do Mitcha? W końcu był jej starym kumplem, jednym z dawnych Szczurów Wodnych.

Aaron jednak wiedział, że przyjechała do niego. Chciała, żeby byli przyjaciółmi. Gdyby to tylko było możliwe...

Niestety, po wczorajszym incydencie miał świadomość, że przyjaźń pomiędzy nim a Lily w ogóle nie wchodzi w grę. Kręcąc z rezygnacją głową, ruszył w głąb sali gimnastycznej. Po drodze podniósł z podłogi piłkę do koszykówki i wrzucił ją do ogromnego wora, który Jeff zapełnił już niemal po brzegi. Chłopak uśmiechnął się, po czym zerknął w stronę otwartych drzwi.

- Czy mogę już iść, trenerze? Przyjechałem na rowerze, a zanosi się na burzę...

- Pewnie. Spadaj.

- Dzięki.

Chłopak podał mu wór i lekkim, miarowym truchtem skierował się do drzwi. Aaron stał zwrócony do nich tyłem. Póki nie widział Lily, mógł udawać, że jej nie ma.

- Aaron...

Jej głos odbił się o sufit, o metalowe kraty na oknach, o pokryte drewnianą boazerią ściany i składane drewniane ławy na trybunach. Nawet bez oglądania się za siebie Aaron widział ją - szczupłą, jasnowłosą, ufną. Pomimo dzielącej ich odległości, wyczuwał jej obecność. I pomimo niewidocznych bandaży, którymi próbował się owinać, aby jej urok nie mógł go dosięgnąć, natychmiast zareagował: zaschło mu w gardle, krew w skroniach zaczęła gwałtownie pulsować, mięśnie się napięły.

Zgarnął z podłogi ostatnią piłkę, schował do worka i ściągnął sznurek. Jeżeli się nie odwróci, jeżeli będzie stał tyłem, może Lily się zniechęci i odejdzie?

Po chwili usłyszał jej kroki, rytmiczne stąpanie po drewnianej posadzce. Usiłował przełknąć ślinę, ale w gardle miał całkiem sucho. Nogi się pod nim ugięły. Przerazała go myśl, że Lily jest coraz bliżej, że zaraz stanie za nim i zażąda konfrontacji. Nie rób tego! -miał ochotę krzyknąć. Nie podchodź bliżej! Będziesz żałować!

Gdy poczuł jej rękę na ramieniu, z trudem się powstrzymał, by jej nie stracić.

- Aaron, musimy porozmawiać.
- Nie. - A w myślach dodał: Będziesz żałować.
- Proszę...

Boże. Wystarczyło jedno słowo, jedno małe „proszę”, aby zmięknął. Pomyślał sobie, że gdyby chciała, to swoim wdziękiem i urokiem byłaby w stanie stopić lodowiec. Odwrócił się.

W jej oczach nie dostrzegł błagania ani triumfu. Spojrzenie miała jasne, przenikliwe, głowę dumnie uniesioną, ramiona proste. Pragnął przytulić ją do siebie i pocałować, tak jak wczoraj. Mocno i namiętnie. Chciał wziąć ją w objęcia, zsunąć jej ramiączka, całować ją po szyi, po ramionach. Opamiętaj się! - jęknął w duchu i zamknął oczy. Był łajdakiem i zboczeńcem. Jeżeli naprawdę zależy jej na rozmowie, trudno. Powie jej prawdę. Może wtedy da mu spokój.

- Aaron, proszę cię - powtórzyła. Upór i determinacja wyczuwalne w jej głosie kontrastowały z łagodnością spojrzenia. - Porozmawiajmy.

- Dobrze.

Za wszelką cenę musi ją powstrzymać. Wiedział, że prawda ją przerazi, zbulwersuje, lecz nie miał wyjścia. Może jej życie znów legnie w gruzach, lecz przynajmniej Lily, słodka, piękna Lily, zrozumie, dlaczego wczoraj od niej uciekł i dlaczego nadal będzie uciekał.

Zarzuciwszy na ramię wór z piłkami, skinął głową w kierunku gabinetu. Nie zamierzał odbywać tak ważnej rozmowy na środku sali gimnastycznej. Ruszyła za nim na koniec sali, poczekała, aż umieści worek z piłkami w magazynie, po czym weszła pierwsza do gabinetu. Gdy wskazał jej fotel, usiadła. W jej oczach malowała się niepewność. Zamknął drzwi, następnie zajął miejsce po przeciwnej stronie biurka. Żałował, że blat nie ma dwóch kilometrów szerokości.

Wzięła głęboki oddech. Zdał sobie sprawę, że tylko udaje spokojną, a w rzeczywistości jest bardzo zdenerwowana. Ręce jej zadrżały, więc zacisnęła je na kolanach.

- Coś między nami zaiskrzyło, Aaron, ale mnie odtrąciłeś. Dlaczego?

- Lily...

- Jesteśmy dorośli.

Głos też jej zadrzał, ale tak leciutko, że nikt inny by tego nie spostrzegł. On jednak zauważał wszystko, co jej dotyczyło. Kosmyk włosów leżący nie po niewłaściwej stronie przedziałka; pieprzyk na szyi tuż pod lewym uchem; zegarek na luźnej złotej bransolecie o warkoczowym splocie; owal kolan widoczny pod długą beżową sukienką, zaciskanie rąk...

- Podobamy się sobie. Kiedy się wczoraj pocałowaliśmy...

- Lily. - Słyszał przerażenie we własnym głosie.

- Nie mam zbyt dużego doświadczenia, ale przez dziesięć lat byłam mężatką. Wiem, kiedy mężczyzna jest podniecony.

Zacisnął powieki, jakby to mogło mu pomóc. Jakby nie patrząc na Lily, mógł zapomnieć o tym, co do niej czuje.

- Do wczoraj sądziłam, że mogę ci ufać - ciągnęła.

- Sądziłam również, że mogę polegać na swojej intuicji. Teraz... jestem zagubiona. Wyjaśnij mi to, Aaron. Proszę cię, powiedz mi, które sygnały źle odczytałam. Wiem, że chcesz, żebym cię zostawiła w spokoju. I zostawię, przysięgam, tylko najpierw wytłumacz mi, gdzie i kiedy popełniłam błąd.

- Lepiej nie pytaj, Lily - ostrzegł ją. - Będziesz żałować.

- Nie będę. Chcę wiedzieć.

- Jestem twoim bratem.

Zapadła grobowa cisza. Aaron uniósł powieki. Naprzeciw siebie ujrzał Lily, która wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Oczy miała wytrzeszczone, usta rozchylone, policzki blade, jakby odpłynęła z nich cała krew. Dopiero po chwili zamknęła usta. W oczach, które wciąż przypominały spodki, malował się szok.

- Twój ojciec jest moim ojcem - dodał Aaron, kiedy dłużej nie mógł zdzierżyć ciszy.

- Nie - oznajmiła lodowatym tonem.

Sama tego chciała, pomyślał Aaron. Prosiła o wyjaśnienie i teraz, kiedy zaczął mówić, nie zamierzał przestać.

- Kiedy byłem dzieckiem, twój ojciec co miesiąc odwiedzał moją mamę. Przychodził do naszego mieszkania i spędzał z nami pół godziny,

może godzinę. Mnie zadawał różne pytania, a mamie wręczał pieniądze. Alimenty.

- Nie. - Tym razem jej głos był niewiele donośniejszy od szeptu.

- Pytał mnie, czego się uczę w szkole, jakie mam stopnie i jakie czytałem ostatnio książki. Mamę pytał o to, czy nie choruję i co najchętniej jadam. Potem wręczał jej kopertę z pieniędzmi i mówił: „Pamiętaj, żeby codziennie łykał multiwitaminę”. Albo: „Chyba pora kupić mu nowe tenisówki”. Tak było każdego miesiąca bez wyjątku.

Lily potrząsnęła głową. Z jej oczu wyzierał strach.

- To niemożliwe. Mój ojciec nie zrobiłby czegoś takiego.

- Myślisz, że kłamię? Że wyssałem to sobie z palca? - W jego głosie pojawiła się nuta oskarżenia, ale szybko zniknęła. Złość i pretensje zastąpiło współczucie. Widział przecież, jak bardzo Lily cierpi. - Masz rację, Lily. Podobasz mi się. Wariuję na twoim punkcie. Gdybym mógł jakoś temu zaradzić, zrobiłbym to.

- Zaradzić? Jak?

- Nie wiem. W tym cały problem. Gdybym cię tak nie pragnął...

Boże!

Znów potrząsnęła głową i wbiła oczy w ręce, które trzymała zaciśnięte na kolanach.

- Mój ojciec nie zdradził matki. Nie miał romansu z inną kobietą. Nigdy by tak nie postąpił.

- Trzydzieści parę lat temu moja matka była niezwykle piękną dziewczyną - powiedział. - Wielu mężczyznom zapierało dech na jej widok.

- Nie wątpię, ale...

- W dodatku nie siedziała w domu. Codziennie przychodziła do pracy w Sunnyside Cafe i flirtowała z każdym facetem, który przekroczył próg lokalu. Myślisz, że twój ojciec był odporny na jej zalotne spojrzenia? Miała mnóstwo kochanków, nawet po moim urodzeniu. Ale tylko jeden przychodził do nas regularnie raz w miesiącu, dawał jej pieniądze, a mnie pytał o postępy w nauce.

- Ojciec by tego nie zrobił. Na pewno nie - powtarzała z uporem Lily. - Nie zrobiłby obcej kobiecie dziecka...

- A jako lekarz przynajmniej próbowałby ją namówić na aborcję? Mama nigdy by się nie zgodziła.

- Czy... czy ona... - Lily zwilżyła wargi, jakby miała nadzieję, że przez śliskie łatwiej przejdą słowa.

- Czy matka ci to powiedziała? O romansie z moim ojcem?

Poczuł ostre klucie w sercu, ból spowodowany odmową matki, aby ujawnić mu prawdę o jego poczęciu.

- Nie - przyznał. - Matka nigdy nie zdradziła mi, kto jest moim ojcem. I nigdy mi tego nie powie. Będzie chronić nazwisko tego człowieka i zabierze tę tajemnicę do grobu. Wydaje mi się, że ona nadal go kocha.

Lily wzdrygnęła się, zupełnie jakby coś mokrego i lepkiego otarło się o jej szyję.

- Widziałam ich wczoraj pograżonych w rozmowie - szepnęła z przerażoną miną. - Głowy mieli pochylone. Wyglądali tak... tak... - W jej oczach zalśniły łzy.

Aaron zaczął się rozglądać po gabinecie, szukając chusteczek do nosa. Jego wzrok prześliznął się po szafie z aktami, po tablicy informacyjnej, na której wisiał plan treningu i rozgrywek, i dalej po

zdjęciach umieszczonych chronologicznie, przedstawiających kolejne roczniki koszykarzy. Na czterech z nich widniał on sam - na trzech pierwszych jako młody zbuntowany chłopak skłócony z całym światem, z czwartego, wykonanego w zeszłym roku, spoglądał starszy, mądrzejszy Aaron, ukochany przez dzieci trener Maz, człowiek, który wrócił po latach odmieniony i który bardziej przejmował się cudzym cierpieniem niż własnym bólem.

Ból malujący się teraz na twarzy Lily był tak wielki, że niemal rozsadzał mu czaszkę. Gdyby nie zaczęła tej rozmowy, ba, gdyby go do niej nie zmusiła, sam nigdy nie poruszyłby tego tematu. Wiadomość o romansie matki z doktorem Bennettem zachowałyby dla siebie.

- Żałuję, Lily - rzekł cicho. - Przepraszam. Dojrzwawszy na regale stos czystych ręczników, wstał i sięgnął po jeden z nich. Kilka pojedynczych łez przedarło się przez zasłonę rzęs i spływało Lily po policzkach. Wystarczyłaby zwykła chusteczka, ale miał tylko ręczniki.

Popatrzyła zdziwiona na to, co jej daje, po czym wzięła ręcznik i położyła go sobie na kolanach. Następnie z małej skórzanej torebki wyjęła chusteczkę i przetrła nią oczy.

- Stanowczo zbyt często się przepraszamy - rzekła.

- Nie o to chodzi, Lily. Ja... żałuję, że nie mogę...

- Że czego nie możesz?

- Kochać cię. - Popatrzył ponad jej ramieniem na zdjęcia wiszące na ścianie, zatrzymując wzrok na tym, na którym po raz pierwszy został uwieczniony. Gniew, jaki wtedy w nim kipiał, na pewno brał się z niezadowolenia, z poczucia krzywdy i wyobcowania, ale częściowo ze świadomości, że on, Aaron, jest gorszy od innych i nigdy nie zdobędzie tej

wspaniałej jasnowłosej piękności, która rzuciła na niego potężny urok. - Pragnąłem cię, kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły - przyznał, spoglądając na młodego zuchwalca na zdjęciu, który stał z głową przekrzywioną na bok i pretensją w oczach. - Miałem bzika na twoim punkcie. A kiedy dowiedziałem się, że jesteś córką doktora Ben-netta, myślałem, że oszaleję z rozpaczy.

- Pragnąłeś mnie, kiedy byliśmy w szkole?

- Tak jak narkoman pragnie narkotyku. - Westchnął głośno. - Ale wiedziałem, że muszę to w sobie stłumić i trzymać się od ciebie z daleka. Rozumiesz, prawda?

- Tak, rozumiem - powiedziała cicho. Podniosła ręcznik z kolan, położyła na biurku i wstała. - Rozumiem.

Wyszła z gabinetu dumnym krokiem, z głową wysoko uniesioną, z wyprostowanymi ramionami. W milczeniu odprowadził ją wzrokiem. Przez otwarte drzwi patrzył, jak idzie przez salę gimnastyczną w stronę wyjścia na parking.

Wiedział, że nigdy nie zapomni jej dumnego spojrzenia, siły charakteru i wdzięku osobistego. Nigdy nie zapomni tego, jak bardzo jej pragnął - kiedyś i dziś. Wciąż był tym narkomanem, który myślał tylko o jednym. Ale, podobnie jak narkoman na odwyku, dobrze wiedział, czego musi się wystrzegać, by przeżyć. Miał jednak świadomość, że do końca życia będzie się borykał z pokusą.

Padało, kiedy wyszła na zewnątrz. A ponieważ zostawiła dach wozu opuszczony, siedzenia były mokre.

Nie robiło to jej żadnej różnicy. Usiadła na mokrym skórzanym obiciu, włączyła silnik, podniosła dach. Wstrząsana dreszczami słuchała,

jak deszcz bębni w brezent nad jej głową. Nagle usłyszała cichy, przeciągły dźwięk. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wydobywa się z jej gardła, sączy się niczym krew, zupełnie jakby ktoś poharatał ją wewnątrz, wbił ostrze w jej serce i duszę.

Wczoraj wieczorem zaczęła podejrzewać, że chyba zakochała się w Aaronie. Później - po tym, jak ją odtrącił, i po rozmowie, którą odbyła dziś rano z matką - nabrała co do tego pewności. Najgorsze było to, że teraz, gdy już знаła prawdę i wiedziała, że nie mogą być razem, kochała go jeszcze bardziej. Kochała go za jego szczerłość, za to, że tak dzielnie próbował uchronić ją przed bólem, za to, że sam tak strasznie cierpiał...

Kochała go. Swojego przyrodniego brata.

Rozpaczała nad utratą tego, co mogło być, a do czego nigdy nie dojdzie: namiętności, której miała przedsmak wczorajszego wieczoru, kiedy przez chwilę całowała się z Aaronem. Dojmujący smutek mieszał się z równie dojmującym żalem do ojca, żalem o jego niewierność. Czy naprawdę zdradzał matkę? Czy miał romans z Evie Mazerik? Czy nadal coś ich łączyło? Czy był to jednorazowy skok w bok, czy miał inne kochanki? Czyżby matka miała rację, uważając, że znudziła się swojemu mężowi?

Lily poczuła, jak ogarnia ją wściekłość. Gwałtowny przyływ adrenaliny spowodował, że serce zaczęło jej mocno walić, lecz umysł przejaśnił się. Włączyła wycieraczki, wrzuciła wsteczny bieg i wycofała się z parkingu.

Droga do centrum miasteczka zajęła jej kilka minut. Wjechała na podjazd przed starannie utrzymanym, murowanym budynkiem, w którym od dwudziestu lat mieściła się przychodnia. Wcześniej ojciec przyjmował

pacjentów w domu, później jednak zrozumiał, że sam nie podoła, że nawet lekarz z małego miasteczka potrzebuje współpracowników.

Zaparkowawszy, wysiadła z samochodu i przeskakując kałuże, wbiegła do budynku. Kilka osób siedziało w poczekalni i przeglądając czasopisma, czekało na swoją kolej. Gdyby zerknęła na twarze, zapewne większość z nich by rozpoznała. Ale nie była w nastroju do miłych pogawędek, więc nie patrząc na bok, podeszła do kobiety siedzącej w rejestracji.

- Janet, muszę się widzieć z ojcem - rzekła. Janet podniosła wzrok znad ekranu komputera.

Uśmiech zastygł jej na wargach, kiedy zobaczyła determinację i wyraz zaciekłości w oczach Lily.

- Ma w tej chwili pacjenta.

- Muszę się z nim widzieć.

Janet najwyraźniej uznała, że próba przemówienia Lily do rozumu na niewiele się zda.

- Zaczekaj u niego w gabinecie - zaproponowała. - Kiedy skończy, poproszę go, żeby zajrzał do ciebie.

Lily skinęła głową i ruszyła pośpiesznie korytarzem, mijając po drodze sale zabiegowe i następną poczekalnię. Na końcu korytarza mieścił się gabinet ojca. Weszła do środka.

Zawsze czuła się tu jak w domu. Ojciec urządził ten pokój według swojego gustu, zupełnie nie w stylu kojarzącym się ze szpitalem. Na obitych boazerią ścianach zawiesił półki, na których poustawiał rodzinne fotografie; jedna przedstawiała kilkuletnią Lily, inna Lily w sukni ślubnej, wachającą bukiet.

Usiadła na jednym z dwóch wygodnych skórzanych foteli, które stały przed lśniącem mahoniowym biurkiem. Po chwili, zbyt zdenerwowana, aby siedzieć spokojnie, poderwała się na nogi. Zaczęła przemierzać gabinet tam i z powrotem, cztery kroki w jedną stronę, cztery w drugą. Na nic nie zwracała uwagi, ani na oprawione w ramki dyplomy zdobiące ścianę za biurkiem, ani na powoli ustający deszcz. Znowu usiadła, znowu wstała, usiadła, wstała. Wreszcie do gabinetu wpadł ojciec. Patrząc na córkę z z troskaniem, zamknął za sobą drzwi.

- Lily, co się stało? Janet powiedziała, że przyjechałaś roztrzęsiona i...

Roztrzęsiona? Dobre sobie!

- Tato... - szepnęła zdławionym głosem.

Bała się, czy nie zacznie szlochać, lecz była zbyt wściekła, aby pozwolić sobie na płacz. Może Aaron powiedział prawdę, ale równie dobrze mógł się mylić. Jeżeli ojciec wszystko potwierdzi, jeżeli przyzna się do zdrady, dopiero wtedy przyjdzie czas na łzy. Ale nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Miała nadzieję, że wściekłość pomoże jej kilka minut wytrwać o suchych oczach.

- Czy to ty jesteś ojcem Aarona Mazerika? Na twarzy doktora odmalowało się zdumienie.

- Ależ skąd! Oczywiście, że nie. - Zmarszczywszy czoło, stał z rękami w kieszeniach białego fartucha, studiując uważnie córkę. - Skąd ci zaświtał taki pomysł?

- Aaron jest o tym święcie przekonany. Mężczyzna potrząsnął głową.

- Czy on... czy ciebie i jego... czy macie się ku sobie?

- Tato. - Nie chciała omawiać z ojcem swoich uczuć do Aarona. To była jej prywatna sprawa. Nie powinna nikogo obchodzić... chyba że ją i Aarona łączyły więzy krwi. - Aaron twierdzi, że jesteś jego ojcem, że kiedy był dzieckiem, raz w miesiącu odwiedzałeś jego matkę. Przynosiłeś im pieniądze.

Mars na czole wygładził się. Julian Bennett przeszedł za biurko i oparł się o blat.

- To prawda - rzekł. - Odwiedzałem jego matkę i dawałem jej pieniądze.

- Na dziecko. Alimenty.

- Tak, alimenty. - Wyjął ręce z kieszeni. - Robiłem to dla przyjaciela.

- Dla przyjaciela? - Czy naprawdę sądził, że w to uwierzy?

- Ojciec Aarona ufał mi - ciągnął Julian Bennett. - Nie chciał, aby ktokolwiek dowiedział się o dziecku. Miał ku temu ważne powody. Muszę przyznać, że nie bardzo się zgadzałem z jego decyzją, ale postanowiłem ją uszanować. Pragnął, żeby Evie dostawała pieniądze na wychowanie syna. Poprosił mnie, abym przekazywał je w jego imieniu, a w razie potrzeby służył jej i dziecku pomocą medyczną.

- Byłeś więc... doręczycielem? Julian Bennett skrzywił się.

- Jak już powiedziałem, nie zgadzałem się z decyzją, którą podjął mój przyjaciel. Uważałem, że powinien sam odwiedzać chłopca i otwarcie przyznać się do ojcostwa. Nie kryłem się z tą opinią. Ale on uznał, że z jakichś względów nie może. Prosił, abym przekazywał Evie pieniądze i miał Aarona na oku. Tylko mnie jednemu ufał, że będę trzymał język za zębami.

- Kiepsko go miałeś na oku. Aaron był na najlepszej drodze, żeby stać się młodocianym przestępcą.

- Wiem. - Bennett westchnął ciężko. - Mówiłem o tym jego ojcu. Evie słabo sobie radziła w roli samotnej matki. Odbywałem z nią długie rozmowy. O właściwym odżywianiu, o dyscyplinie, o stawianiu dziecku wymagań, o organizowaniu mu wolnego czasu, o lekturach. Mówiąc z ręką na sercu, mam wrażenie, że Aaron sam się wychował. To wprost nie do wiary, że wyrósł na tak porządnego człowieka.

- Jesteś z niego dumny... - zauważyła, wciąż nie do końca przekonana, czy ojciec jej nie zwodzi.

- Gdyby był moim synem, byłbym z niego ogromnie dumny. - Przeczesał ręką włosy, wyraźnie niezadowolony, że w głosie córki nadal pobrzmiwa nuta niedowierzania. - Gdyby Aaron był moim synem, nie ukrywałbym tego faktu. Nawet gdyby przyznanie się do dziecka z nieprawego łoża oznaczało koniec mojego małżeństwa. Po prostu nie wyobrażam sobie, abym mógł postąpić inaczej. - Roześmiał się. - Oczywiście nie wyobrażam sobie również, żebym mógł uczynić cokolwiek, co by mogło zagrozić trwałości mojego małżeństwa. Nigdy mi nawet nie zakiełkowała myśl o zdradzie.

- To znaczy, że kochasz mamę?

Popatrzył na Lily ze zdumieniem.

- Musisz o to pytać?

Nie chciała wdawać się w dyskusję na temat nudy, rutyny i wygasających uczuć w długim związku, ale wszystko było ze sobą powiązane: dzisiejsze oświadczenie Aarona, wątpliwości gnębiące matkę, o których dowiedziała się dziś rano...

- Mama uważa, że jesteś nią znudzony.

- Ona ci to powiedziała?

- Tak.

- Rany boskie, co jej strzeliło do głowy? - spytał z przerażeniem.

I to ją ostatecznie przekonało. Fakt, iż ojca bardziej poruszyły słowa żony niż podejrzenie o dziecko z nieprawego łóża, najlepiej świadczył o tym, że zależy mu na utrzymaniu małżeństwa. Gdyby Eleanor nie była dla niego ważna, Julian Bennett nadal rozprawiałby o Aaronie; broniłby się, wszystkiemu zaprzeczał, mówił o tajemniczym przyjacielu, i tak dalej, i tak dalej. On zaś nawet już nie pamiętał o Aaronie. Liczyła się wyłącznie Eleanor.

- Naprawdę myślisz, że jestem nią znudzony? Boże kochany! Wiesz, co byłoby dla mnie największą karą? Piekłem? Gdybym miał spędzić choć jeden dzień z dala od niej. Ona jest dla mnie wszystkim! Całym światem! Powietrzem, którym oddycham.

- No właśnie. Na powietrze, którym oddychasz, też nie zwracasz uwagi.

Już miał zamiar oburzyć się, zaprotestować, kiedy nagle zwiesił potulnie głowę.

- Cholera jasna - burknął. - Masz rację.

- Więc zrób coś, tato - poleciała mu. - Nie czekaj na sześćdziesiąte urodziny mamy. Teraz coś zrób. Pokaż jej, że ją kochasz.

- Dobrze.

Ponownie przeczesał ręką włosy. Lily, która wcześniej z trudem wstrzymywała się od płaczu, zobaczyła, że teraz ojciec ma oczy wilgotne

od łez. Poczwała się znacznie lepiej. Z większym optymizmem patrzyła w przyszłość.

- Skoro nie ty jesteś ojcem Aarona, w takim razie kto?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Dlaczego?

- Dałem słowo honoru.

- Ale... - Czwała, jak narasta w niej frustracja. - Nawet matka Aarona nie chce mu tego zdradzić. Przecież każde dziecko ma prawo do takiej informacji. Dlaczego wszyscy robią z tego tajemnicę?

- Przykro mi, kochanie. Złożyłem przyrzeczenie. Podejrzewam, że Evie również. W dodatku ona pewnie miała świadomość, że jeśli komukolwiek wyjawia nazwisko, ustana alimenty. A jej potrzebne były te pieniądze. Dlatego wolała nie ryzykować i nawet Aaronowi nie mówi, czyim jest synem.

- On uważa, że nie chce mu powiedzieć, bo nadal kocha tego faceta.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło. - Julian Bennett uśmiechnął się smętnie. Sprawiał wrażenie oszołomionego. - Nie mogę się wypowiadać za Evie. Nie mam pojęcia, co się dzieje w jej głowie. Chciałbym pomóc Aaronowi, ale nie złamię słowa. To matka powinna wyjawiać mu prawdę.

- Albo ojciec - zauważyła kwaśno.

- Ojciec od początku powinien był się do wszystkiego przyznać i przyjąć odpowiedzialność za syna. Lily... - Westchnął ciężko. - Bóg mi świadkiem, że czasem bywam idiotą, nie jestem jednak grzesznikiem. Kocham twoją matkę ponad życie.

Poczwała, jak opuszcza ją napięcie. Ojciec kocha mamę, Aaron zaś nie jest jej przyrodnim bratem.

A to oznacza, że niepotrzebnie się przez te wszystkie lata męczył i zadreślał, niepotrzebnie trzymał się od niej na dystans i nawet nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że mogłoby być inaczej. Może faktycznie nigdy by się nie zaprzyjaźnili; on był na bakier z prawem, ona jedną z najbardziej popularnych dziewczyn w szkole - może dzieliła ich zbyt wielka przepaść. Aaron jednak zadreślał się czymś, co od początku było kłamstwem, czymś, co sam sobie ubzdurał, a co całkiem mijało się z prawdą.

Obróciwszy się w stronę okna, zauważyła, że deszcz ustał. Promienie popołudniowego słońca usiłowały się przebić przez chmury, osuszyć wilgotną ziemię.

Przypomniała sobie wczorajszy wieczór, kiedy całowała się z Aaronem na werandzie za domem. Zanim ją odtrącił, zanim powiedział: „Nie mogę”, chętnie odwzajemniał jej pocałunki. Gorliwie, wręcz namiętnie. Podobnie jak ona, gotów był zapomnieć o całym świecie.

Może jej nie kochał, ale na razie nie miało to znaczenia. Liczyło się, że są wolni i mogą zaryzykować. Mogą paść sobie w ramiona bez strachu, bez poczucia winy, bez wstydu.

Mogą podjąć próbę i zobaczyć, co z niej wyniknie.

- Kocham cię, tatku - szepnęła, cmokając ojca w policzek.

- Ja ciebie też, małpko. I jestem twoim dłużnikiem. Cieszę się, że rozmawiałaś z mamą i powiedziałaś mi, co ona czuje. Żałuję tylko, że sama mi tego nie powiedziała. - Oczywiście wciąż mu się szklily. - Udowodnię jej, ile dla mnie znaczy. Już nigdy nie będzie miała wątpliwości.

- Pochwal jej nową fryzurę - poradziła mu córka.

- Jaka nową fryzurę? - Nagle ugryzł się w język i pokręcił z rezygnacją głową. - A więc ma nową fryzurę?

- Tak. Od kilku dni. Powinieneś zwracać większą uwagę na szczegóły, tato.

- Będę, kochanie. Przysięgam.

- Muszę już iść. Chcę jeszcze pogadać z Aaronem. - Skierowała się do drzwi. - Dzięki, tato, za informacje. Szkoda tylko, że nie są bardziej wyczerpujące...

- Czy ciebie i Aarona coś łączy? - spytał.

Lily zawahała się. W pierwszej chwili miała ochotę wymigać się od odpowiedzi albo zbyć ją żartem. Lecz Aaron, krytykując jej malarstwo, natchnął ją odwagą; przekonał, że nie należy bać się ostrych barw, ani w sztuce, ani w życiu. Ta odwaga pozwoliła jej - mimo wcześniejszego odtrącenia - odwiedzić go dziś po południu w sali gimnastycznej, pozwoliła przeprowadzić szczerą rozmowę z ojcem, pozwoliła wyznaczyć prawdę:

- Tak, tato, coś nas łączy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nad rzeką zapanował spokój. Ulewa trwała krótko; teraz powietrze było ciepłe i suche, wilgoć wyparowała, świat wydawał się oczyszczony z brudu, z kurzu, ze stęchlizny.

Aaron też miał poczucie oczyszczenia. Wyjawiał Lily prawdę. Podobnie jak niebo nad Riverbend, sytuacja pomiędzy nimi wreszcie była jasna i klarowna.

Trudno powiedzieć, żeby był z siebie zadowolony. Zadał ból jedynej osobie, której za nic w świecie nie chciał skrzywdzić.

Nie była to jego wina; on tylko przedstawił prawdę. Ale na myśl o tym, jak bardzo ta prawda ją zraniła, robiło mu się słabo.

Siedział na hamaku, z łokciami opartymi o kolana; na podłodze, pomiędzy jego nogami, stała nie napoczęta butelka piwa. Chwilę wcześniej przejrzał zawartość lodówki. Nic go nie skusiło. Nie miał apetytu.

Spoglądał poprzez drzewa na rzekę, gładką, cichą i mieniącą się srebrzyście po popołudniowej burzy. Przyszło mu do głowy, że czasem właśnie tak wyglądają sesje, jakie psycholog odbywa z pacjentami - najpierw następuje burza, straszliwa zawierucha, potem błoga cisza i spokój.

Niekiedy trzeba siłą zerwać strupy, aby wyleczyć jątrzącą się pod nimi ranę. Nie lubił tego robić, wolał delikatniejsze metody, ale wiedział, że czasem tylko w ten sposób można uzdrowić chorego.

Powtarzał sobie w duchu, że prędzej czy później Lily wydobrzeje, odzyska humor. Powtarzał sobie, że uchronił ich oboje przed tragedią. Powtarzał, że teraz, gdy nie ma już między nimi żadnych tajemnic, może uda im się zostać przyjaciółmi.

Powtarzał to sobie raz po raz, usiłując się pocieszyć, lecz apetytu nie był w stanie odzyskać. Nawet nie miał ochoty podnieść z podłogi butelki piwa, a wystarczyłoby ruszyć ręką. W gardle zaschło mu dawno temu wnętrzości mu się skręcały. Butelka stała tuż obok oszroniona, zamknięta, kusząca. Ale na myśl o wzięcia! czegokolwiek do ust ogarniały go mdłości.

Na pobliskim drzewie zaskrzeczał kruk. Oderwał się; od gałęzi i poszybował nad rzeką. Wyglądał jak czarna plama na tle nieba. Po chwili znikł Aaronowi z oczu.

Na schodach prowadzących na taras rozległy się kroki. Odwrócił się tak gwałtownie, że niemal spada z hamaka. Nie zdziwił się na widok Lily.

Sukienkę miała pogniecioną, włosy potargane, oczy błyszczące.

- Może powinnam była zadzwonić - rzekła - ale nie znam twojego numeru telefonu.

Serce zaczęło mu walić, chociaż dobrze wiedział, że do niczego między nimi nie dojdzie. Lily nie będzie go kusila, nie będzie uśmiechała się zalotnie, nie pocałuje go. Teraz, kiedy znała fakty, nie będzie miała odwagi. Nic mu nie grozi.

W takim razie dlaczego pot wystąpił mu na czoło? Dlaczego serce tak mu łomocze? Dlaczego mięśnie ma napięte, a krew dudni mu w skroniach? Jego ciało wciąż żywo reagowało na obecność Lily. Nic sobie nie robiło z więzów krwi. Ale on dobrze wiedział, że ta piękna kobieta o

jasnych włosach, promiennym uśmiechu i szczupłej sylwetce stanowi zakazany owoc. Mimo to, gdy na nią patrzył, nie był w stanie poskromić żądz.

- Rozmawiałam z tatą. Powiedział, że to nieprawda.

- Że to nieprawda? - powtórzył suchym, beznamiętnym tonem.

- Nie jest twoim ojcem. Powiedział, że gdyby był, nigdy by się ciebie nie wyparł. Postąpiłby, jak należy, i uznałby cię za syna. Powiedział, że przy przekazywaniu pieniędzy jedynie pośredniczył, że wyświadczał przysługę przyjacielowi, któremu obiecał dochowanie tajemnicy.

Powiedział, że...

Aaron czuł, jak wszystko się w nim burzy. Nie mógł patrzeć na twarz Lily, na ulgę w jej oczach, słuchać, jak w najlepszej wierze powtarza kłamstwa opowiedziane przez Bennetta.

- Lily... - przerwał jej. - Oczywiście, że twój ojciec wszystkiemu zaprzeczył. Czego się spodziewałaś? Że krzyknie: „O cholera! Jak na to wpadłaś? Tak, to ja lata temu spłodziłem Evie Mazerik bachora”.

- Ja mu wierzę. - Podeszła do hamaka i stanęła naprzeciw Aaronowi, zmuszając go, aby podniósł głowę. - Gdyby był twoim ojcem i chciał to utrzymać w tajemnicy, po co by cię odwiedzał raz w miesiącu?

- Z ciekawości. Żeby patrzeć, jak dorastam.

- Ale właśnie te wizyty wzbudziły twoje podejrzenia! Zastanów się, Aaron. Gdyby był twoim ojcem i chciał, żebyś o tym wiedział, sam by cię poinformował. Gdyby był twoim ojcem i nie chciał, żebyś cokolwiek wiedział, nie przychodziłby latami z wizytą. Postąpiłby tak, jak zrobił twój ojciec: poprosił kogoś zaufanego, aby miał jego syna na oku, śledził jego rozwój, postępy w nauce, a matce dziecka dawał co miesiąc alimenty.

Musiał przyznać, że była w tym pewna logika. Miał jeszcze parę wątpliwości, ale...

Kucnęła przed nim, tak by móc patrzeć mu prosto w twarz.

- Słuchaj, trzy osoby wiedzą, czym jesteś synem. Twój ojciec, mój ojciec i twoja mama. Mój nic nie powie, bo dał twojemu słowo honoru. Twój nic nie powie, skoro do tej pory siedział cicho. Zostaje twoja mama. Tylko od niej możesz usłyszeć prawdę.

- Ona też nic nie powie.

Wolałby, żeby Lily nie miała tak lśniących oczu, tak pięknego uśmiechu i żeby nie mówiła z takim żarem. Nadal nie wierzył jej zapewnieniom, że nie są spokrewnieni, bo gdyby uwierzył, pochwyciłby ją w ramiona, całował, pieścił, kochał, tak jak o tym marzył, odkąd po raz pierwszy ujrzał ją na szklonym korytarzu. Ale potem, gdyby się jednak okazało, że popełniła błąd, że wbrew temu, co sądziła, są bratem i siostrą, wtedy runąłby cały jego świat. Chyba nie potrafiłby dłużej żyć sam z sobą.

- Słuchaj, Lily, chcesz mieć o ojcu jak najlepsze zdanie. To zrozumiałe. Dlatego nie dziwię się, że przyjęłaś jego słowa za dobrą monetę...

- Twoja matka mogłaby je potwierdzić. - Oparła ręce na brzegu hamaka i przez chwilę milczała, nie spuszczając oczu z twarzy Aarona. - Może nie chce ci zdradzić nazwiska twojego ojca, ale na pewno mogłaby powiedzieć, czy jest nim Julian Bennett.

Aaron widział, jak gorąco Lily pragnie, by Evie uniewinniła jej ojca. Była nastawiona psychicznie na jedną odpowiedź: negatywną. Innej w ogóle nie brała pod uwagę. Niestety, mogła się gorzko rozczarować.

Z drugiej strony, szansa na to była raczej znikoma; znając swoją matkę, podejrzewał, że prędzej zabierze tajemnicę do grobu, niż cokolwiek wyjawia córce Bennetta.

- Matka na pewno nic nie powie - oznajmił.

- Chodźmy. Spytajmy ją.

Westchnął głęboko. Nie miał ochoty po raz setny drażnić z matką tego tematu. Gdyby zależało jej na tym, aby pójść synowi na rękę, zdjąć z niego piętno, którym był naznaczony od urodzenia, już dawno by to zrobiła. A ona z uporem odmawiała wszelkich odpowiedzi.

Lily stanęła prosto i chwyciwszy go za rękę, podciągnęła na nogi.

- Proszę cię, Aaron, porozmawiajmy z twoją matką. W końcu co mamy do stracenia?

- Mnóstwo - ostrzegł ją. - Jeżeli wskaże na twojego ojca...

- Wówczas wrócimy najwyżej do punktu wyjścia. Nic gorszego się nie stanie. Cokolwiek powie twoja mama, nie zaskoczy mnie bardziej niż to, co ty mi dziś powiedziałeś.

Wciąż trzymając go za rękę, ruszyła w stronę schodów.

Uwolnił rękę i schylił się, żeby podnieść z podłogi butelkę. Nie zamierzał nigdzie iść, dopóki nie weźmie z domu kluczyków i nie wstawi piwa do lodówki. Może będzie miał na nie ochotę po powrocie do domu, a jeśli tak, to raczej na zimne niż ciepłe.

Martwił się o Lily, a jeszcze bardziej o samego siebie. Odbył dziesiątki takich rozmów z matką; wszystkie były nieprzyjemne, w dodatku nie przynosiły żadnych rezultatów. Za każdym razem, gdy próbował uchylić drzwi i zajrzeć do środka, matka zatrząskiwała mu je prosto przed nosem. Słyszał trzask, chrzęst klucza w zamku, zgrzyt rygla.

Tak, jasno dawała mu do zrozumienia, że nigdy nie dopuści go do swojej tajemnicy.

Lily jednak tego nie doświadczyła. I sama się o to napraszała. Niech jej będzie. Skoro tak chce, pojedzie z nią do Evie. Matka oczywiście nie puści pary z ust, Lily do końca życia będzie wierzyła w niewinność swojego ojca, a on, Aaron... Cóż, jego sytuacja się nie zmieni. Usłyszysz kolejny trzask, chrzęst, zgrzyt. I nadal będzie tkwił za drzwiami.

W porządku. Zaciśnię zęby i podejmie jeszcze jedną próbę. Zrobi to dla niej. Dla Lily. Byleby potem czekało na niego mnóstwo zimnego piwa.

Piętrowy domek przy Third Street był nędzną rudera. Żadne inne słowo nie przychodziło Lily do głowy, kiedy patrzyła na krzywe, popękane ściany, na łuszczącą się farbę, na kruszące się schody prowadzące do drzwi. Na podjeździe stał jakiś stary pordzewiały samochód, a ze szpar pomiędzy płytami chodnikowymi wyrastały kępy trawy.

Nagle Lily uświadomiła sobie, że Aaron tu kiedyś mieszkał, tu się wychowywał i dorastał. Mało że w brzydszej i uboższej części miasteczka, to jeszcze w tak nędznym, obskurnym domu. Popatrzyła na czarne od brudu okna, na starą, rozprutą kanapę stojącą na krzywym, jakby zapadającym się ganku, na przybitą do drzewa zniszczoną tablicę z koszem, a właściwie łysą obręczą do gry w koszykówkę, i przygryzła wargę, by powstrzymać się od komentarza. Widząc napięcie malujące się na twarzy Aarona, zdała sobie sprawę, że nie jest to odpowiedni moment na okazywanie współczucia.

- Nawet nie wiem, czy jest w domu - mruknął, choć w paru oknach na parterze i na piętrze paliło się światło.

Wszedł po schodkach na ganek, wcisnął dzwonek przy jednej z dwóch par drzwi, po czym cofnął się i podniósł głowę.

Mniej więcej po minucie w oknie pojawiła się Evie Mazerik.

- Kto tam?! - zawołała przez siatkę przeciw muchom.

- Ja, Aaron. Mam klucz.

- To dobrze. Wejdz.

Przekręcił klucz w zamku.

- Schody ją męczą - wyjaśnił, przepuszczając Lily przodem.

Zobaczyła wąski korytarz, który prowadził w stronę ciemnych, stromych schodów. Aaron wcisnął kontakt przy drzwiach. Na podeście zapaliła się zawieszona u sufitu pojedyncza żarówka. Wszędzie unosił się zapach stęchlizny.

Idąc na górę, Lily zaczęła się zastanawiać, czy słusznie zrobiła, nalegając, by tu przyjechali. Chciała jednak, żeby Aaron podjął jeszcze jedną próbę, żeby zaryzykował. To dzięki niemu ona sama zaczęła inaczej traktować życie; natchnął ją odwagą, dał siłę. Przestała się obwiniać za wszystkie kłopoty w swym małżeństwie. Odkryła groźną skazę na związku rodziców i zmusiła ich, aby się nią zajęli. Zaprosiła przyjaciół do siebie do domu - co prawda większość nie mogła przyjść, ale liczył się sam fakt, że wystąpiła z inicjatywą - i zmieniła technikę malarską. Udało się jej wyrwać z marazmu, w jakim trwała od dawna.

Odżyła. Otworzyła się na świat, na miłość. Pokochała mężczyznę, który tchnął w nią nowe życie.

Pragnęła mu się odwdziżyć. Nawet gdyby miało się okazać, że nie może mu ofiarować swego serca, chciała dać mu coś równie cennego jak to, co on jej podarował. Nie pieniądze, ale prawdę o samym sobie.

Zanim doszli na piętro, Evie Mazerik otworzyła drzwi do mieszkania. Zdziwiła się na widok Lily, ale już po chwili grymas zniknął, a jego miejsce zajął przyjazny uśmiech.

- O, dzień dobry - powiedziała i patrząc ponad ramieniem Lily na swego syna, dodała z lekkim wyrzutem: - Powinieneś był mnie uprzedzić...

- Powinienem być - rzekł, uśmiechając się kwaśno do Lily. - Możemy wejść?

- Oczywiście. Chodzi mi tylko o to, że gdybym wiedziała, że nie będziesz sam, tobym trochę uprzątnęła ten bałagan.

Wprowadziła ich do ciasnego, zagraconego salonu o dawno nie malowanych, poszarzałych od brudu ścianach. W oknach wisiały stare spłowiałe zasłony, na podłodze leżał brązowy dywan, postrzępiony z brzegu, a na środku przetarty. Wzdłuż jednej ze ścian stał regał pełen rupieci. Czego tam nie było! Wazon, wazoniki, figuryнки, pisma, pocztówki, pamiątkowe popielniczki i setki innych drobiazgów. Telewizor w rogu był włączony. Na ekranie widać było na przemian to wiwatującą publiczność, to uśmiechniętych uczestników teleturnieju, to rozświetlone znaki dolarowe. W powietrzu unosił się nieświeży zapach papierosów.

- Ty jesteś Lily Bennett - powiedziała Evie, kiedy zorientowała się, że syn nie zamierza dokonać prezentacji. - Znam wszystkich w miasteczku, przynajmniej z widzenia. Jak się tyle lat co ja pracuje w Sunnyside Cafe, trudno nie wiedzieć, kto jest kto.

W szarych spodniach i szaroburej koszulce, ufarbowana na rudo, troszkę potargana, z tandetnymi klipsami w uszach i śladami różowej

szminki na wargach, Evie Mazerik idealnie wtapiała się w brudnawe, spłowiałe tło.

- Faktycznie - przyznała Lily. - Trudno nie wiedzieć.

- Chcecie się czegoś napić? Mam chyba w lodówce jakąś lemoniadę czy mrożoną herbatę.

Poczłapała do kuchni, Aaron za nią, a Lily za Aaronem.

Kuchnia była znacznie mniejsza od pokoju i cuchnęła dymem. Nic dziwnego - w szklanej popielniczce na okrągłym stoliku pod oknem tlił się papieros. W zlewie leżały stosy brudnych naczyń, ale blaty szafek były czyste. Poza kuchenką mikrofalową, pozostałe sprzęty kuchenne wyglądały jak z innej epoki. Mimo szeroko, otwartego okna nie było żadnego przewiewu; powietrze było ciężkie, duszne, zabarwione dymem na niebiesko.

Evie Mazerik zajrzała do lodówki, po czym zamknęła ją i obróciwszy się do gości, oznajmiła z uśmiechem:

- Pomyliłam się, nic tu nie ma. Ale mogę przyrządzić lemoniadę. Albo zaparzę kawę, co? Macie ochotę na kawę? Wprawdzie jest gorąco...

- Och nie! - zaprotestowała Lily. - Nie trzeba, proszę się nie kłopotać.

Pół godziny temu, kiedy stała na tarasie za domem Aarona, pomysł złożenia wizyty pani Mazerik wydawał się jej doskonały. Teraz, kiedy tkwiła w dusznej kuchni i patrzyła na jego matkę, zaczęła mieć wątpliwości. Nagle zrozumiała, że chyba popełniła dziś taki sam błąd jak wczoraj, kiedy uznała, że matkę i syna łączy bliska serdeczna więź.

Aaron podszedł do stołu i zgasił palącego się w popielniczce papierosa, gniotąc niedopałek tak mocno, żeby wreszcie przestał się tlić. Lily potraktowała to jako wyraz troski, a nie złości.

- Mam ciasteczka! - przypomniała sobie Evie i pokuśtykała do jednej z wiszących szafek.

- Mamo, nie jesteśmy głodni. - Aaron ujął matkę za łokieć i odsunął od szafek. - Nie przyszliśmy na podwieczorek. Przyszliśmy, bo Lily chce cię spytać o mojego ojca.

Uśmiech na twarzy starszej kobiety zgasł. Zmarszczyła czoło, zmrużyła oczy i wbiła wzrok w gościa.

- Usiądź, mamo.

Podprowadził ją do krzesła. Evie usiadła. Wyciągnęła rękę po paczkę papierosów, która leżała schowana za plastikowym serwetnikiem w kształcie motyla.

Po chwili nerwowo zaciągnęła się dymem. Ręka jej drżała, ale drżenie mogło być spowodowane niedawnym wylewem, a nie lękiem, gniewem czy zdenerwowaniem.

- Nie zamierzam rozmawiać na ten temat - rzekła, wypuszczając z ust kłęby dymu.

Aaron posłał Lily takie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem?

Ona jednak postanowiła się nie poddawać. Wyciągnęła drugie krzesło, usiadła, oparła ręce na stole i uśmiechnęła się ciepło.

- Przypuszczalnie uważa pani, że wtykam nos w nie swoje sprawy - zaczęła. - Ale akurat ta sprawa bardzo mnie dotyczy. Bo widzi pani, Aaron myśli, że jego ojcem jest mój ojciec.

- Nie zamierzam rozmawiać na ten temat - powtórzyła Evie głosem ochrypłym od dymu.

- Doskonale panią rozumiem. Mnie również by przeszkadzało, gdyby ktoś próbował ingerować w moje życie, ale...

- Tu nie tylko chodzi o jej życie, Lily - wtrącił Aaron. Stał oparty o szafki, z rękami skrzyżowanymi na piersi i wyrazem powagi na twarzy. Już tyle razy odbywał tę rozmowę, że nie był w nastroju, aby pocieszać matkę. - Chodzi także o moje. Ale jej to nie interesuje.

- Przestań, Aaron - ostrzegła Evie. - Nie mam ochoty znów tego z tobą wałkować.

- „Tego”, jak powiadasz, nie wałkowaliśmy od lat, mamó. Nie wałkowaliśmy, bo wiem, że to doktor Bennett jest moim ojcem. A skoro odkryłem prawdę, uznałem, że faktycznie dalsze dyskusje nie mają sensu.

- A ja wiem, że doktor Bennett nie jest twoim ojcem - powiedziała do niego Lily, po czym ponownie wbiła wzrok w Evie. - Aaron nie wierzy ani mnie, ani mojemu ojcu. Pani jest jedyną osobą, która może go przekonać.

Z oczu starszej kobiety nie sposób było cokolwiek wyczytać.

- Julian Bennett to dżentelmen - oświadczyła. -Więcej nic wam nie powiem.

- Ależ musi pani! To za mało! - zawołała Lily, rozumiejąc wściekłość i bezsilność Aarona, a zarazem obserwując z pewnym rozbawieniem nieprzejednaną postawę jego matki. Podziwiała uparte kobiety. Całkiem niedawno przekonała się, że sama też ma tę cechę.

- Proszę pani, nikt lepiej ode mnie nie wie, że mój ojciec to dżentelmen. Aaron jednak się z tym nie zgadza. Uważa, że mój ojciec jest

typem mężczyzny, który mógłby spłodzić dziecko, a potem się go wyprzeć.

- Twierdzisz, że tak postąpił ojciec Aarona? Że się go wyparł?

- A może nie? - spytał cierpkim tonem Aaron. Wciąż stał oparty o szafki, jakby dystansując się od kobiet siedzących przy stole pod oknem. - Gdzież się podziewa mój ukochany ojczulek? Kiedy weźmie mnie w ramiona, uściśnie i powie: „Witaj, synu”?

- Nie pozwalam ci mówić" źle o ojcu! - oburzyła się Evie. - Nie żartuję, Aaron. Twój ojciec... - Drżała jej nie tylko ręka, ale i głos. Zaciągnęła się papierosem, próbując opanować zdenerwowanie. - Powiem tylko - dodała po chwili - że w jego żyłach płynie znacznie lepsza, szlachetniejsza krew niż w moich. Wszelkie pozytywne cechy swojego charakteru zawdzięczasz jemu.

- Świetnie. Chciałbym mu wobec tego za nie podziękować. Czy możesz mi więc zdradzić, jak mój ojciec się nazywa?

- Nie! Wiesz, że nie mogę!

Nie kryła irytacji. Rumieniec gniewu barwił jej policzki, oczy lśniły gorączkowo.

- Dlaczego pani nie może? - spytała cicho Lily.

- Bo obiecałam. On mnie o to poprosił, a ja się zgodziłam.

Przyrzekłam, że nigdy nie zrobię nic, co by mogło zaszkodzić jego opinii.

- Jeśli chodzi o twoją, on nie miał podobnych skrupułów - zauważył kwaśno Aaron.

- O moją? Bez przesady! Byłam zwykłą dziewczyną ze wsi, która przyjechała do miasta, bo jej rodzina ledwo wiązała koniec z końcem. Nie miałam żadnej opinii. A on... pochodził z innego świata. Wprost nie

mieściło mi się w głowie, że mógłby na mnie spojrzeć, nie mówiąc o tym, że mógłby mnie pokochać.

- Nie kochał cię, mamó. Zabawił się tobą, a kiedy okazało się, że jesteś w ciąży, odszedł. Porzucił cię.

- Nie porzucił. Po prostu nie miał wyjścia. - Zaciśnięwszy mocno usta, popatrzyła na Lily, jakby szukała u niej zrozumienia. - Czasem tak bywa. Postępujemy najlepiej, jak można w danej sytuacji.

Korciło Lily, aby ująć Evie za rękę, zapewnić ją, że nikt jej nie atakuje, że nie musi się bronić.

- Tak wiele czasu już minęło. Sądzi pani, że po tylu latach można zaszkodzić czyjejś opinii? Wątpię. A Aaron pragnie jedynie poznać nazwisko swojego ojca.

- A ty? - spytała oskarżycielskim tonem kobieta. - Czego ty chcesz? Lily uśmiechnęła się niepewnie.

- Ja? Ja chcę usłyszeć, że tym człowiekiem nie jest Julian Bennett.

- Nie, nie wciągniecie mnie w tę grę. Jak powiem, że Iks nie jest, zaczniecie pytać o Igreka. Nic z tego. Dałam słowo i on - wskazała palcem na Aarona — dobrze o tym wie. - Zaciągnęła się jeszcze raz dymem, po czym zgasła papierosa. - Człowiekiem honoru jest się wtedy, gdy się postępuje honorowo, czyli nie łamie słowa. Ja słowa nie zламаłam i nie złamię.

Lily zerknęła przez ramię na Aarona. Przedtem patrzył na nią butnie i wymownie, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem? Teraz w jego oczach malowało się zniecierpliwienie i ból.

Ponownie przeniosła spojrzenie na Evie Mazerik. Zdała sobie sprawę, że kobieta nie spełni prośby syna. Uparła się i - czy to z powodu

danego słowa, czy to z powodu własnego egoizmu - nie zamierzała wyjawiać Aaronowi nazwiska, które pragnął usłyszeć. Lily miała nadzieję, że może jej uda się wydobyć z Evie tę informację.

- Zakochałam się w pani synu - powiedziała cicho, lecz z przejęciem w głosie. Bała się odwrócić, ujrzeć reakcję Aarona. Może nie powinna w jego obecności mówić o swoich uczuciach? Nie chciała go przecież wystraszyć. - Jeżeli on i ja... jeżeli mamy wspólnego ojca, to sytuacja się mocno komplikuje.

Evie wydawała się zaskoczona tym oświadczeniem.

- Niedawno straciłaś męża...

- Siedem miesięcy temu. To... to całkiem inna historia. Moje małżeństwo i żałoba nie mają żadnego znaczenia. Liczy się dzień dzisiejszy. Kocham Aarona i muszę wiedzieć, czy jesteśmy spokrewnieni. Błagam panią, od tego zależy nasza przyszłość.

Lily nie odrywała od niej wzroku. W dalszym ciągu bała się obejrzeć za siebie; jeżeli Aaron spoglądał na nią z ironią lub pogardą, wołała o tym nie wiedzieć.

Evie popatrzyła na syna, potem na siedzącą przy stole młodą kobietę.

- Nie! - oświadczyła nagle, po czym wbiła oczy w skrawek nieba widoczny przez okno. - To nie był Julian. Więcej ode mnie nie usłyszycie.

Lily wypuściła powietrze; nawet nie wiedziała, że je wstrzymuje. Ręce miała mokre od potu. Czowała się wypompowana. Lecz przynajmniej uzyskała jakąś informację. I mimo zmęczenia wstąpiła w nią nadzieja. Aaron nie jest jej bratem, a jej ojciec nie jest jego ojcem. Są wolni. Mogą robić wszystko, na co mają ochotę i być tym, kim chcą - przyjaciółmi, kochankami, kimkolwiek. Bo nie są spokrewnieni.

Za plecami usłyszała odgłos kroków. Obejrzawszy się, zobaczyła, jak Aaron bez słowa opuszcza kuchnię. Poderwała się od stołu i zacisnęła rękę na dłoni Evie.

- Dziękuję - szepnęła, po czym pośpieszyła za Aaronem.

Zanim zamknęła za sobą drzwi, był już na parterze, a zanim wybiegła na zewnątrz, stanął przy samochodzie. Czekał, gapiąc się pod nogi, podczas gdy ona szła po wypalonym od słońca trawniku. Kiedy otworzyła drzwi, usiadł na fotelu pasażera i z kamiennym wyrazem twarzy wpatrywał się przed siebie.

Zajęła miejsce za kierownicą, przekręciła kluczyk w stacyjce i odjechała sprzed domu. Skręcając w prawo, zerknęła spod oka na Aarona; wciąż siedział sztywno jak posąg, usta miał zasznurowane, spojrzenie lodowate.

- To chyba dobra wiadomość - powiedziała cicho.

- Jasne - odezwał się drewnianym głosem.

- Nie jesteśmy rodzeństwem.

Nie odpowiedział.

- Zawsze to jakiś początek. Skoro twoja matka wyjawiała ten jeden szczegół, może z czasem wyjawি resztę.

- Jasne.

Uporem dorównuje matce, pomyślała Lily; a przecież podczas dzisiejszej rozmowy dowiedział się więcej niż kiedykolwiek przedtem. Siedział milczący, wściekły, nie pozwalając sobie nawet na najmniejszy uśmiech triumfu. Wolał myśleć o tym, czego nie udało mu się uzyskać, niż cieszyć się tym, co zdobył.

Starala się nie być na niego zła. Ją samą rozpieiała radość - z powodu swoich rodziców, a głównie z powodu siebie i Aarona. Nie muszą się już dłużej wstrzymać. Mogą z czystym sumieniem sprawdzić, czy ogień, jaki ich trawi, wkrótce wygaśnie, czy raczej wybuchnie ze zdwojoną siłą.

Aaron pragnął jej od lat, od czasów szkoły średniej. Dwa tygodnie temu dał jej siłę, odwagę, pomógł pokonać lęki. Otworzył jej oczy; pokazał, czym może być związek mężczyzny z kobietą. Czyż nie powinni się zatem cieszyć, wspólnie świętować zwycięstwa?

Skupiła się na prowadzeniu pojazdu, uznając, że będzie czas na rozmowę, kiedy dojadą do domku nad rzeką. W samochodzie panował półmrok. Kilka razy - w blasku latarni ulicznej, w świetle reflektorów jadącego z naprzeciwka wozu - widziała twarz Aarona; siedział nachmurzony, ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi ustami. Ale nawet jego posępna mina nie była w stanie popsuć jej humoru.

Nie są spokrewnieni! Hura, hura! Mogą zostać kochankami. Teraz, jutro, kiedyś. Świat stoi przed nimi otworem. Nikt im nic nie mógł narzucić, czegokolwiek zakazać. Droga, którą obiorą, będzie zależała wyłącznie od nich.

Skrećła w podjazd prowadzący do jego domu, zaciągnęła hamulec ręczny. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, Aaron pchnął drzwi i wysiadł.

- Poczekaj! - zawołała.

Wszedł na ganek i po chwili zniknął w środku. Ponieważ zostawił drzwi uchylone, potraktowała to jak zaproszenie.

Dom Aarona w niczym nie przypominał domu jego matki. Ściany w salonie obite były sosnową boazerią, naprzeciw pieca stały wygodne

meble. Ozdobą regałów były książki, płyty i aparatura grająca, a nie stare gazety i tandetne drobiazgi. Kuchnię, która była jasno oświetlona i lśniła czystością, dzielił od salonu rząd szafek.

Aaron obszedł je, potem minął zlew, lodówkę, i kuchennymi drzwiami wyszedł na taras. Lily wybiegła za nim.

Stał przy okalającej taras balustradzie, z rękami zaciśniętymi na drewnianej poręczy, z wzrokiem utkwionym w rzecę, która migotała między drzewami, coraz słabiej widoczna w szybko zapadającym mroku. Przez moment Lily w milczeniu obserwowała jego plecy. Widziała, że jest spięty. Miała ochotę podejść bliżej, objąć go w pasie - i zrobiłaby to, gdyby nie bała się, że ciśnie ją jak piłkę w trawę.

- Dlaczego jesteś na mnie zły? - spytała, nie ruszając się z miejsca.

- Na ciebie? Nie, nie jestem.

A więc jest zły na matkę. O powód tej złości Lily nie musiała pytać.

- A nie sądzisz, że z wizyty u twojej mamy wynikło jednak coś pozytywnego?

- Jasne. Dla ciebie.

- Dla nas - poprawiła go.

- Lily... - Odwrócił się do niej przodem. Twarz miał wykrzywioną gniewem i bólem. - Ona znów odmówiła. Nie podała żadnego nazwiska. Nigdy z niej nie wydobędę prawdy. Za każdym razem, kiedy ją pytam o ojca, ona wbija mi sztylet w serce. Tym razem też to zrobiła, więc nie oczekuj ode mnie radości.

- Ale przyznała, że to nie mój ojciec...

- Świetnie. Możemy go skreślić z listy podejrzanych.

- Myślałam, że się ucieszysz.

- Ja? To ty możesz się cieszyć. - Skierował wzrok w niebo, jakby w gęstniejącym mroku szukał właściwych słów. - Możesz i powinnaś.

Dowiedziałaś się, kim jest twój ojciec. Dżentelmenem, który nie zrobił Evie Mazerik syna. A ja w dalszym ciągu nie znam nazwiska swojego ojca. I nigdy nie poznam.

- Tak, ale... - zaczęła protestować i nagle doznała olśnienia.

Zrozumiała, że w tym momencie jej uczucia do Aarona nic nie znaczą. Cierpienie, jakie matka mu zadała, było tak wielkie, że przesłaniało sobą wszystko. Nic innego się nie liczyło, a już na pewno nie tak przyziemne sprawy jak miłość czy pożądanie. Miała ochotę się rozplakać, przejąć na siebie chociaż część jego bólu. Chciała mu pomóc, wyrwać go z zakłętego kręgu, sprawić, by ozdrowiał. Ale nie wiedziała, od czego zacząć.

Wyczuł w niej jakąś zmianę.

- Wracaj do domu, Lily - rzekł łagodnie. - Nie mam siły robić dobrej miny do złej gry.

- Właśnie dlatego powinnam zostać.

- Słuchaj, krwawią mi wszystkie bebechy. Czuję się paskudnie. - Ponownie skierował spojrzenie na rzekę. Z jego głosu, z całej postawy, przebijała rozpacz. - Nie chcę, żebyś mnie widziała w takim stanie.

Za późno. Już go zobaczyła, tego małego wrażliwego chłopczyka, boleśnie zranionego przez matkę. Zobaczyła i pokochała jeszcze mocniej. Miłość dała jej siłę, pozwoliła podejść do balustrady, przy której stał, i go objąć.

Przyłożyła policzek do jego pleców, splotła ręce na jego brzuchu. Poczwała, jak wstrząsa nim dreszcz. Skorupa, w której usiłował się

zasklepić, pękła. Lily zacisnęła ręce jeszcze mocniej. Ją również przebiegł dreszcz. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo się jej w życiu poszczęściło: wychowała się w kochającym domu, miała wspaniałych rodziców, cudownych przyjaciół, uwielbiała miasteczko, w którym kiedyś mieszkała i do którego powróciła. Tego wszystkiego Aaronowi brakowało. Całe życie, aż do tej pory, był zupełnie sam.

- Nigdzie nie pójde - szepnęła tak cicho, że ledwo sama siebie usłyszała.

Kiedy się obrócił i spojrzał jej w twarz, domyśliła się, że on ją usłyszał. A kiedy pochylił głowę, kiedy przywarł ustami do jej ust, kiedy wziął ją w ramiona i przytulił tak mocno, jakby była jego ostatnią deską ratunku, wtedy nie miała już żadnych wątpliwości.

Chciała go zapewnić, że go nie opuści, że nie boi się jego, jak to określił, krwawiących bebechów. Chciała mu powiedzieć, że go podziwiała za odwagę i siłę, za to, że - choć wychował się bez ojca i bez poczucia bezpieczeństwa, jakie daje dom rodzinny - wyrósł na tak wspaniałego faceta.

Ale nie mogła mówić, bo jego wargi przywierały do jej ust. Miała jedynie nadzieję, że pocałunkiem zdoła wyrazić to wszystko, czego nie mogła wyrazić słowami. Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, oddechy coraz szybsze, bicie serca coraz gwałtowniejsze. Ręce Aarona błądziły po jej ciele, po plecach, ramionach, biodrach, gładziły ją po szyi, po twarzy. Pomyślała sobie, że ten pocałunek, z początku delikatny, teraz dość brutalny, jest jak obraz, który namalowała wczorajszego wieczoru: pełen bólu, żaru, gniewu, lecz również piękna i nadziei.

Nie odrywając ust od jej warg, Aaron zsunął z jej ramion sukienkę. Poczwała na plecach jego ręce, szorstkie, o skórze pokrytej odciskami. Jęknęła cicho. Uniósł głowę. Przez moment pieścił ją wzrokiem, po czym delikatnie pchnął na hamak. Kiedy leżała, zaczął zdzierać z siebie ubranie. Miał wspaniałe ciało, szczupłe, umięśnione. Pragnęła je dotknąć, pogłodzić, ale nie dane jej było nacieszyć się jego widokiem. Całował ją, pieścił, tulił. Zamknęła oczy, czując, jak zalewa ją potężna fala rozkoszy. Leżała wyczerpana, bezradna. Ale i szczęśliwa. Wiedziała, że choćby Aaron bardzo się starał, nie zdoła jej wystraszyć ani przepędzić ze swojego życia. Kochała go i nie zamierzała nigdzie odchodzić.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie miał siły się ruszyć. Jej ręce gładziły go lekko po plecach, więc wiedział, że Lily jeszcze żyje, że nie zgniótł jej na śmierć. Ale powinien się podnieść. Biedaczka pewnie z trudem oddycha. Za chwilę, powtarzał sobie w duchu. Tylko weźmie się w garść, tylko zbierze siły...

Tylko przestanie się nienawidzić.

Była taka krucha i delikatna, o skórze gładkiej jak masa perłowa, o jedwabistych włosach, kusząco zmysłowych ustach...

Nagle poczuł ostry skurcz. Nienawidził się za to, co zrobił. Lily, cudowna, piękna Lily, kobieta, o której marzył całe życie, a na której względy nie zasługiwał. Rzucił się na nią jak zwierzę, myśląc tylko o tym, żeby ukoić ból i na parę chwil zapomnieć o goryczy.

- Aaron? - Głos miała cichy, przytłumiony. Uniósł się na łokciu i, bojąc się napotkać jej wzrok, skierował oczy w stronę drzew, za którymi szemrała rzeka.

- Aaron, czy wszystko w porządku?

Czy wszystko w porządku? Co miał powiedzieć?

Wtem poczuł, jak Lily ujmuje go za brodę i zmusza, aby spojrzał jej w twarz.

- Przepraszam - szepnęła - jeżeli sprawiłem ci ból...

- Ból? - Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Ja... - Zamknął powieki. Był zbyt brutalny, zbyt niecierpliwy. Może nie sprawił jej bólu, ale podejrzewał, że przyjemności też nie. - Na ogół lepiej się spisuję - dodał speszony.

- W seksie? - spytała. Skinął głową, że tak.

- W takim razie musisz mi to udowodnić.

Otworzył oczy i przyjrzał się jej uważnie, sprawdzając, czy nie żartuje. Bo przecież po tym, co przed chwilą zademonstrował, powinna uciec od niego jak najdalej.

- Cholera jasna! Zapomniałem o prezerwatywie. -Zalała go kolejna fala wyrzutów sumienia.

- Nie szkodzi. Biorę pigułkę.

No tak. Przez wiele lat była mężatką, a mając za męża alkoholika, przypuszczalnie wolała wystrzegać się ciąży. Po jego śmierci zaś pewnie z przyzwyczajenia stosowała środki antykoncepcyjne. Jednakże to go w niczym nie usprawiedliwiało. Powinien być bardziej ostrożny. Chciał dla Lily jak najlepiej, chciał ją chronić przed złymi wspomnieniami, przed przeszłością i terażniejszością, a głównie przed sobą.

- Aaron - powiedziała cicho, pocierając palcem o jednodniowy zarost, który ocieniał jego policzki.

- Zachowujesz się tak jak ja. Winisz za coś, co nie jest twoją winą.

- To znaczy?

Jej dotyk działał na niego kojąco. Czuł, jak powoli opuszcza go napięcie. Przysunąwszy rękę, odgarnął Lily z policzka kilka niesfornych kosmyków i znów zdumiał się, jak miękkie i jedwabiste ma włosy.

- Kochaliśmy się. Oboje tego chcieliśmy.

Przypatrywała mu się uważnie, jakby usiłowała wyczytać coś z jego twarzy. Mimo panującego wokół mroku widział drobne zmarszczki na jej czole.

- Prawda? - upewniła się.

- Ja chciałem - odparł. - Od pierwszej chwili. Odkąd cię tylko ujrzałem. Ale... myśmy się teraz nie kochali.

- A co robiliśmy?

Co? On był wściekły na matkę. Wściekły, smutny, rozżalony, a Lily nie chciała zostawić go samego, kiedy kazał jej wracać do domu.

- Nie wiem - przyznał.

Zadumała się nad jego odpowiedzią. Miała prawo poczuć się obrażona, ale tak się nie stało. Czoło się jej wygładziło, zmarszczki zniknęły, oczy rozblęły.

- Kiedy byliśmy u twojej mamy - rzekła tym swoim słodkim, kojącym głosem - powiedziałam, że się w tobie zakochałam.

- Tak, bo chciałaś uzyskać informację o swoim ojcu.

- Nie. Bo to prawda.

Uniosła głowę i pocałowała Aarona. Tym czułym, delikatnym pocałunkiem dała mu do zrozumienia, że nie musi nic mówić, nic tłumaczyć, za nic przeproszać ani się usprawiedliwiać.

Po prostu kocha go. I tylko to się liczy.

On zaś nigdy dotąd nie był zakochany; nie kochał Cynthii, z którą spotykał się w Indianapolis, ani żadnej innej kobiety, z którą los go zetknął. Nie znał tego uczucia. Nie wiedział, czym jest miłość. W pewnym momencie zaczął nawet podejrzewać, że może istnieje coś takiego jak gen miłości, którego on nie posiada. Dopiero teraz, kiedy Lily się w niego wpatrywała, kiedy oczy jej lśniły, a triumfalny uśmiech rozpromieniał twarz, poczuł siłę miłości. Wielką, przytłaczającą. Wystraszył się. A potem ból zniknął, strach również, i ogarnęła go cudowna błogość.

Nagle w zalegającej wokół ciszy usłyszał własny głos:

- Kocham cię, maleńka.

Komary zagoniły ich do środka. Aaron zgarnął z podłogi ubranie i zapraszającym gestem wskazał drzwi kuchenne. Mrużąc oczy przed ostrym blaskiem zawieszanej u sufitu lampy, Lily wyciągnęła rękę po sukienkę. Na próżno. Aaron ujął ją za rękę i poprowadził krótkim korytarzem w stronę sypialni. Pokój był tak mały, że ledwo mieściło się w nim kilka mebli: wąskie łóżko, wysoka komoda, krzesło.

Rzucił ubranie na krzesło, po czym wysunął szufladę, z której wyjął dużą białą koszulkę z czerwonym napisem „Diabełki z Riverbend”, i wręczył ją Lily. Miękka bawełniana tkanina sięgnęła jej do kolan.

Sam włożył szare spodenki gimnastyczne.

- W brzuchu burczy mi z głodu - oznajmił. - A ty? Jesteś głodna?

Wrócili do kuchni. Aaron sprawiał wrażenie speszzonego, nieśmiałego chłopca. Ilekroć ich spojrzenia się spotykały, Lily czuła, jak przeskakuje między nimi iskra. Aaron jednak szybko spuszczał wzrok, jakby nie wytrzymywał napięcia. Albo bał się poparzenia.

Może słusznie. Może ona też powinna wykazać większą ostrożność. Ale nie potrafiła. Tyler nigdy jej tak nie zawrócił w głowie. Owszem, trudno było mu się oprzeć, trudno zwłaszcza dwudziestoletniej dziewczynie z małego miasteczka. Jej mąż był przystojny, bogaty, romantyczny, lecz nie czuła z nim tej więzi, tej niesamowitej bliskości co z Aaronem.

Wzięła głęboki oddech, potem wolno wypuściła po wietrze. Aaron stał pochylony przed otwartymi drzwiami lodówki; po chwili wyprostował się, trzymając w dłoniach miskę pełną winogron oraz jedno jabłko.

Postawiwszy miskę na stole, zaczął obierać jabłko.

- Mogę się na coś przydać?

- W szafce na lewo od zlewu są szklanki i kieliszki. Nie wiem, na co masz ochotę...

- Tak.

- Na wodę - odparła. Była zbyt podniecona, by ryzykować cokolwiek mocniejszego.

Skinął głową. Pokroił jabłko na ćwiartki i wyciął środek. Następnie ćwiartki przekroił na pół.

Po chwili na stole stała miska winogron, talerzyk z kawałkami jabłka, słoik masła orzechowego, dwie szklanki wody. Obok leżał nóż oraz paczka krakersów.

Dziwna kolacja, pomyślała Lily, ale o innej nie marzyła.

Aaron wskazał jej krzesło. Sam usiadł naprzeciwko, podniósł plasterk jabłka, posmarował go grubą warstwą masła orzechowego i podał Lily.

- Dzięki - powiedziała.

Ostatni raz jadła jabłka z masłem orzechowym we wczesnym dzieciństwie. Już nie pamiętała, jaka to pyszna kombinacja: kwaskowaty, soczysty owoc i słonawa, lepka masa o smaku orzeszków ziemnych. Drugi kawałek jabłka z orzechami Aaron przygotował dla siebie.

Lily przyglądała mu się w milczeniu. Jego tors wydawał się jej jeszcze bardziej smakowity od chrupiącego jabłka. Przypomniała sobie, kiedy po raz pierwszy zobaczyła płaski brzuch Aarona: w sali gimnastycznej, gdy koszulką wycierał spoconą twarz. Miała ochotę dotknąć go, gładzić, czubkami palców badać wszystkie mięśnie, ustami

pieścić skórę, wsłuchiwać się w rytmiczne bicie serca. Pragnęła, aby pokazał jej, jakim potrafi być dobrym kochankiem.

I żeby jego słowa, że ją kocha, okazały się prawdą.

Muszą być prawdą. Inaczej dlaczego byłby taki speszony, dlaczego unikałby jej wzroku, dlaczego tak intensywnie wpatrywałby się w pudełko krakersów i dlaczego by się nie odzywał? Niektórzy tak często używają słów „kocham cię”, że nie mają one żadnego znaczenia. On do tych ludzi nie należał.

Cisza była jednak dość krępująca. Lily nerwowe zastanawiała się, o czym mogliby porozmawiać. O koszykówce? O zajęciach, które prowadził z dziećmi? O pogodzie? Po tym, co dziś przeżyli, inne tematy wydawały się banalne.

- Słuchaj, a co figuruje w rubryce „ojciec” w twoim świadectwie urodzenia? - spytała nagle.

- Nieznany.

- Nieznany?

- Tak. Ojciec: nieznany.

Sięgnęła do miski po winogrono. Po chwili słodki, lekko kwaskawaty smak rozszedł się jej po języku. Siedzący po drugiej stronie stołu Aaron nie spuszczał z niej oczu. Przynajmniej przestał unikać jej wzroku.

- Myślałeś kiedykolwiek o tym, żeby skorzystać z usług prywatnego detektywa?

Roześmiał się.

- Wiadomość natychmiast by się rozeszła po całym miasteczku. To by się miało z celem.

- Twoim ojcem może być ktoś spoza miasta - zauważyła. - Wtedy nikt by się nie oburzał, że wynająłeś detektywa.

- Nie. To ktoś tutejszy. - Włożył do ust krakersa. - Ktoś, kogo twój ojciec znał, skoro pośredniczył między nim a moją matką.

Lily westchnęła głośno; miała nadzieję, że Aaron nie znienawidzi jej za to, co za moment usłyszy.

- Wiesz, właściwie to rozumiem twoją mamę. Rozumiem, dlaczego dotrzymanie obietnicy jest dla niej tak ważne: To się wiąże z dumą, z godnością. A to jedna z niewielu rzeczy, jakie ma w życiu.

- Ma syna.

- Dziecko nie jest rzeczą, którą można mieć lub nie. Dziecko to żywa, samodzielna istota, której nie sposób na siłę przy sobie zatrzymać.

- Mnie zdołała zatrzymać. Wróciłem przecież do Riverbend.

- Dlatego, że ją kochasz. Sam to powiedziałeś. Że wróciłeś, aby zająć się matką, bo jednak ją kochasz.

Posmarował następny kawałek jabłka masłem orzechowym i zbliżył go do ust. Jadł wolno, nie odrywając oczu od Lily.

- Ubezpieczenie nie pokryło wszystkich kosztów leczenia - rzekł. - Gdybym nie wrócił, musiałyby się nią zająć jakaś organizacja społeczna. Już i tak tutejszy kościół zorganizował akcję dobroczynną; pieniądze poszły na rehabilitację.

- To dobrze - powiedziała, dumna z mieszkańców Riverbend, że potrafili okazać serce komuś w potrzebie. - Pewnie milej się wraca do miejsca, w którym nie panuje znieczulica. Skinął głową.

- Tak, mieszkają tu porządni ludzie. Oczywiście nie wszyscy tacy są, ale nic dziwnego. Jako dzieciak... jako dzieciak z różnymi się stykałem. -

Popatrzył gdzieś w dal i na moment przeniósł się wspomnieniami do przeszłości. - Niektórzy dobrze odnosili się do mnie i mamy, chociaż większość traktowała nas z pogardą.

- Wydaje ci się...

- Nie, Lily. Większość wytykała nas palcem. Ale były wyjątki. - Zamyślił się. - Na przykład siostry Steele. Ruth i Rachel. Zawsze były dla mnie wyjątkowo miłe.

- To wspaniałe staruszki - przyznała.

- I trener Drummer. Jak ci już mówiłem, decyzję o pozostaniu w Riverbend w znacznej mierze podjąłem ze względu na niego. Od początku był dla mnie jak..

Lily, która właśnie zamierzała wrzucić do ust kol lejne winogrono, nagle zamarła. Zdała sobie sprawę z tego, co Aaron chciał powiedzieć.

- Tak, wszystko układa się w logiczną całość. To Drummer namówił Aarona, aby zamieszkał w Rivebend i zaopiekował się matką. To Drummer załatwił Aaronowi pracę w szkole. To Drummer osiemnaście lat temu ściągnął Aarona do szkolnej drużyny koszykówki. Wszystkich zadziwił tym niespodziewanym po sunięciem. W drużynie występowali świetni gracze, tacy jak Jacob Steele i Mitch Sterling, starsi chłopcy, którzy dbali o dobre imię szkoły i drużyny, i nagle do ich grona dołączył Aaron Mazerik, autsajder i rozrabiaka, który w dodatku spędził noc w policyjnym areszcie.

Trener Wally Drummer był dla Aarona jak ojciec.

- Aaron?

- Nie - odparł stanowczo.

- Uważasz, że to...

- Absolutnie wykluczone.
- Skąd możesz mieć pewność?
- Trener nigdy by tak nie postąpił. Kocha swoją żonę.
- Mój ojciec też kocha moją mamę, a mimo to uznałeś, że mógł ją

zdradzić.

- Nie - powtórzył z naciskiem. - To nie Drummer.

Lily zamyśliła się. Może dlatego Aaron nie skorzystał z usług prywatnego detektywa? Może woli nie wiedzieć? Potrafiłby zaakceptować prawdę, gdyby jego ojcem okazał się Julian Bennett. Juliana Bennetta nie czcił, nie ubóstwiał, Drummera zaś wielbił ponad wszystko. W jego oczach trener był człowiekiem nieskazitelnym, o czystym sumieniu. Gdyby detektyw odkrył, że to nazwisko Drummera powinno figurować na akcie urodzenia Aarona, Aaron nigdy by Drummerowi nie wybaczył.

Ale przecież to dawne dzieje. Jak Lily zauważyła w rozmowie z Evie, wszystko miało miejsce wieki temu. Czy Aaron naprawdę nie zdołałby wybaczyć człowiekowi błędu popełnionego przed trzydziestu kilku laty? Czy nie potrafiłby zaakceptować prawdy, przejść nad nią do porządku dziennego?

Po chwili wyciągnął nad stołem rękę i zacisnął ją na dłoni Lily. Biło od niej ciepło.

- Nie jestem człowiekiem łatwym we współżyciu - powiedział cicho.
- Może chcesz to wszystko sobie przemyśleć?
- Nie chcę - odparła z przekonaniem.

Przez wiele lat tkwiła w uciążliwym, bardzo skomplikowanym związku. Jednakże w przeciwieństwie do Tylera, Aaron nie miał w sobie

cech autodestrukcyjnych. Wiedziała, że nigdy nie sprawi jej tyle bólu co zmarły mąż.

Ucisk zacieśnił się. Nagle, nie puszczając jej ręki. Aaron odsunął krzesło od stołu i wstał. Delikatnie przyciągnął Lily do siebie, wziął ją w ramiona i zaczął obsypywać pocałunkami.

Nie pamiętała, kiedy przeszli korytarzem do sypialni. Nie pamiętała, kiedy ściągnął jej przez głowę koszulkę, kiedy zdjął swoje spodenki, kiedy położył ją na łóżku, a sam wyciągnął się obok. Łóżko było za wąskie dla dwóch osób, ale jej to w niczym nie przeszkadzało. Chciała czuć Aarona całą sobą.

Wiedziała, że tym razem będzie inaczej niż na ha maku. Wtedy Aaron był jak opętany, rozpaczliwie szukał ujścia dla swojego bólu i cierpienia. Teraz promieniał spokojem, miłością.

Wsparty na łokciu, przesuwał wolno palce po jej policzkach, nosie, ustach, szyi... Westchnęła błogo. Chciała, aby dotykał ją mocniej, szybciej, a jednocześnie aby pieszczoty trwały jak najdłużej. Chciała przenieść jego dłoń pomiędzy swoje uda, a jednocześnie pragnęła, by dalej pieściła jej piersi i ramiona. Zamknęła oczy. Nie była w stanie oddychać, nie była w stanie myśleć. Była w stanie tylko czuć. Czuć i kochać tego wspaniałego mężczyznę, który prowadził ją na szczyty rozkoszy.

Byli zespoleni. Fizycznie i psychicznie. Stanowili jedność. Jedność w miłości.

Nie wiedział, czy będzie potrafił normalnie funkcjonować. Spali krótko. Nic dziwnego; ściśnięci razem na wąskim łóżku bez przerwy się budzili. Za każdym razem, gdy Lily usiłowała zmienić pozycję, za każdym razem, gdy czuł jej oddech na swojej skórze, rosło w nim pożądanie.

Wstrzymywał się. Chciał pozwolić jej spać. Ale, psiakość, to nie była jego wina. Przekręcając się, a to ocierała się o niego biodrem, a to obejmowała go w pasie, i po chwili odnajdywali się w ciemnościach. Odnajdywali i znów sobą cieszyli. Tak było przez całą noc.

Wreszcie nastał ranek. Aaron był wyczerpany, lecz nie to było jego głównym zmartwieniem.

Lekko skrępowany, przyglądał się jej w porannych promieniach słońca, które wpadały przez okno. Zdał sobie sprawę, że na ogół ludzie kochają się w nocy, ponieważ chronią ich ciemności. Jemu też łatwiej było się obnażyć, kiedy wiedział, że Lily go nie widzi. Łatwiej było mu ją całować, kiedy nie miał przed oczami jej pięknej twarzy, o której marzył całe życie i która wzbudzała w nim tak wiele sprzecznych emocji.

Wziął prysznic i wrócił do sypialni. Stał cicho w drzwiach, patrząc, jak Lily uśmiecha się przez sen i leniwie przeciąga. Ale w porannym blasku słonecznym widział nie tylko wspaniałą, zmysłową kobietą, z którą spędził noc. Widział również Lily Holden, wdowę, która po śmierci męża wróciła w rodzinne strony. Widział Lily Bennett, uwielbianą przez wszystkich nastolatkę. Lily, miłą, sympatyczną Lily, która w ciągu jednego wieczoru wydobyła z Evie więcej informacji, niż jemu udało się w ciągu trzydziestu trzech lat.

Dzieliła ich przepaść. Ją wszyscy lubili i szanowali, jego zaś... No cóż, był Aaronem Mazerikiem. Niektórym to wystarczało.

- Która godzina? - zamruczała sennie.

Przetarł ręcznikiem mokre włosy. Wcześniej, w łazience, wciągnął czyste spodenki. Kusiło go, żeby włożyć koszulkę, którą wczoraj pożyczył Lily, ale bał się, że jeśli tak zrobi, to przez cały dzień na niczym nie będzie

mógł się skupić. Teraz wszedł do sypialni i z szuflady komody wyjął inną koszulkę, która nie była przesiąknięta jej zapachem.

- Pora, żebym zjadł śniadanie i ruszył do szkoły.

Muszę być na miejscu, zanim dzieciaki zaczną się zjeżdżać.

Przeciągnęła się. Prześcieradło zsunęło się jej do pasa i Aaron zamarł. Porażała go jej uroda. Jej wdzięk, idealne proporcje ciała, bijąca od niej zmysłowość...

Odwrócił wzrok, świadom, że jeszcze chwila, a nie będzie mógł się dłużej oprzeć.

- Hm, śniadanie... - szepnęła, ziewając.

- Zrobię jajecznicę. Zjesz?

- Aha. Dzięki.

Był podniecony, mimo iż stał zwrócony do łóżka plecami. Głos Lily był równie zmysłowy jak jej ciało. Niski, senny... Aaron czym prędzej wybiegł z pokoju. Żałował, że nie ma czasu wskoczyć drugi raz pod prysznic. Tym razem puściłby lodowaty strumień...

Kiedy weszła do kuchni, była ubrana, on zaś w pełni już nad sobą panował. Przerzucił jajecznicę na dwa talerze, na trzecim ułożył grzanki, do kubków wlał świeżo zaparzoną kawę.

- Boże, to dwa razy więcej, niż zwykle jadam! - zawołała ze śmiechem. - Ty to co innego. Skoro cały dzień trenujesz z dziećmi, musisz zjeść solidne śniadanie.

Musiał, ale nie tylko z powodu czekających go zajęć z dziećmi. Po prostu był głodny jak wilk. Na kolację zjadł lekką przekąskę, a potem prawie całą noc szalał z Lily w łóżku. Jego ciało domagało się

węglowodanów, białka oraz snu. On sam zaś pragnął w spokoju zastanowić się nad tym, co się wczoraj wydarzyło.

Właściwie to wiedział, co się wydarzyło. Wyznał Lily miłość. Poszedł za podszeptem serca, ale umysłem jeszcze nie zdążył tego wszystkiego ogarnąć.

- Chciałbym się z tobą zobaczyć po pracy - rzekł, po czym wyduśił resztę: - Ale sądzę, że nie powinienem.

W jej oczach rozbawienie mieszało się z niedowierzaniem.

- Dlaczego nie?

Uznał, że zbyt wiele ich łączy, aby mógł ją okłamywać.

- Muszę sobie przemyśleć parę spraw.

Nie spuszczać z niego wzroku, nabrała na widelec spory kawałek jajecznicy.

- I nie lubisz mieć towarzystwa, kiedy myślisz? Przynajmniej nie spytała, co to za sprawy. Ale nie musiała. Potrafiła czytać w jego myślach.

- Towarzystwo rozprasza - odparł.

- W porządku. Spędzę wieczór przy sztalugach.

- Zadzwoń do ciebie - obiecał.

Wiedział, że ciężko mu będzie słyszeć jej głos, lecz nie widzieć twarzy. No cóż, cierpienie uszlachetnia.

- Dobrze.

- Zobaczymy się jutro.

- Aaron, nie martw się o mnie. Chcesz pobyć sam, wszystko sobie przemyśleć. Ja to rozumiem.

Odwzajemnił jej uśmiech. Skoro nie czyniła mu wyj rzutów, skoro była tak miła i wyrozumiała, znaczyło to, że naprawdę go kocha.

- Kocham cię - rzekł.

Wypowiedział te słowa po raz drugi w życiu. Wciąż nie był pewien, czy zdoła sprostać temu, co za sobą pociągają i czy gotów jest wiązać się z Lily do grobowej deski. Bądź co bądź, miłość wymaga ogromnych poświęceń. Ale nie żałował tego, że nie ugryzł się w język.

Kochał Lily. I zdawał sobie sprawę, że jest to jeszcze jedna prawda, którą musi zaakceptować.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Aaron! - Żona Wally'ego Drummera uśmiechnęła się radośnie. Pchnęła kuchenne drzwi z siatki i zaprosiła go do środka. - Jaka miła niespodzianka! Co u ciebie słychać?

- Wszystko w porządku. - Rozglądał się po zalanej słońcem kuchni, omiatając wzrokiem to wiszący na ścianie kalendarz, to lodówkę i przychepione do niej magnesy w kształcie patelni, to leżące na krawędzi zlewu szczotki do szorowania warzyw. Patrzył wszędzie, byleby tylko nie napotkać oczu Mary Drummer. - Zastałem pani męża?

- Jest w piwnicy. Naprawia zegar ścienny. Ale możesz do niego zejść. Wally! - krzyknęła, otwierając drzwi, za którymi znajdowały się schody. - Przyszedł Aaron! Idź, kochany, śmiało - zwróciła się do gościa. - Wally na pewno się ucieszy z towarzystwa.

Aaron zmusił się, żeby ułożyć usta w uśmiech. Mary Drummer była niską kobietą o krępej budowie ciała, ciemnych kręconych włosach i twarzy, jaką można by ujrzeć na opakowaniu mąki do pieczenia ciasta. Odkąd Aaron pamiętał, zawsze była idealną gospodynią; chętnie gościła podopiecznych Wally'ego, organizowała akcje dobroczynne, z których dochód przeznaczony był na sprzęt sportowy dla szkoły, przygotowywała przekąski dla koszykarzy, kiedy jechali na mecz w innym mieście. Z początku Aaron ział do niej nienawiścią. Miała wszystkie cechy dobrej matki - była ciepła, serdeczna, spolegliwa, zawsze gotowa pocieszyć każdego świeżo wyjętymi z pieca ciasteczkami; innymi słowy, miała te cechy, których brakowało jego własnej matce.

Evie była ładniejsza, za to Mary bardziej poczciwa i wielkoduszna.
Czy trener mógł zdradzić żonę?

Aaron nie chciał się nad tym zastanawiać, nie potrafił się jednak powstrzymać. Przez cały dzień chodził rozkojarzony, myślał o rzeczach, które nie miały nic wspólnego z uczeniem dziesięciolatków gry w koszykówkę. Myślał o Drummerze, ale głównie myślał o Lily, o wspólnie spędzonej nocy. Miał wrażenie, że wciąż czuje jej oddech na ramieniu, łaskotanie jej włosów na piersi. W pewnym momencie dzieciaki biegły w dwóch rzędach, podając sobie piłki. On biegł z nimi. Nagle usłyszał jęk Lily, niski, gardłowy, który towarzyszył jej orgazmowi. Piłka odbiła się i poleciała da-lej.

Później dzieci ćwiczyły rzuty wolne; celowały w miejsce na tablicy zaznaczone czerwoną taśmą. Aaron stał z boku, od czasu do czasu dając jakieś wskazówki. W pewnym momencie zaczął rozmyślać o porannej rozmowie z Lily; kiedy powiedział, że chce być sam, nie nalegała, że muszą się koniecznie zobaczyć, po prostu stwierdziła, że spędzi wieczór przy sztalugach. Zanim wrócił myślami do sali gimnastycznej, dzieci właśnie skończyły trzecią serię rzutów.

Oczywiście, jego uwagę pochłaniała również osoba trenera Drummera. Często myślał o nim, kiedy ćwiczył z młodzieżą koszykówkę. Dziś jednak myślał o nim nie jak o trenerze, ale jak o człowieku, który całymi latami zastępował mu ojca.

Tak, Wally Drummer był dla niego jak ojciec.

Aaron miał ochotę zaszyć się w jakimś kącie, gdzieś, gdzie nikt by mu nie przeszkadzał, i poważnie się nad tym zastanowić. Nie mógł jednak zostawić dzieci. Uczenie ich gry w koszykówkę było jego pracą, a co

ważniejsze, pasją. Tkwił więc na posterunku, dopóki ostatnie dziecko nie odjechało do domu, a Jeff nie zaniósł sprzętu do magazynu.

Patrząc, jak chudy nastolatek zbiera piłki do wora, przypomniał sobie, jak sam to robił. Trener Drummer zawsze wyznaczał do tego zadania osobę, która spóźniła się na trening, która zbyt wolno biegła podczas rozgrzewki albo używała brzydkiego języka.

Po pewnym czasie Aaron przekonał się, że bez względu na to, jak brzydkiego używał języka, trener nie zamierzał wyrzucić go z drużyny. Jeżeli biegł za wolno, Drummer krzykiem go poganiał. Jeżeli spóźniał się, Drummer kazał mu zostawać dłużej. Po prostu robił wszystko, żeby Aarona wychować i zatrzymać w drużynie. „Zapłaciłem za ciebie”, mawiał. Aaron zakładał, że trenerowi chodzi o kaucję, którą za niego wpłacił. Ale może chodziło mu o coś całkiem innego?

O pieniądze w kopercie, które doktor Dennett każdego miesiąca wręczał Evie?

Rozmyślał o Drummerze, kiedy zamykał magazyn i gabinet, kiedy mył się i przebierał w szatni, oraz potem, kiedy opuścił budynek szkoły i wsiadł do zaparkowanego na placyku samochodu. Rozmyślał o zobowiązaniach trenera wobec zawodników, o zobowiązaniach dorosłego mężczyzny wobec zbuntowanego nastolatka i o zobowiązaniach ojca wobec syna.

W skrytości ducha całe życie wierzył, że jego ojcem jest doktor Bennett. Dopiero wczoraj okazało się to nieprawdą. Trudno mu było nagle zastąpić Bennetta ukochanym trenerem. Wally Drummer? Nie, to mu się w głowie nie mieściło.

Bezskutecznie próbował odeprzeć tę myśl. Ale nie mógł. Czuł, że musi ją drażnić: Nawet gdyby miało się okazać, że żyła złota nie jest żyłą złota, że to, co lśni, jest jakąś groźną substancją radioaktywną, musiał to zbadać. Nie miał wyjścia.

Stał na schodach prowadzących z kuchni Drummerów do piwnicy, starając się zebrać na odwagę, aby po nich zejść. Mary Drummer położyła rękę na jego ramieniu.

- Śmiało, Aaron. Wally na pewno się ucieszy.

Uśmiechnął się i ruszył na dół powoli, pełen obaw, nie wiedząc, co go czeka.

Połowa piwnicy była przerobiona na wygodny pokój, wprawdzie pozbawiony okien, ale za to z boazerią na ścianach, dywanem na podłodze, umocowaną do sufitu lampą i dość przypadkowo dobranymi meblami. Zawsze po wygranym meczu Drummer zapraszał tu swych podopiecznych i zamawiał pizzę. Niski sufit sprawiał, że z początku Aaron miał poczucie klaustrofobii. Zazwyczaj siadał w kącie na brzydkim fotelu obitym kraciastą tkaniną i zajadając się pizzą, obserwował roześmianych kolegów z drużyny. Niby nic nie robili, żeby czuł się wśród nich obco, ale nic też nie robili, aby włączyć go do swojego grona. Po prostu go nie zauważali.

Druga połowa piwnicy była wciąż niedokończona. Właśnie w tej części, za otwartymi drzwiami, przebywał Wally Drummer.

- Tu jestem! - krzyknął.

Siedział na stołku przy dobrze oświetlonym stole, W betonową ścianę nad blatem wbite były drewniane półki, na których leżały równo poukładane narzędzia.

- Cześć, Aaron. - Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął szeroko. -
Jak się miewasz?

- Nieźle. Aaron oparł się o ścianę, tak by nie przeszkadzać trenerowi w pracy, ale móc mu się spokojnie przyglądać. Zauważył, że Drummer ma szare oczy. Hm, on sam ma szaroniebieskie.

Czy poza tym jednak istniało między nimi jakieś podobieństwo? Na pewno nie większe niż pomiędzy nim a Julianem Bennettem.

Tak jak Aaron, Wally był dość wysoki, choć solidniejszej postury. Tak jak Aaron włosy miał proste, lecz Bennett również. Tak jak Aaron szczękę miał mocno zarysowaną, ale... Psiakość, pewnie połowa mężczyzn w Riverbend, którzy pasowaliby wiekiem, miała mocno zarysowaną szczękę.

Drummer zawsze zachowywał się uprzejmie w stosunku do Evie, ale to przecież o niczym nie świadczy. Uprzejmość Drummera Aaron tłumaczył tym, że po pierwsze, trener był kulturalnym człowiekiem, a po drugie, że zainwestował w jej syna sporo czasu, wysiłku i pieniędzy.

Właśnie z powodu tej „inwestycji” Aaron postanowił złożyć Drummerowi wizytę. Jaka jest szansa, że są spokrewnieni? Że ukształtowały go geny odziedziczone po Drummerze? Starał się uspokoić walące serce, zmusić usta do uśmiechu.

Drummer odłożył na półkę śrubokręt i ostrożnie zdjął pokrywę z zegara.

- Słowo daję, chłopcze, to chyba najohydniejszy zegar świata. Tylko spójrz!

Zegar miał kształt stokrotki: żółta tarcza, dookoła niej dwanaście białych płatków ponumerowanych od jednego do dwunastu, wskazówki przypominające łodygi. Z najkrótszej wyrastał zielony listek.

- Faktycznie. Ohydny - przyznał Aaron.

- Kiedy przestał działać, ucieszyłem się, że moje modły zostały wysłuchane - powiedział Drummer, oglądając kabel odchodzący od silniczka. - Pomyślałem sobie, że wreszcie wywalimy to paskudztwo. Ale Mary nie chce o tym słyszeć. Dostaliśmy ten zegar w prezencie ślubnym od jej ciotki. Chodził trzydzieści dwa lata. Mary zagroziła rozwodem, jeżeli nie zdołam go naprawić.

Roześmiał się. Aaron również; jednocześnie szybko dokonał w głowie obliczeń. Jeżeli Drummerowie są po ślubie zaledwie trzydzieści dwa lata, znaczyłoby to, że trener romansował z Evie, zanim ożenił się z Mary. Ale czy poślubiłby Mary, wiedząc, że inna kobieta urodziła jego syna?

Nie. Wally Drummer tak by nie postąpił. Poślubiłby Evie. Aaron nie miał wątpliwości. Oczywiście, do wczoraj nie miał wątpliwości, że spłodził go Julian Bennett.

Chyba już niczego nie mógł być pewien.

- Podejrzewam, że przewód się obłuzował. - Drummer pociągnął za kabel. - Jeśli tak, naprawa zajmie mi najwyżej parę minut i znów latami będę musiał patrzeć na to ohydztwo. Zerknij tu... Jak myślisz?

Aaron pochylił się; miał nadzieję, że trener nie chce go prosić o pomoc.

- Słabo się znam na sprzęcie elektrycznym - przyznał.

Przyszło mu do głowy, że naprawa zepsutych zegarów to jedna z tych rzeczy, jakich chłopcy uczą się od ojców. Elektryka, hydraulika, stolarstwo... Tak to sobie wyobrażał: że mali chłopcy przesiadują ze swoimi ojcami w urządzonym w piwnicy warsztacie i zdobywają podstawowe umiejętności, które przydają się później, kiedy w domu coś się psuje.

- Myślę, że miałbyś większy pożytek ze swojej córki niż ze mnie - dodał.

- O tak, Megan to złota rączka - potwierdził Drummer. - Gotowanie nigdy jej nie interesowało, natomiast uwielbiała rozbierać rzeczy na części i z powrotem je składać. - Odkręcił kilka drobnych śrubek w obudowie silniczka. - Z tego, co wiem, dziś wszystkie dziewczyny chodzą w szkole na roboty ręczne, a chłopcy uczą się rachunków domowych. Tyle że obecnie te rachunki domowe jakoś inaczej się nazywają.

- Ekonomia.

- No właśnie, ekonomia. Chłopcy protestowaliby, gdyby kazano im się uczyć rachunków domowych. Hm, ekonomia... A jak się nazywają roboty ręczne?

- Zajęcia techniczne.

- Rzeczywiście. Swoją drogą, to dobry pomysł, żeby wszyscy uczyli się wszystkiego. Chłopcy powinni umieć gotować i zarządzać domowym budżetem, a dziewczyny naprawiać zepsute zegary. Nawet takie paskudne jak ten. - Drummer rozciął końcówkę kabla. - Co cię tu sprowadza, Aaron?

Aaron patrzył na ręce, które tak sprawnie posługiwały się narzędziami. Były duże i szerokie, jak jego własne. Koszykarze na ogół mają wielkie łapska.

- Nic - skłamał, chowając ręce do kieszeni szortów, żeby nie porównywać ich z rękami trenera.

- Wpadłeś bez powodu?

- Może po to, żeby nauczyć się od ciebie podstaw elektryki?

Tak jak syn od ojca, pomyślał, po czym szybko wyrugował z głowy tę myśl. Drummer przyjrzał mu się spod oka.

- To, że jestem starszy niż kiedyś, nie znaczy, że jestem głupszy - rzekł. - Więc lepiej mów prawdę.

Prawdę? Aaron podejrzewał, że Wally Drummer nie potrafiłby jej zaakceptować. Nie był pewien, czy sam by potrafił. Ale staruszkowi należy się jakieś wyjaśnienie.

- No dobrze. - Zawahał się. - Można powiedzieć, że próbuję się odnaleźć.

Drummer ponownie podniósł na niego wzrok i nie spuszczał przez dłuższą chwilę.

- Nie za późno na to? - spytał wreszcie. - Czy tego się nie robi w młodszym wieku?

- Kiedy byłem młodszy, raczej starałem się zagubić.

- No tak. - Trener skupił się na zegarze. - I sądzisz, że zdołasz się odnaleźć w mojej piwnicy?

Nigdy nie wiadomo, pomyślał Aaron, i poczuł ból w trzewiach.

- Mam trzydzieści trzy lata, trenerze - powiedział cicho. - I wciąż nie wiem, kim jestem.

- A ja wiem. Jesteś dobrym człowiekiem. Mądrym.

Odpowiedzialnym. Człowiekiem, któremu bez wahania powierzyłbym opiekę nad swoją żoną. Czego jeszcze ci trzeba?

Aaron westchnął.

- Po prostu... sporo ostatnio myślałem o dawnych czasach. - Mówił spokojnie, choć serce waliło mu jak młotem. - Usiłuję zrozumieć, dlaczego moje życie potoczyło się tak, a nie inaczej. - Wciągnął głęboko powietrze i wreszcie wydusił z siebie pytanie: - Dlaczego mnie uratowałeś, trenerze? Dlaczego akurat mnie?

- Dlaczego cię uratowałem? - Drummer wbił w niego oczy, po czym pokręcił głową. - Ja cię nie uratowałem. Ja jedynie wpłaciłem za ciebie kaucję.

- Ale dzięki tobie wycofano oskarżenie.

- Nie dzięki mnie, tylko dzięki tobie. Przestałeś rozrabiać, sporządniałeś. W tej sytuacji sędzia doszedł do wniosku, że tamten rozdział twojego życia trzeba uznać za zamknięty.

- Przestałem rozrabiać dzięki tobie, trenerze. Zafundowałeś mi ogromne śniadanie, potem przyjąłeś do drużyny...

- Potrzebny mi był zawodnik szybki w nogach. Widziałem, jak biegasz. Pomyślałem sobie, że drużyna tylko na tym skorzysta.

- A ja skorzystam na byciu członkiem drużyny.

- To też.

- Mogłeś wybrać kogoś innego. Wielu chłopaków szybko biegało.

- Ale ty miałeś ogień w oczach. - Drummer odłożył śrubokręt i spojrzał Aaronowi w twarz. - A ja nie chciałem, żeby ten ogień wygasł. Wierzyłem w ciebie! I słusznie, jak się okazało. Byłeś dzieckiem, które rozpaczliwie potrzebowało jednej rzeczy: tego, żeby ktoś w nie uwierzył.

- Potrzebowałem znacznie więcej, trenerze - przyznał ze śmiechem Aaron.

- Może. W każdym razie ja w ciebie uwierzyłem, a resztę zdobyłeś sam. Dorosłeś. Nauczyłeś się samodyscypliny. Miałeś trochę kłopotów z niektórymi przedmiotami w szkole, ale z tym też się uporałeś. Poszedłeś na studia, napisałeś pracę magisterską z psychologii. Czego ci jeszcze było trzeba?

Kogoś, kto by mnie nauczył, jak się naprawia ciekący kran i montuje na ścianie półkę, odparł w myślach Aaron. Kogoś, kto nauczyłby mnie miłości. Takiej miłości, która sprawia, że mężczyzna reperuje obrzydliwy zegar, bo wie, że to uszczęśliwi jego żonę. Takiej miłości, która sprawia, że mężczyzna nie boi się zaangażowania, stabilizacji, przywiązania.

- Potrzebujesz kobiety - oznajmił po chwili Drummer.

- Chyba ją znalazłem.

- Serio? - Uśmiechnął się szeroko. - Znam ją?

- Chyba tak - odparł Aaron. - To Lily Holden.

- Córka Juliana Bennetta? - Drummer w milczeniu przetrawił tę wiadomość, po czym skinął głową. - Słyszałem, że jeszcze nie doszła do siebie po śmierci męża.

- Doszła.

- Słyszałem też, że odziedziczyła po nim pokaźny majątek.

Aaron- wzruszył ramionami.

- Nic o tym nie wiem - rzekł. - Nie rozmawiamy o pieniądzach.

- Przypadkiem to nie od niej pochodzą pieniądze, które zasiliły twój fundusz sportowy?

Aaron ugryzł się w język. Nie chciał, aby ludzie sądzili, iż szczodrość Lily miała wpływ na ich związek. Te dwie sprawy były całkowicie rozłączne.

- Jak już powiedziałem, nie rozmawiamy o pieniądzach.

Drummer przyjrzał mu się sceptycznie, po czym zaczął przykręcać pokrywę zegara.

- To miła dziewczyna. W dodatku śliczna. I pochodzi z dobrego domu. Można trafić dużo gorzej.

Daj mi jakąś ojcowską radę, błagał go w myślach Aaron. Zdradź się, proszę cię.

Trener przejawiał autentyczne zainteresowanie prywatnym życiem swego dawnego podopiecznego, ale Aaronowi wciąż czegoś brakowało. Konkretnych dowodów. Wiedział, że żadnych od Drummera nie uzyska, przynajmniej nie dziś. Jeżeli naprawdę chce osiągnąć cel, musi odbyć z nim długą, szczerą rozmowę. Do tego potrzebna jest odwaga. Tak dużą odwagą zaś mogłaby go natchnąć jedynie Lily.

- A więc tak się dba o stare zegary - powiedział cicho, patrząc, jak Drummer przykręca ostatnią śrubkę.

Trener uśmiechnął się szeroko.

- Tak się dba o małżeństwo, kochany.

Kiedy zadzwonił telefon, Lily siedziała na ogromnej poduszce rzuconej na podłogę w pracowni, na kolanach trzymała szkicownik, palce miała czarne od węgla, a płuca wypełniał jej znajomy zapach farb. Niebo za oknem znaczyły fioletowe smugi zachodzącego słońca. Wykonała kilka szkiców, wszystkie przedstawiające krajobraz Indiany. Pole kukurydzy

namalowała pod wpływem jakiegoś szalonego natchnienia, zwykle jednak, zanim brała do ręki pędzel, wołała dokładnie rozplanować swoje dzieło.

Pracowała całe popołudnie, przenosząc na papier obrazy, które miała przed oczami: rzekę, porastające brzegi drzewa, pochyły konar, z którego wszystkie Szczury Wodne skakały do wody, tory kolejowe ciągnące się aż po horyzont, elewator zbożowy górujący na obrzeżach miasteczka.

Po prostu Riverbend. Chciała namalować swój dom. Swoje miasto rodzinne.

Ale natarczywy dzwonek telefonu zmusił ją do odłożenia węgla i zrobienia sobie krótkiej przerwy. Oparła się o ścianę, podniosła z podłogi słuchawkę i wcisnęła przycisk.

- Halo?

- Cześć.

Rozpoznawszy głos Aarona, uśmiechnęła się zadowolona.

Wprawdzie obiecał, że zadzwoni, lecz z facetami nigdy nic nie wiadomo. Z drugiej strony Aaron nie był jakimś tam facetem, a wczorajsza noc nie była jakąś tam nocą. Stanowiła silne przeżycie dla nich obojga. Tyle że Aaron miał mnóstwo na głowie, mnóstwo problemów, z którymi chciał się uporać. Więc wybaczyłaby mu, gdyby zapomniał o telefonie.

A może nie wybaczyłaby? Może wpadłaby w rozpacz?

Tak czy inaczej zadzwonił, a jego głos sprawił, że wypełniło ją miłe ciepłko. Potarła stopą o stopę, zacisnęła mocniej rękę na słuchawce i zamknęła oczy, przypominając sobie wczorajszą noc i te cudowne chwile, które spędzili w swoich ramionach.

- Cześć - odpowiedziała.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. - Nieprawda; czuła się świetnie, fantastycznie. - A ty? Jak ci minął dzień?

Roześmiał się.

- Ciekawie.

- Opowiedz.

- Wróciłem do domu, a w skrzynce czekał na mnie list. Od prawnika.

Otworzyła oczy i wyprostowała się. Chciała sięgnąć po szklanę mrożonej herbaty, która stała obok na podłodze, kiedy nagle zorientowała się, że całą rękę ma umazaną węglem. Wylała ją o dzinsy i nie przejmując się brudnymi śladami pozostawionymi na materiale, podniosła szklanę.

- Od prawnika? Ktoś cię pozywa? O coś oskarża?

- Nie. Abraham Steele zostawił mi w spadku parę groszy.

- Nie żartuj! - Uśmiech powrócił na jej twarz. Wypiła łyk herbaty. - Ja też dostałam list. Podpisany przez niejakiego Nicka Harrisona.

- Zgadza się. Tobie Steele również zostawił pieniądze?

Wybuchnęła śmiechem. Pieniądze? Jej? To byłoby jak posypywanie piaskiem Sahary.

- Nie. Z listu wynika, że zostawił mi cztery obrazy. Lubił kolekcjonować dzieła miejscowych twórców. Widziałam większość rzeczy, jakie nabył na przestrzeni lat. Było wśród nich kilka naprawdę niezłych płócien. W każdym razie mam je wszystkie przejrzeć razem z Rachel i Ruth, wybrać dowolne cztery dla siebie i doradzić siostrze, co zrobić z resztą. Abraham, zdaje się, uważał mnie za ekspertkę w dziedzinie sztuki.

- Nic dziwnego. Dał ci pierwszy komplet akwareli.

- Czyli ma za swoje. Ale żadnym ekspertem nie jestem. - Ze zdumieniem poczuła, jak z jej oka spływa łza. - Kochany staruszek. To ładnie z jego strony, że nie zapomniał o mnie. Niektórzy mieli go za apodyktycznego gbura, ale moim zdaniem pod maską tyrańca krył się szczodry, wielkoduszny człowiek. - Starła łzę, nie przejmując się tym, że brudzi sobie policzek. - I pomyśleć, że zostawił ci pieniądze! To niesamowite!

- Pewnie na ten mój program sportowy.

- Tak sądzisz?

- Nie mówiłem ci? Parę tygodni przed jego śmiercią poszedłem do niego do biura. Uznałem, że warto spróbować. A nuż zechce mnie wesprzeć? Był trochę mniej skory do pomocy niż ty - rzekł ze śmiechem - ale powiedział, że nie wyklucza przekazania mi pewnej sumy na potrzeby programu. I że się wkrótce ze mną skontaktuje. Ale nie odezwał się. Nie zdążył. - Na moment zamilkł. - Po otrzymaniu tego listu przyszło mi do głowy, że może wydał przed śmiercią jakieś dyspozycje...

- Czy Harrison wspomina, że pieniądze mają być przeznaczone na konkretny cel?

- Nie. Pisze bardzo ogólnikowo, że Steele poczynił na moją korzyść zapis w testamencie i żebym możliwie najszybciej przyszedł do kancelarii, żeby omówić szczegóły.

- Abraham naprawdę miał wielkie serce - powtórzyła Lily. - Kochał Riverbend, więc nie zdziwiłoby mnie, gdyby rzeczywiście zdecydował się wspomóc twój fundusz. Wiedział, że skorzysta na tym tutejsza młodzież... To kiedy wybierasz się na spotkanie z prawnikiem?

- Jutro po zajęciach. Tylko najpierw muszę zadzwonić do kancelarii i sprawdzić, czy Harrison znajdzie dla mnie czas.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, Aaron. Mam nadzieję, że staruszek zapisał ci furę pieniędzy. Tyle, żebyś stworzył taki program, jaki sobie wymarzyłeś.

- Bez przesady. - Roześmiał się.

Wyobraziła sobie zmieszanie na jego twarzy. A potem wyobraziła sobie resztę: oczy, ni to szare, ni niebieskie, szczupłe, umięśnione ciało, proste włosy, nagi tors... Przez moment korciło ją, żeby go namalować. Najlepiej akt. Ciekawa była, czy zgodzi się pozować.

Gdyby się zgodził, i tak nic by z tego nie wyszło. Nie miała co do tego wątpliwości. Gdyby stał przed nią nagi, trudno byłoby jej skupić się na pracy. O wiele bardziej wolałaby...

Zaskoczyły ją własne myśli. Cały czas obracały się wokół Aarona - kiedy szkicowała, kiedy jadła, nawet kiedy wybrała się za miasto, żeby zobaczyć z bliska elewator. Towarzyszył jej zawsze, wszędzie, bez przerwy. Nigdy dotąd żaden mężczyzna tak jej nie pociągał. Zanim jej małżeństwo zaczęło się rozpadać, lubiła kochać się z Tylerem, ale to było zupełnie co innego. Z Aaronem miała wrażenie totalnego opętania.

- To głupie - powiedział, przerywając tok jej rozważań.

Wróciła do rzeczywistości.

- Co jest głupie?

Starła się skoncentrować na tym, o czym rozmawiali, na niewinnych bezpiecznych tematach, takich jak testament Abrahama Steele'a.

- Może bym podskoczył do Burger Barn, kupił nam po hamburgerze i przyjechał do ciebie?

- Zdawało mi się, że potrzebujesz czasu na przemyślenie pewnych spraw - powiedziała, choć w głębi duszy miała ochotę zawołać: Tak! Przyjedź!

- Potrzebuję, ale... - Westchnął. - Ale nie jestem w stanie na niczym się skupić. Myślę wyłącznie o tobie. O tym, jak bardzo chcę być teraz z tobą.

- A ja z tobą. - Serce biło jej w rytm samby.

- Co chcesz na hamurgerze? Pomidora, sałatę?

- Wszystko. Aaron...?

- Tak?

- Weź szczoteczkę do zębów.

Nie odpowiedział, ale wyobraziła sobie uśmiech, który rozpromienił jego twarz.

Zaledwie pięć minut wcześniej zdążyła wyjść spod prysznicza. Włosy miała wilgotne, pachnące szamponem ziołowym, ciało zaś ukryte pod zapinanym na suwak jedwabnym kaftanem. W trakcie kolacji, podczas której rozmawiali o Samie Sterlingu i o malarstwie, Aaron raz po raz zerkał niecierpliwie na suwak. Tak łatwo byłoby go pociągnąć w dół! A jaki wspaniały ukazałby się widok!

- Za mało mamy w Riverbend miejsc, gdzie wystawia się sztukę - rzekła Lily, delikatnie zlizując z palców keczup. - A przecież można by eksponować dzieła lokalnych artystów... na przykład w bibliotece. Albo... kojarzysz wejście do księgarni? Kate mogłaby tam powiesić ze trzy lub cztery obrazy. Stworzyć taką minigalerię. Co o tym sądzisz?

Uważał, że to wspaniały pomysł. Uważał też, że jeżeli za chwilę nie pociągnie suwaka, to oszaleje z rozpaczy.

Minutę po tym, gdy wrzucili do kosza na śmieci puste opakowania po frytkach i hamburgerach, jego marzenie się spełniło. Chwycił suwak w palce i natychmiast przestał myśleć o mecenasie Harrisonie, o wizycie w domu Drummerów, o koszykówce, o matce, o wszystkim. O wszystkim poza Lily.

Jej łóżko było większe, lecz mimo to leżeli ściśnięci. Chociaż odczuwał zmęczenie po wczorajszej nie przespanej nocy, to i tak budził się co parę godzin, całował po ramieniu i szyi śpiącą obok kobietę, delikatnie ją pieścił, aż wreszcie ona też się budziła i, złakniona dalszych pieszczot, mocno do niego przywierała.

Nie był już dzieckiem, powinien mieć więcej samokontroli. Ale z Lily u boku żadna samokontrola nie wchodziła w grę. Po prostu nie istniała. Pragnął jej, a gdy było po wszystkim, pragnął jej od nowa, ze zdwojoną siłą.

- Przygotuję pyszną kolację - obiecała, kiedy o wpół do ósmej rano zwłókł się z łóżka. - A jutro sobota, potem niedziela. Nie trzeba się nigdzie zrywać. ..

- Dzięki Bogu - mruknął, szczerząc zęby.

- Chyba że chcesz pobyć sam, aby przemyśleć różne rzeczy?

Widział po jej minie, że żartuje.

- Co to, to nie! - zawołał.

- W takim razie zapraszam cię na kolację. Wprawdzie nie jestem najlepszą kucharką świata, ale coś tam potrafię wyczarować. Filety z kurczaka w sosie... Zresztą, co ci będę mówić.

Resztką woli powstrzymał się, aby nie porwać Lily w ramiona i nie wrócić do łóżka.

- Dobrze - szepnął. - Czaruj, moja śliczna czarodziejko.

Nie musiała przyrządzać żadnej kolacji, aby go zwabić do siebie, pomyślał, kiedy godzinę później, wykąpowszy się i zjadłszy dwie miski płatków kukurydzianych z odłuszczonego mlekiem, ruszył do szkoły na zajęcia z dziećmi. Ale jeżeli chciała, by jadał u niej śniadania, powinna przestawić się na normalne tłuste mleko. Postanowił, że wieczorem wstąpi do sklepu i kupi litrowy karton. A także butelkę wina. Może też bukiet kwiatów. Wiedział, że Lily lubi kwiaty, bo sporo ich nasadziła w ogrodzie; najładniejsze były żółte róże rosnące przy ścianie garażu. Dziś wieczorem dostanie czerwone, na długich łodygach.

Do torby, którą zabrał wczoraj z domu, zapakował nie tylko przybory kosmetyczne, ale również dodatkową parę spodni i czystą koszulę na wypadek, gdyby prosto po treningu miał się udać na spotkanie z prawnikiem. Nie mógł wyjść ze zdumienia, że Steele umieścił go w swoim testamencie; gdyby staruszek chciał wesprzeć fundusz sportowy, mógł złożyć odpowiednią dyspozycję w banku. A może tak zrobił? Może Aaron musi najpierw odbyć rozmowę z prawnikiem, potem z przedstawicielami banku i dopiero wtedy bank przekaże pieniądze?

Lily miała rację. Pomimo swego surowego oblicza i apodyktyczności, w gruncie rzeczy Abraham Steele był niezwykle hojnym człowiekiem. Aaron był pewien, kiedy przed paroma tygodniami wybrał się do niego na rozmowę, że starzec wspomógł finansowo program dla dzieci z Riverbend. I zrobił to; nawet śmierć mu w tym nie przeszkodziła.

Zadzwoił do kancelarii prawniczej Nicholasa Harrisona, kiedy dzieci szalały w basenie.

- Tak, za kwadrans czwarta - poinformowała go sekretarka. - Mecenas Harrison będzie pana oczekiwał.

Doskonale. Spotka się z prawnikiem, potem na Main Street zrobi zakupy - mleko, wino, róże - następnie pojedzie do Lily. Spędzą razem wieczór, noc, a rano... Tak, rano będą mogli wylegiwać się do późna. Rozmarzył się: śpią objęci, przytuleni, około dwunastej budzą się i znów kochają. Pełnia szczęścia.

Myśl o tym, co go czeka, dodawała mu skrzydeł. Z młodzieńczym zapałem ganiał po sali gimnastycznej, ćwiczył rzuty do kosza i razem z dziećmiakami śmiał się do rozpuku, kiedy śpiewając Jeffowi „Happy Birthday”, kozłowały piłkę. Gdy po paru godzinach odgwizdał koniec zajęć, nawet Sam zdawał się to słyszeć. Wkrótce zaczęli się zjeżdżać rodzice. Dzieci miały smętne miny; były niezadowolone, że to już koniec obozu. Pytały Aarona, czy w przyszłym tygodniu nie mógłby ich dalej trenować, ale następny tydzień był zarezerwowany dla starszej grupy, dla dwunasto i trzynastolatków.

Jeżeli Steele faktycznie zostawił mu pieniądze, Aaron wiedział, na co je przeznaczy: zatrudni więcej pomocników i utworzy dodatkowe grupy, tak aby wszystkie dzieci chcące brać udział w zajęciach mogły to robić aż do jesieni.

Kiedy sala opustoszała, wziął torbę, którą woził z sobą od wczoraj, i przeszedł do gabinetu. Zdjął przepocony strój gimnastyczny i wskoczył pod prysznic. Następnie włożył jasne spodnie i świeżą, wyprasowaną koszulę. Czesząc się, rozmyślał o pięknej czarodziejce imieniem Lily.

Kancelaria mieściła się przecznicę od Courthouse Square. Aaron zostawił torbę na tylnym siedzeniu i wszedł do budynku. Pusta poczekalnia, w której panowała przeraźliwa cisza - zakłócał ją tylko miarowy szum klimatyzacji - stanowiła przeciwieństwo sali gimnastycznej rozbrzmiewającej krzykiem, śmiechem i śpiewem rozbrykanych dzieci. W rogu, w ogromnej donicy, rosło drzewko. Kanapa i fotele wyglądały na nie używane, a leżące na stoliku pisma - na nie czytane. Siedząca przy biurku recepcjonistka uśmiechnęła się na widok gościa. Aaron przedstawił się.

- Mecenas pana oczekuje. Proszę za mną. - Wstała i poprowadziła Aarona krótkim korytarzykiem. Zastukawszy do drzwi, otworzyła je. - Przyszedł pan Mazerik - oznajmiła.

- Proszę, niech pan wejdzie!

Nicholas Harrison był niewiele starszy od Aarona, miał kruczoczarne włosy, niebieskie oczy i wzrost odpowiedni dla koszykarza. Marynarka, w której rano przyszedł do pracy, wisiała na oparciu fotela; krawat miał luźno zawiązany pod szyją, rękawy koszuli podwinione. Stał za ogromnym orzechowym biurkiem, uśmiechając się tajemniczo. Ścianę za jego plecami zajmował regał pełen grubych, oprawnych w skórę woluminów.

- Panie Mazerik, witam serdecznie - rzekł, energicznie potrząsając ręką Aarona, po czym zapraszającym gestem wskazał fotele stojące naprzeciwko biurka.

Aaron usiadł, Harrison również. Po chwili z leżącego na środku biurka skoroszytu wyjął jakiś dokument. Przebiegł go wzrokiem, po czym przyjrzał się uważnie swojemu gościowi.

- Nie wiem, jak dobrze pan znał pana Steele'a... - zaczął.

- Słabo - przyznał Aaron. - To znaczy wiedziałem, kim jest. Kilka razy z nim rozmawiałem. Kiedy byłem w szkole, pan Steele przychodził na wszystkie ważniejsze mecze koszykówki. Przez rok grałem razem z jego synem, Jacobem...

Harrison pokiwał głową.

- No tak. Dlatego pomyślałem sobie, że zamiast wysłać panu list, lepiej będzie, jeśli osobiście porozmawiamy na temat zapisu, jaki pan Steele poczynił na pańską korzyść. Podejrzewam, że trochę się pan zdziwi.

- Chodzi o jakąś sumę pieniędzy, prawda? Napisał pan w liście...

- Tak, chodzi o pieniądze.

- Pan Steele obiecał wspomóc finansowo fundusz sportowy, który założyłem dla dzieci. Przypuszczalnie więc...

- Zostawił panu sto tysięcy dolarów - przerwał mu Harrison.

Aaron z trudem przełknął ślinę, po czym zakasłał. Spojrzał w okno wychodzące na plac i ponownie wbił wzrok w mecenasa. Ten wciąż wpatrywał się w niego z powagą. Nic na jego twarzy nie wskazywało na to, że facet żartuje czy cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne. Nie było powodu, aby mu nie wierzyć.

- Ile? - spytał Aaron, przekonany, że się przesłyszał. Przecież to nie ma sensu, żeby Steele...

- Sto tysięcy dolarów.

- Na wsparcie mojego programu sportowego?

- Są to pieniądze przeznaczone dla pana, panie Mazerik. A na co je pan wyda, to już wyłącznie pańska sprawa.

- Ale sto tysięcy dolarów?

- Tak. Sto tysięcy. Jedyńka i pięć zer.

- Ja... - Aaron zsunął się głębiej w fotel. Suma wydawała mu się tak niewiarygodna, że nie potrafił w nią uwierzyć. - Zupełnie tego nie rozumiem.

- Pan Steele życzył sobie, żeby przekazać to panu. - Prawnik otworzył skoroszyt i wyjął z niego czek. -Podejrzewam, że od tak dużej sumy będzie pan musiał zapłacić jakiś podatek. Proszę porozmawiać ze swoim księgowym lub doradcą podatkowym.

Aaron nigdy dotąd nie korzystał z usług tego typu fachowców. Nie miał potrzeby. Popatrzył na czek leżący na skraju biurka. Faktycznie, wszystko się zgadza, i nazwisko, które było poprawnie napisane, a które wszyscy na ogół pisali z błędem, i suma: jedynka z pięcioma zerami.

- Nie rozumiem - powtórzył.

- Tu nie ma nic do rozumienia, panie Mazerik -oznajmił mecenas. - Pan Steele dokonał kilku niezwykłych zapisów. Taką miał fantazję.

- Kogo jeszcze postanowił wyróżnić? - spytał Aaron.

Wiedział o Lily, ale to nie był żaden „niezwykły” zapis. To, że Steele zostawił jej parę obrazów ze swej kolekcji, wydawało się Aaronowi całkiem normalne. Po pierwsze, rodziny były ze sobą zaprzyjaźnione, a po drugie, właśnie od Abrahama Steele'a czteroletnia Lily Bennett dostała swoje pierwsze w życiu farby.

Aaron nigdy nic od Steele'a nie otrzymał. Teraz Steele nie żyje, a on dostaje czek na sumę... Nagle zakręciło mu się w głowie; poczuł, jak lodowaty dreszcz przebiega mu po krzyżu.

- Zmarły poczynił zapisy dla wielu mieszkańców Riverbend. Był blisko związany z tym miastem i zapewne dlatego niektórym jego mieszkańcom chciał podarować coś na pamiątkę.

- Sto tysięcy to fortuna, a nie pamiątka.

- Widocznie pan Steele czuł do pana szczególny sentyment. Zdaje się, że przyjaźnił się z pańską matką. Była tu dziś rano, żeby odebrać...

- Moja matka? - przerwał mu Aaron. Z trudem oddychał, z jeszcze większym trudem powstrzymywał się, aby nie rzucić się do drzwi. Podejrzenie, które przed chwilą w nim zakiełkowało, powoli zaczęło przemieniać się w pewność. - Evie Mazerik?

- Tak, Evie Mazerik.

- Co jej Steele zostawił?

Harrison wyczuł zmianę w nastroju swojego klienta.

- Pieniądze - odparł cicho.

- Ile?

- Wolałbym, żeby pan ją o to spytał.

Aaronem ponownie wstrząsnął dreszcz. Przez moment wpatrywał się w czek, w trudne do podrobienia cyferki, w podpis zmarłego, we własne imię i nazwisko wpisane w wykropkowane miejsce. Ogarnęło go przerażenie.

Zerwał się na nogi, odwrócił na pięcie i nie biorąc leżącego na biurku czeku, wymaszerował z gabinetu. Ledwo zamknęły się za nim drzwi kancelarii, rzucił się pędem do samochodu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Miał własny klucz, więc nawet nie nacisnął dzwonka. Otworzył drzwi, wbiegł po schodach na piętro, wsadził klucz w zamek od mieszkania, ale zanim zdążył go przekręcić, drzwi się same otworzyły.

- Aaron?!

Nie umiał powiedzieć, czy matka cieszy się na jego widok, czy smuci. Odczytanie tajemniczego wyrazu, który malował się na jej twarzy, zajęłoby więcej czasu, niż chciał na to poświęcić. Zresztą, jego miara cierpliwości dawno się przebrała.

Przez chwilę wpatrywał się w puszyste rude włosy matki, w zadziwiająco delikatny zarys ust, w kurze łapki rozchodzące się wokół oczu, w zmarszczki znaczące szyję.

- Ile ci zostawił? - spytał wreszcie. Spuściła wzrok.

- Wpadasz jak burza, nawet nie raczysz się przywitać...

- Ile, mamó?

Westchnęła głośno i cofnęła się w głąb mieszkania, dając synowi znak, żeby wszedł do środka.

Z salonu jak zwykle docierał odgłos telewizora, powietrze jak zwykle wypełniał dym z papierosów, a w zlewie jak zwykle piętrzył się stos brudnych naczyń. Na stole w kuchni stał duży ceramiczny kubek z herbatą, z którego unosiła się para. Aaron już chciał powiedzieć, że gorąca herbata w upalne popołudnie to nie jest najlepszy pomysł na ochłodę, ale nagle spostrzegł złożony wpół, beżowy arkusz papieru i sprawa lepszych lub gorszych napojów natychmiast wyleciała mu z głowy.

Dwoma krokami przemierzył niewielki dystans dzielący go od stołu. List, który matka otrzymała z kancelarii Nicholasa Harrisona, niczym nie różnił się od tego, który on otrzymał. Harrison zawiadamiał ją, że świętej pamięci Abraham Steele poczynił na jej rzecz zapis w swoim testamencie; w tej sytuacji gdyby Evie zechciała zadzwonić do kancelarii i umówić się na wizytę...

- Ile? - powtórzył Aaron, odkładając list na stół i ponownie wbijając wzrok w matkę.

- Jakim prawem zadajesz mi te pytania? - oburzyła się. - To mój dom, Aaron. Nie mieszkasz tu od piętnastu lat. Nie możesz przyjść, jak gdyby nigdy nic, i zachowywać się tak, jakbyś...

- Ja dostałem sto tysięcy.

Zamurowało ją. Lekko kuśtykając, podeszła do stołu i usiadła na krześle. Wciąż unikała oczu syna. Drżącą ręką wyjęła z paczki papierosa i zaciągnęła się dymem.

- A ty? Ile tobie zostawił?

- Abraham Steele był hojnym człowiekiem - rzekła znużonym tonem, starając się wydmuchać dym przez okno. - Powinniśmy być mu wdzięczni, że postanowił nam coś ofiarować. Uważam, że to bardzo miły gest, Aaron. I nie zamierzam dociekać, co się za tym kryje.

- A ja zamierzam. - Pochylił się i wsparłszy ręce na stole, spojrzał gniewnie na matkę; ona uparcie wpatrywała się w okno. - Zamierzam się dowiedzieć, dlaczego taki człowiek jak Abraham Steele miałby mi zostawić sto tysięcy dolarów. Dlaczego, mamó? Powiedz mi.

Wzruszyła ramionami.

- A skąd mam wiedzieć?

- Czy tobie też zostawił sto tysięcy?

- Oczywiście, że nie.

- Oczywiście? Dla mnie w całej tej sprawie nie ma nic oczywistego.

Steele nie podarował mi tych pieniędzy ot tak, bo miał takie widzimisię.

Tobie też nie. Kim dla niego byłaś, co, mamó? Kelnerką z Sunnyside Café, która latami podawała mu kawę? I za to ofiarował ci w spadku... ile?

Osiemdziesiąt tysięcy? Siedemdziesiąt pięć?

- Przestań, Aaron.

Usłyszał w jej głosie gorące błaganie. I dostrzegł łzy lśniące w oczach.

- To był dobry człowiek - wyszeptała.

- Powiedz, mamó.

- Co? Co chcesz wiedzieć? Ile dostałam? Znacznie mniej niż ty. Ale to nie ma znaczenia.

Kilka pojedynczych łez pociekło jej z oczu, zostawiając na policzkach mokre ślady. Nie wycierając ich, ponownie zaciągnęła się papierosem.

- Steele był moim ojcem...

Powiedział to, bo zdał sobie sprawę, że matka nigdy nie zdradzi mu prawdy. Powiedział, choć wcale nie planował tego mówić. Po prostu te cztery słowa same wyszły mu z ust.

Zaskoczyły go. Milczenie matki, która tym razem niczemu nie zaprzeczyła, zaskoczyło go jeszcze bardziej. Osunął się na krzesło po drugiej stronie stołu i z trudem wciągnął w płuca powietrze.

Abraham Steele. Najbogatszy, najbardziej wpływowy człowiek w Riverbend. Potomek założycieli miasta, prezes banku, dawny burmistrz,

inicjator wielu cennych akcji. Abraham Steele, który przychodził na szkolne mecze koszykówki nawet wtedy, gdy jego syn Jacob zrobił maturę i wyjechał na studia. Siedział na trybunach, poważny, dostojsny i małomówny, podczas gdy wszyscy wkoło krzyczeli, gwizdali, klaskali i flirtowali. Choć zdarzało się, że on też głośno kibicował.

Tak, Abraham Steele przychodził patrzeć, jak gra jego drugi syn. Aaron.

Abraham Steele. Człowiek, który nigdy nie uznał Aarona za swoje dziecko, nigdy nie odwiedził go w domu i nigdy nie pomachał mu na ulicy. Który ani razu się do niego nie uśmiechnął, nie poklepał go po ramieniu, nie poczochnął mu włosów. Który nie nauczył go, jak się gra w koszykówkę ani jak się naprawia zepsute zegary. Który nigdy nie wpłacił za niego kaucji ani nie wybawił z jakichkolwiek opresji. Który nigdy nie usiadł obok niego i nie spytał, jak mu leci w szkole.

Sto tysięcy dolarów. Czy tyle kosztuje niechciany syn? Czy tyle Steele musiał zapłacić, żeby wykupić się od ojcostwa?

- Kochałam go - szepnęła Evie, nawet nie próbując tamować łez. - Kochałam go, Aaron. Rozumiesz? Reszta się nie liczy.

- Liczy - odparł głosem ochrypłym z wściekłości. - Co on sobie wyobrażał? Że wystarczy zapłacić? Rzucić nędzny ochłap...

- Nic sobie nie wyobrażał. Zapisał ci sto tysięcy, ponieważ był twoim ojcem. A mnie, ponieważ jestem twoją matką.

- Zostawił ci forszę, bo całymi latami trzymałaś język za zębami. Chroniłaś go. Niczego od niego nie chciałaś.

- Kochałam go - powtórzyła, drżącą ręką podnosząc do ust papierosa. Zaciągnęła się głęboko, po czym potrząsnęła głową. - Nie rozumiesz,

Aaron? Abraham Steele był dżentelmenem. Zawsze miły, uprzejmy. Często ze mną rozmawiał. Prawił mi komplementy, traktował mnie jak damę.

- Jak damę? Byłaś jego dziwką!

Evie poderwała się od stołu i uderzyła syna w policzek. Aaron prawie nie poczuł uderzenia, zdumiało go jedynie natężenie dźwięku.

- Nigdy więcej tak nie mów. Abraham mnie kochał!

Jedno pacnięcie nie mogło powstrzymać Aarona. Prawdziwy dojmujący ból, który od tak dawna trawił jego wnętrze, wreszcie znalazł ujście.

- Pewnie, że cię kochał! Tak bardzo, że zostawił cię na lodzie, kiedy zaszłaś w ciążę. Tak bardzo, że płacił ci, żebyś trzymała język za zębami. A ten zapis w testamencie? Co to miało być? Podziękowanie, że nie zatruwałaś mu życia? Że nawet synowi nie wyjawiałaś prawdy? Rany boskie, mamo! Ten facet to wielki Abraham Steele. On rządził tym miastem! Gdyby cię kochał, ożeniłby się z tobą. A mnie uznał za syna.

- Jak mógł się ze mną ożenić? Przecież miał żonę!

- Która całkiem wyleciała mu z głowy, kiedy z tobą romansował? No dobrze, a co było potem? Powiedziałaś mu, że jesteś w ciąży. Jak się zachował? Wziął nogi za pas? Czy może zaproponował, że da ci pieniądze, abyś pojechała do lekarza w innym mieście, który dyskretnie zajmie się „problemem”? Tak powiedział swojej pięknej damie, której prawił tyle komplementów? A może postąpił jak prawdziwy dżentelmen i powiedział: proszę bardzo, możesz urodzić dziecko, ale pod warunkiem, że nie w Riverbend i że oddasz niemowlę do adopcji? Nie przerywaj !
Pozwól mi skończyć. Więc traktował cię jak damę, dopóki nie uparłaś się,

że zostaniesz tutaj i tu mnie urodzisz? Zgadza się? A wtedy z damy przeistoczyłaś się w tanią zdziwę, która zagraża jego miłej, spokojnej egzystencji.

- To nie tak było! - Wybuchnęła płaczem. - Abraham mnie kochał! Gdybym nie zaszła w ciążę, dalej by się ze mną widywał.

- Czyli to moja wina? Przeze mnie straciłaś szansę na miłość?

- Zastanów się, Aaron. Co on mógł zrobić? Miał żonę. Ale naprawdę był dobrym, porządnym człowiekiem.

- Był skurwysynem. Zabawił się tobą, a potem cisnął cię w kąt jak bezużyteczny przedmiot.

- Mylisz się. Miłość Abrahama to najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła.

Zakrywszy rękami oczy, zaczęła szlochać rozpaczliwie.

W tym momencie Aaron doznał olśnienia. Miłość Abrahama Steele'a to najlepsza rzecz, jaka się Evie przydarzyła. Tak powiedziała. Miłość Steele'a do niej, a nie jej miłość do własnego dziecka. Ważny był Abraham Steele, nie syn. Nic dziwnego, że z takim uporem chroniła jego opinię. Mimo upływu trzydziestu kilku lat, odkąd ją porzucił - ją i dziecko, ich wspólne dziecko! - ona wciąż uważała romans ze Steele'em za najwspanialszą rzecz w swoim życiu. Gdyby nie hojny zapis w testamencie, który wzbudził podejrzliwość Aarona, tajemnica nigdy nie wyszłaby na jaw. Matka zabrałaby ją z sobą do grobu.

Kochała Abrahama. On, Aaron, dla żadnego z nich się nie liczył. Z taką furią poderwał się od stołu, że przewrócił krzesło. Nie przystając, aby je podnieść, wymaszerował z kuchni. Przytłumiony szloch matki towarzyszył mu do drzwi na parterze.

O ósmej wieczorem Lily w końcu się poddała. Kurczak duszony w winie czekał od godziny, ryż zdążył całkiem wystygnąć. Co miała zrobić? Owinęła wszystko w folię, wsadziła do lodówki i starała się zachować zimną krew.

Wychodząc rano, Aaron zostawił jej swój numer telefonu. W ciągu ostatniej godziny wykręciła go cztery razy. Nikt nie podnosił słuchawki. Zadzwoiła do pokoiku na tyłach sali gimnastycznej. Tam też nikt nie odbierał. Korciło ją, żeby zadzwonić na policję i spytać, czy nie wydarzył się jakiś wypadek drogowy, ale gdyby Aaron został ranny, jej ojciec natychmiast by ją o tym powiadomił.

A zatem nie uległ wypadkowi, przynajmniej nie na terenie Riverbend. Zastanawiała się, czy możliwe, że wyjechał z miasta. Ale po co? I chyba by jej wspomniał o swoich planach? Jeszcze rano trzymał ją w objęciach i tulił tak mocno, jakby nigdy nie chciał jej puścić, jakby ich miłość była najważniejszą rzeczą na świecie. Obiecała mu, że wieczorem wyczaruje pyszną kolację - i dotrzymała słowa. A on obiecał jej, że nazajutrz będą spać do późna.

Powiedział, że ją kocha, a ona wiedziała, że są to słowa, których Aaron nie rzuca na wiatr. Gdyby nie kochał, na pewno by jej nie wyznawał miłości. Więc co się stało? Gdzie się podział?

Stojąc w drzwiach jadalni, ponownie wystukała numer i przyłożyła słuchawkę do ucha. Wsłuchując się w monotonne brzęczenie dochodzące z drugiego końca linii, spoglądała na pięknie zastawiony stół, na świeczki, na fantazyjnie złożone serwetki, na lśniące sztucce i kryształowe kieliszki do wina. Chciała, żeby dzisiejszy wieczór był wyjątkowy, żeby stanowił wspaniałą celebrację ich miłości.

Po dziesiątym dzwonku rozłączyła się.

Nie zamierzała płakać. Nie zamierzała się załamywać. Coś jest nie tak, lecz postanowiła, że dopóki nie przekona się, o co chodzi, nie będzie wpadać w histerię.

Zaniosła słuchawkę z powrotem do kuchni, odłożyła ją na miejsce, po czym wzięła torebkę, kluczyki i wyszła z domu.

Mimo wieczornego chłodu nie postawiła dachu. Chciała czuć na twarzy orzeźwiający powiew wiatru. Chciała słyszeć szum irygatorów nawadniających pola. Chciała wdychać zapach wilgotnej ziemi i kwitnących zbóż. Chciała postrzegać świat wszystkimi zmysłami.

Dojechała do szosy nadbrzeżnej. Luźne kamyczki objęły się o podwozie. Najpierw sprawdzi, czy Aarona nie ma w domu.

Może wychodząc spod prysznic, pośliznął się na mokrej posadzce i leży nieprzytomny w łazience? A może coś się na niego zważyło, na przykład ciężki regał z książkami, i biedak odchodzi od zmysłów, nie mogąc dosięgnąć dzwoniącego co chwila telefonu? Ona przybędzie mu z pomocą. Może nawet uratuje mu życie. Danie z kurczaka mogą zjeść kiedy indziej.

W domu Aarona nie paliły się żadne światła. Już miała odjechać, kiedy nagle w blasku reflektorów zauważyła coś na samym końcu zwirowanego podjazdu. Zatrzymała auto przy szopie, w której Aaron trzymał drewno na opał, i zgasiła silnik. Parę metrów dalej stał samochód Aarona. Nie wiedziała, czy to dobry znak, czy zły.

Wysiadła i ruszyła ścieżką w stronę domu; zewsząd otaczały ją dźwięki przyrody: cykanie świerszczy, rechot żab, szelest gałęzi kołysanych przez wiatr. Mijając okno salonu, zobaczyła, że wewnątrz pali

się jednak światło. Jedna mała lampka. Starając się panować nad nerwami, zastukała do drzwi, po czym nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte.

Przysłoniła ręką oczy i przysunęła twarz do okna. Widziała jedynie pomarańczowy blask pojedynczej lampki stojącej na szafce oddzielającej kuchnię od salonu. Żadnych innych oznak życia. A samochód przy szopie? No, chyba że Aaron wyruszył gdzieś cudzym samochodem.

Westchnąwszy cicho, zawróciła w stronę bmw. Nie wiedziała, co robić, dokąd jechać, gdzie szukać. Przeważenie ścisnęło ją za gardło. A jeżeli udał się na spacer brzegiem rzeki i wpadł do wody? Pewnie umiał pływać, ale przecież mógł uderzyć głową o głaz. Brzeg najeżony był dużymi kamieniami. Sama skacząc przed laty do wody, złamała na głazie nogę.

Aaronie, gdzie jesteś? - powtarzała w myślach. Serce biło jej jak szalone.

Obeszła dom. Żwir, suche liście i patyki chrzęściły jej pod nogami, gałązki krzewów drapały ją po łydkach i kolanach. Na wprost siebie ujrzała schodki prowadzące na taras. Weszła po nich, nie wiedząc, co tam zastanie.

Panował dość gęsty mrok, toteż dopiero po dłuższej chwili zauważyła zarys leżącego w hamaku ciała. Jedna noga zwisała w dół, dotykając bosą stopą podłogi. Na brzuchu tkwił jakiś przedmiot, który wyciągnięta postać trzymała oburącz.

- Aaron?

Powoli obrócił głowę, po czym podniósł to coś do ust. Kiedy wzrok Lily przyzwyczał się do ciemności, zobaczyła, że tym przedmiotem, który trzymał na brzuchu, a teraz przysunął do ust, jest butelka. Usłyszała zgrzyt

metalalu o szkło, kiedy zdejmował nakrętkę, a potem gulgot wlewanego do gardła płynu. W nozdrza uderzył ją zapach alkoholu, ostry, cierpki, o wiele bardziej odstręczający niż zapach ukochanego przez Tylera martini.

Wezbrała w niej złość.

- Aaron, co robisz?

Minęło może z pół minuty, zanim jego spojrzenie nabrało ostrości. Podsunął się na hamaku nieco wyżej, tak że ni to leżał, ni to siedział, i pociągnął z butelki jeszcze jeden łyk. Potem starannie nasadził nakrętkę i podparł się na łokciu.

- Cholera, miałem paskudny dzień.

Boże, nie pozwól, żeby był pijany, błagała w duchu Lily, choć wiedziała, że żadne modły już nie pomogą. Nie pozwól, aby okazał się taki sam jak Tyler.

- Przygotowałam kolację. Czekałam na ciebie. -Wzdrygnęła się, słysząc pretensję we własnym głosie.

- Wyleciało mi z głowy.

Najwyraźniej, pomyślała.

- Co się stało?

- Dowiedziałem się, kto jest moim ojcem.

Bawił się nakrętką. To ją odkręcał, to zakręcał. Lily zamknęła oczy, modląc się o to, by odstawił butelkę, by już więcej nie pił.

- I wcale nie jest nim Wally Drummer - dokończył po chwili.

No tak, to oczywiste, przemknęło jej przez myśl. Nie upijałby się z rozpaczy, gdyby za ojca miał Wally'ego Drummera.

- A kto? - spytała.

- Nie chcesz wiedzieć.

- Chcę. Przecież pytam.

- Ja pytałem matkę przez trzydzieści trzy lata, a ona odmawiała mi odpowiedzi.

- W porządku. - Powoli ogarniała ją złość. W dodatku kręciło się jej w głowie. Bała się jednak usiąść. Bała się, że jeśli usiądzie, opuszczą ją resztki sił. A wtedy zacznie płakać, błagać Aarona, żeby przestał pić, żeby się opamiętał, żeby znów był tym silnym, odpowiedzialnym mężczyzną, którego pokochała. - Jak nie chcesz, to nie mów.

- Wtedy byłbym taki sam jak ona, prawda?

- Nie drażnij się ze mną, Aaron. Jak chcesz powiedzieć, to powiedz. Jak nie chcesz, to nie mów. A jak chcesz się upić...

- Chcę! Chcę się upić! - Z jego głosu przebijał ból. - Tak, psiakrew! Tego właśnie chcę!

Wstrząsnął nią dreszcz. Nie mogła uwierzyć, że zakochała się w człowieku, który marzy o tym, aby się upić. Na miłość boską, jakąż to straszną prawdę odkrył? Jakaż to tajemnica spowodowała przemianę prawego, silnego mężczyzny w tego żalosego słabeusza?

- Kochała go - powiedział, z trudem wymawiając te słowa. - Przez te wszystkie lata nie przestała go kochać. On ją odtrącił, wrócił do swojego dawnego życia, a ona wciąż pałała do niego uczuciem. Mnie natomiast nienawidziła za to, że się urodziłem. Bo to z mojego powodu nastąpił koniec jej wielkiego romansu.

- Aaron, wiem, jak bardzo cierpisz, ale...

- Nic nie wiesz - przerwał jej ostro. - Skąd możesz cokolwiek wiedzieć?

Miał rację. Była dzieckiem upragnionym, kochanym przez oboje rodziców, więc skąd mogła wiedzieć, co on teraz przeżywa? Ale żaden ból i żadne cierpienie nie usprawiedliwiają bezmyślnego upijania się. Podeszła bliżej. Może udałoby się chwycić butelkę? Gdyby odebrała ją Aaronowi, wtedy mogłaby się zastanowić, co dalej robić, jak go ratować. I czy ratować. Był większy, szybszy, silniejszy, ale gdyby się udało...

Znów odkręcił nakrętkę, znów przytknął butelkę do ust, znów pociągnął haust.

Lily wzdrygnęła się. Widok ukochanego mężczyzny pogrążającego się w pijaństwie tak bardzo ją mierzył, że zamknęła oczy.

- Czasem życie bywa nieprzyjemne - oznajmił brutalnie, świadom obrzydzenia, jakie wzbudzał w niej alkohol. - Uprzedzałem cię, że nie jestem łatwy we współżyciu...

- Łatwy, niełatwy, nie w tym rzecz. Wykazujesz cechy autodestrukcyjne - powiedziała, używając jego własnej terminologii. - Próbujesz się wykończyć.

- To prawda, Lily - przyznał, biorąc kolejny łyk. - Tylko nie wiem, czy taka jedna butelczyna wystarczy.

Nie miała odwagi. Bała się, że butelka wyśliznie się jej z rąk, upadnie na podłogę, rozbije się. Że mogą się niechcący skaleczyć. Albo że Aaron może jej wyrządzić krzywdę. Wiedziała z doświadczenia, co się dzieje, kiedy kobieta próbuje stanąć na drodze mężczyzny zmierzającego ku samozagładzie.

- Proszę cię, Aaron, przestań. Nie pij.

Posłał jej lodowate spojrzenie, po czym ponownie przyssał się do butelki. Może dążył ku samozagładzie, ale przy okazji rozdawał ciosy na

prawo i lewo. Swoim zachowaniem wyraźnie udowadniał, że nie liczy się ona ani jej miłość, liczy się wyłącznie jego rozpacz i cierpienie.

- Jak nie przestaniesz, pójdę sobie.

- Wobec tego idź - powiedział głosem tak trzeźwym, że wprost nie mogła uwierzyć, że opróżnił już pół butelki.

Nie zamierzała patrzeć, jak opróżnia drugą połówkę. Spędziła dziesięć lat z mężczyzną, który usiłował rozwiązać każdy problem - lub uciec od niego - upijając się do nieprzytomności. Starła się Tylera ratować, on jej za to nienawidził. Starła się mu pomóc, on ją obwiniał za wszystkie kłopoty. Próbowala go kochać, on jednak konsekwentnie niszczył jej miłość, aż w końcu ją zabił. Nie miała siły przechodzić przez to jeszcze raz. Nawet dla Aarona.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do schodów. Bała się, że może powiedzieć coś przykrego, więc zacisnęła mocno usta. Bała się, że może się rozplakać, więc oczy trzymała szeroko otwarte, tak by suszyło je powietrze. Bała się, że może się zawahać, rozmyślić, kucnąć przy hamaku i błagać Aarona, aby się opamiętał, dał im szansę, pozwolił się uszczęśliwić, więc przyśpieszyła kroku.

Była na przedostatnim stopniu, kiedy dobiegł ją cichy głos.

- Abraham Steele.

Z wrażenia nogi się pod nią ugięły. Chwyciła się poręczy.

Dobry Boże! Abraham Steele?

Abraham Steele. Dostojny, siwowłosy dżentelmen, wzór cnót, uosobienie prawości i szlachetności. Człowiek, któremu zawdzięczała swoje zainteresowanie sztuką. Człowiek, z którym jej ojciec regularnie

grywał w golfa. Człowiek, który tak wiele dobrego zrobił dla Riverbend i jego mieszkańców.

Fakt, iż Steele miał romans z Evie Mazerik, wytrącił Lily z równowagi, nadal jednak uważała, że to w niczym nie usprawiedliwia zachowania Aarona. Może upijał się z powodu ojca, który nie chciał go uznać, lecz jego wściekłość i wrogość skierowane były przeciwko matce. Za to, że większym uczuciem darzyła dawnego kochanka niż własnego syna.

Współczuła Aaronowi z całego serca, ale nie zamierzała zostać i go pocieszać. Nie mogła sobie pozwolić na to, by kochać mężczyznę, który ucieka od miłości, szukając pocieszenia w butelce. Już raz to zrobiła. I więcej błędu nie powtórzy.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie była pewna, jak się ta wiadomość rozeszła -może Nicholas Harrison coś komuś wspomniał, może jego sekretarka, a może ktoś całkiem inny - w każdym razie w niedzielę wszyscy w kościele szeptali o Abrahamie Steele'u i Aaronie Mazeriku. Ludzie stłoczeni na schodkach prowadzących do głównego wejścia wymieniali uwagi, znaczące spojrzenia, kręcili głowami, unosili brwi, cmokali. Riverbend było miejscem, gdzie trudno utrzymać tajemnicę. Najbardziej wszystkich dziwiło to, że tę zdołano utrzymać przez ponad trzydzieści lat.

Aaron oczywiście nie przyszedł do kościoła. Gdzie się podziewał? Tego Lily nie wiedziała. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, gdzie się sama znajduje. To znaczy miała świadomość, że w kościele, ale poza tym czuła się jakby oderwana od świata.

Bez przerwy o nim myślała: Mój drogi, dlaczego zabrakło ci siły? Dlaczego, mając tyle różnych możliwości, wybrałeś tą najgorszą? Dlaczego butelkę?

- Czyli wielki sekret wreszcie się wydał - powiedział stojący obok niej ojciec. Eleanor poszła porozmawiać z Mary Drummer i Glorią Hoff; twierdziła, że musi zamienić z nimi słówko na temat klubu ogrodniczego, ale Lily podejrzewała, że to tylko pretekst, i podobnie jak wszyscy, one też plotkują o Aaronie.

- Cieszę się, że to nie ja musiałem go ujawnić. Jak sobie z tym wszystkim radzi Aaron?

- Nie najlepiej - przyznała Lily, po czym odchrząknęła, usiłując pozbyć się łez, które podeszły jej do gardła.

Nie najlepiej? Akurat! W ogóle sobie nie radził. Upijał się. Tonał.

- Wczoraj po południu byłem w klubie golfowym - ciągnął ojciec. - Ludzie tylko o tym rozmawiali. Nikomu się to nie mieści w głowie. Abraham Steele był filarem tutejszej społeczności.

- Był człowiekiem - rzekła Lily. - A ludzie popełniają błędy.

- Ładny mi błąd. Syn z nieprawego łoża. Największym błędem Steele'a było to, że nie uznał dziecka. Życie małego Aarona wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby ojciec wziął go pod swe skrzydła. Chłopiec dorastałby w innym świecie, jako przyrodni brat Jacoba Steele'a. Miałby poczucie przynależności do rodziny, do miasta. Może należałby do Szczurów Wodnych?

Zamiast tego dorastał jako autsajder, odrzucony nie tylko przez społeczność Riverbend, ale przez oboje rodziców - przez ojca, którego nie znał, i przez matkę, z którą mieszkał pod jednym dachem. Przestało mu na czymkolwiek zależeć, bywał na bakier z prawem. Aż dziw, że wyrósł na tak wspaniałego faceta.

Wspaniałego? Przypomniała sobie, w jaki sposób zareagował na szokującą wiadomość o swoim ojcu. Zaczął pić do nieprzytomności.

- Spójrz na matkę. - Julian Bennett wskazał głową na swoją żonę. - Prawda, jak świetnie wygląda? Doskonale jej w tej nowej fryzurze.

- To miło, że zauważyłeś. - Lily zmusiła się do uśmiechu.

- Tak, na wiele rzeczy zacząłem zwracać uwagę. - Objął córkę ramieniem i przytulił do siebie. - Dzięki tobie, małpko.

Łzy znów podeszły jej do gardła. Rozpierała ją radość, że rodzice ponownie się do siebie zbliżyli, że rozmawiali ze sobą i pielęgnowali swoją miłość. Cieszyła się, że miała w tym swój udział, że pomogła im pokonać przepaść, zanim było za późno.

Marzyła o tym, aby pojawił się jakiś dobry duch, który pomógłby jej i Aaronowi. Ale wiedziała, że przepaści, jaka się wczoraj między nimi wytworzyła, nie da się przeskoczyć. Ilekroć serce wzbierało jej tęsknotą, czyli niemal bez przerwy od piątkowego wieczoru, wystarczyło zacisnąć powieki - od razu stawał jej przed oczami obraz, o którym wołałaby jak najprędzej zapomnieć: Aarona w hamaku, ziejącego alkoholem i wrogością. Nigdy więcej, obiecała sobie solennie.

Nigdy więcej nie poświęci się dla mężczyzny ze skłonnością do alkoholu.

Kiedy rozległo się bicie dzwonów, Eleanor Bennett wróciła do męża i córki, by razem z nimi wejść do kościoła. Zajęli miejsca w pobliżu środkowej nawy. Wokół rozbrzmiewały prowadzone szeptem rozmowy.

- Da pani wiarę? Tak, syn Evie Mazerik. Ten, który w szkole trzymał się na uboczu i miewał zatargi z prawem...

- Biedne siostry. Ruth i Rachel. Ciekawe, jak one się teraz czują...

- Co za ironia. Jacob znikł, nie pojawił się nawet na pogrzebie, a do Aarona Abraham nigdy się nie przyznał. Spłodził dwóch synów, a umarł bezdzietny...

- Abraham i Evie Mazerik? Zupełnie ich sobie razem nie wyobrażam. Przecież ona... Sama zresztą wiesz. Evie to Evie.

Lily odetchnęła z ulgą, kiedy muzyka organowa wreszcie ucichła i wielebna Lynn Kendall podeszła do pulpitu. Miała serdecznie dość plotek

o Evie, o Aaronie i jego grzesznym poczęciu. Nienawidziła ich wszystkich: Abrahama Steele'a za to, że ponad uczciwość przedkładał pozory, Evie za to, że nie umiała ofiarować dziecku miłości, Aarona za to, że szukał pociechy w alkoholu.

Kiedy wierni odśpiewali hymn, pastor Lynn odczytała fragment Pisma Świętego, po czym przystąpiła do kazania. Ludzie siedzieli pochyleni do przodu, w nerwowym oczekiwaniu. Czego się spodziewali? Kazania na temat grzechów i tajemnic Abrahama? Chyba tak. Skoro wszyscy już znali prawdę, wielebna Lynn Kendall też musiała ją znać.

- Sztuka przebaczenia - rzekła pastor i zamilkła. W ciszy, która trwała kilka długich sekund, Lily słyszała skrzypienie, szuranie butami, pokasywanie, szelest papieru.

- Przebaczenie to jedna z najtrudniejszych rzeczy, z jakimi musimy się czasem w życiu zmierzyć. Jedno z największych wyzwań. Dlaczego? Bo żeby przebaczyć, musimy przede wszystkim otworzyć swoje serce. A tego się przeraźliwie boimy. Serce otwarte na przebaczenie jest zarazem sercem podatnym na strach i zranienie. Co będzie, jeżeli komuś przebaczymy, a on znów popełni ten sam grzech? Jeżeli znów zada nam ból?

Lily poczuła, jak zalewa ją fala smutku. Przypomniała sobie rozchukany ocean w Massachusetts, piaszczystą plażę, wodę, która omywa brzeg, a potem gwałtownie się cofa. A cofając się, zabiera z sobą wszystko.

Latami wirowała w takiej spienionej topieli. Dopiero z pomocą Aarona udało jej się znów wznieść na powierzchnię, rozkoszować powietrzem, słońcem, życiem. Kiedy wczoraj zobaczyła, jak ukochany

mężczyzna ma zamiar upić się do nieprzytomności, przed oczami ponownie stanął jej widok ciemnych, spiętrzonych fal.

Nie potrafiła przeżyć tego jeszcze raz. Nie chciała.

Przy pulpicie wielebna Lynn Kendall opowiadała historię kobiety, która nie umiała wybaczać. Żyła samotnie, zgorzkniała, nieszczęśliwa, pamiętająca każdą najdrobniejszą krzywdę, jaką jej kiedykolwiek wyrządzono. Postanowiła, że nigdy więcej nie da się zranić. Dlatego nie wybaczała nikomu, kto choć raz ją skrzywdził. Swoim zachowaniem ukarała samą siebie. Straciła przyjaciół, została sama.

- Najbardziej cierpi ten, kto nie potrafi wybaczać...

Lily pograżyła się w zadumie. Parę minut temu w rozmowie z ojcem broniła Abrahama Steele'a. Był człowiekiem, powiedziała, a ludzie popełniają błędy.

Aaron też był człowiekiem. Człowiekiem boleśnie zranionym, który próbował uśmierzyć swój ból. Zamiast mu pomóc, zamiast wybaczyć, ona odeszła, zostawiając go samego. Odeszła, bo myślała wyłącznie o sobie. Wróciła do domu, zamknęła się przed światem zewnętrznym i z furją rzuciła się do sztalug. Powstało nie wiadomo co, jakieś ohydne, ciemne pręgi i plamy układające się w podświadomy koszmar. Dopiero teraz, słuchając pastor Lynn, zrozumiała, co obraz przedstawia: jej własne lęki. Kobieta nie umiejącą wybaczać, a przez to, na swój sposób, upośledzoną i samotną.

Uciekając od Aarona, uchroniła się przed krzywdą, którą mógł jej wyrządzić, ale swoim zachowaniem, nie-umiejętnością przebaczenia, ukarała samą siebie. Skazała się na samotność.

- Muszę coś załatwić - szepnęła do rodziców.

Nie zważając na zdziwione szepty i pomruki niezadowolenia, zaczęła przeciskać się do wyjścia. Podejrzewała, że następnym tematem szeroko komentowanym w miasteczku będzie jej dzisiejsza ucieczka z kościoła podczas kazania wielebnej Lynn Kendall.

Skierowała się pośpiesznie do drzwi i po chwili mrużyła oczy w jaskrawym blasku słońca. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wsiadła do samochodu i ruszyła z piskiem opon.

W niedzielne poranki Riverbend przypominało wymarłe miasto. Większość mieszkańców siedziała w kościele, reszta grała w golfa lub wylegiwała się w łóżku. Chodniki były puste, sklepy zamknięte, po ulicach nic nie jeździło.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak samotna, nawet w ostatnich latach małżeństwa. Jadąc przez puste miasto, miała wrażenie, jakby przemierzała obcą nie zamieszkaną planetę, teren, na którym nie powstała stopa ludzka. Najgorsza była jednak świadomość, że to poczucie osamotnienia jest karą - karą, jaką wymierzyła sama sobie ze strachu przed cierpieniem.

Zakochując się, człowiek zawsze ryzykuje. Miłość jest nierozzerwalnie związana z ryzykiem. Ale czasem ryzyko się opłaca, bo miłość daje radość, szczęście, leczy rany, uzdrawia duszę.

„Był człowiekiem. A ludzie popełniają błędy”. To jej własne słowa. Aaron powinien przebaczyć ojcu. Ona powinna przebaczyć Aaronowi.

Skręciła w szosę nadbrzeżną i dojechała do jego domu. Na podjeździe nie było samochodu, mimo to podeszła do drzwi. W piątek wieczorem wewnątrz paliła się mała lampka, ale w słoneczny poranek Aaron nie miał powodu zostawiać zapalonego światła. Przytknęła ręce do

oczu i zajrzała do środka. Nikogo nie zauważyła. Zastukała.

Odpowiedziała jej cisza.

Tak jak w piątkowy wieczór ruszyła ścieżką na tył domu. Szła ostrożnie, bo grunt był nierówny, a na nogach miała skórzane sandały na wysokich obcasach, w dodatku musiała uważać na spódnicę, żeby kłujące liście i gałęzie krzewów nie powyciągały nitek z delikatnej tkaniny. Chociaż przy szopie nie było samochodu Aarona, a zatem istniało duże ryzyko, że jego samego też nie ma, niemal spodziewała się, że ujrzy go w hamaku, nieprzytomnego i otoczonego dziesiątkami pustych butelek. Nie była pewna, jak zareaguje na taki widok. Tylko spokojnie, powtarzała w myślach. Trzeba umieć przebaczać.

Nie zastała go na tarasie. Hamak był pusty. Wokół nie wały się żadne butelki.

Dokąd pojechał?

Mógł być gdziekolwiek. Westchnęła ciężko - zabrzmiało to prawie jak jęk. Zaskoczony wiadomością o ojcu, rozgoryczony na matkę, wściekły na nią, Lily, mógł schować czek do kieszeni i wyjechać z miasta. Czemu nie? Wszyscy, którzy powinni go kochać, odwrócili się do niego plecami. Zwłaszcza ona.

Nie. Nie wyjechałby z miasta. Nie opuściłby dzieci, dla których zorganizował obóz. Może inni odwrócili się od niego, ale on nigdy nie porzuciłby tych, którzy na niego liczą.

Może udał się do jedyne go człowieka, który nigdy go nie zawiódł, do Wally'ego Drummera? Nie. Widziała przecież Drummerów w kościele.

Przybita, zeszła z tarasu i ponownie chroniąc spódnicę przed kłującymi krzewami, wróciła do samochodu. Postanowiła, że pojedzie do

domu, przebierze się w coś wygodniejszego i na spokojnie wszystko przemyśli. Jeżeli Aaron faktycznie opuścił miasteczko...

Nie! Nawet nie zamierzała brać takiej możliwości pod uwagę. Musi być silna, dzielna, patrzeć w przyszłość optymistycznie. Znajdzie Aarona i powie mu, że go kocha. Wystraszyła się, widząc, jak topi swoje smutki i problemy w alkoholu. Jeszcze większy strach czuła na myśl, że taka sytuacja mogłaby się jeszcze kiedyś powtórzyć. Ale pokona ten strach i odnajdzie Aarona. Odnajdzie go i zobaczy, czy zdoła mu przebaczyć, czy zdoła ponownie zaufać.

Skręciwszy w Elm Street, najpierw spostrzegła samochód Aarona, a potem jego samego. Ubrany w dżinsy, bawełnianą koszulkę i sandały siedział na stopniach przed domem, trzymając w ręku bukiet polnych kwiatów, niebieskich, czerwonych i żółtych, na długich, cienkich łądygach.

Zaparkowała na podjeździe i wysiadła. Aaron nie spuszczał z niej wzroku; w jego szarzielonych oczach lśniły iskierki.

Przy schodkach prowadzących na werandę zwolniła kroku. Aaron wstał.

- Spóźniłem się - oświadczył z poważną miną. -Przepraszam.

Wciągnęła głęboko powietrze. Serce biło jej jak oszalałe.

Przypomniała sobie romantyczną kolację, jaką przygotowała w piątek, nadzieje, jakie wiązała z tym wieczorem...

Zważywszy na ilość alkoholu, którą przypuszczalnie wypił, spojrzenie miał zadziwiająco bystre i przenikliwe. Po kacu nie było śladu. Po bólu, cierpieniu i rozterkach też nie.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Paskudnie.

- Aspiryna pomaga.

Kąciki ust mu zadrgały, ale powstrzymał uśmiech.

- Na psychicznego kaca? Wątpię. Paskudnie to ja czuję się tu. -

Postukał się w lewą pierś. - Źle pograłem, Lily. Zupełnie się nie spisałem.

Zrobiłem tę jedną rzecz, której nie tolerujesz. - Spojrzał na kwiaty, po czym wcisnął jej bukiet do ręki. - W piątek zamierzałem ci kupić róże. W niedzielę tylko takie kwiatki udało mi się zdobyć. Ja... Przepraszam, Lily.

Opuścił oczy i wykonał taki ruch, jakby chciał odejść.

Chwyliła go za nadgarstek. Już sam dotyk rozpałił w niej żądzę, lecz ją zignorowała. Nie mogła przecież myśleć o cielesnych rozkoszach, o kochaniu się z Aaronem, o budzeniu się w jego ramionach, kiedy on zamierzał zniknąć z jej życia. Musi go zatrzymać.

- Właśnie wracam od ciebie - powiedziała. - Pojechałam tam, żeby cię przeprosić.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Ty mnie? Za co?

- Że cię osądziłam. Że cię opuściłam. Że miałam ci za złe picie i okazywanie słabości...

- Słusznie.

- Nie, nie miałam prawa się wtrącać ani cię oceniać. Przeżyłeś szok, a ja, jak gdyby nigdy nic, zaczęłam się wymądrzać. Mówić ci, co powinieneś był zrobić. Tak nie wolno.

- Piłem, bo chciałem się uchlać.

- Wiem.

- Nie tylko z powodu Steele'a i mojej matki. Również... - Przełknął ślinę. - Również z powodu tego, kim jestem. Powinnaś to wiedzieć, Lily. Jestem nikim. Zwykłym draniem. Outsajderem. Bękartem. Specjalnie piłem przy tobie, żebyś to widziała. Żeby ci to uzmysłwić. - Wypuścił powietrze. Nie patrzył jej w oczy. - Zaslugujesz na kogoś innego, lepszego. Jesteś księżniczką, a ze mnie żaden królewicz.

Dobiegł ją aromatyczny zapach kwiatów polnych. Nie wiedzieć czemu, i ten zapach, i determinacja Aarona, żeby uciec od niej, sprawiły, że miała ochotę się rozplakać.

- Nie chcę królewicza - powiedziała. - Chcę ciebie, faceta z krwi i kości. Nie obchodzi mnie, ile jeszcze popełnisz błędów. Ja też ich sporo popełniłam. A jeśli chodzi o alkohol, nie jesteś pijakiem. Wiem to z całą pewnością.

- W piątek uważałaś co innego.

- W piątek byłam egoistką. Nie zastanawiałam się nad tym, co czujesz. - Rozluźniła uścisk, ale nie puściła nadgarstka. - Przeszkadzało mi, że pijesz, ale nie myślałam o tobie. Myślałam o sobie, o tym, co przeżyłam z Tylerem. To nie było fair. - Delikatnie gładziła palcem jego rękę. Próbowała spojrzeć mu w oczy, znaleźć w nich potwierdzenie, że jej wierzy i wie, jak bardzo go kocha. - Nie jesteś draniem, Aaron. Nigdy więcej nie mów o sobie w ten sposób. Jesteś silny i odważny, godny podziwu.

Powoli podniósł wzrok. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, potem spytał:

- A co zrobisz, jeśli znów zobaczysz mnie z butelką?

- Nie wiem. Może rzucę się na ciebie z pięściami. Może będę wyć, krzyczeć, płakać. Może błagać cię, żebyś przestał. Może mówić ci, że cię kocham i nie chcę, żebyś pił. Nie mam pojęcia. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Jak myślisz, która z tych metod by poskutkowała?

- Ostatnia. - Wyraz twarzy wciąż miał poważny. - Mówię serio, Lily. Jestem bękartem. W dodatku bękartem Abrahama Steele'a. - Potrząsnął głową. - Całe moje życie, cała przeszłość.....

- To nieważne. Nie, nie to chciałam powiedzieć -poprawiła się szybko. - Oczywiście, że przeszłość jest ważna, ale ważniejsza jest teraźniejszość. I przyszłość. Jesteś trenerem. Nauczycielem. Psychologiem. I całkiem niezłym krytykiem sztuki.

Na jego twarz wypłynął mimowolny uśmiech.

- Wiesz, co w tym wszystkim jest najśmieszniejsze? Że ja nie cierpię mocnych trunków.

- To dobrze. - Pieszczotliwym gestem przesunęła rękę na jego ramię, po czym wspięła się na palce i pocałowała go lekko w policzek. - Wybaczysz mi?

- Nic złego nie zrobiłaś.

- Zrobiłam. I zależy mi na twoim przebaczeniu. Uważnie się jej przyglądał. A ona w jego. Oczach widziała żar, czułość, potrzebę bliskości, nadzieję, że tym razem się uda.

- Więc ci przebaczam - powiedział. - Chcę ci dać wszystko, czego tylko zapragniesz.

- Pragnę ciebie - szepnęła.

- Jestem twój.

Dwa słowa, proste, bez ozdóbek, lecz najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek w życiu słyszała.

Złączyli usta w pocałunku. Wiedzieli, że później zastanowią się, w jaki sposób ktoś, kto całe życie wierzył, że jest autsajderem i nicponiem, może przyzwyczać się do myśli, że w rzeczywistości jest synem miejscowego prominenta, człowieka bogatego, powszechnie szanowanego.

Na razie dokonali rzeczy najważniejszej. Uwierzyli w siebie, w swoją miłość.

